1354

30336

i32a
№ 1487.

BLASCO IBANEZ

GABRJEL LUNA

(EL CATEDRAL)

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO
WSTĘPEM I KOMENTARZAMI OPATRZYŁ
DR. EDWARD BOYÉ

30.336
Stowarzyszenie Urzędn. Sądowych Okręgu Białostockiego
L bibl. 738.
Państw. we Gimnazjum Żeńskim w Białymstoku
Белостокская Мал... им. Горького БИБЛИОТЕКА

WARSZAWA 1930
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego
Nr 3607 A
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

DRUK. M. ARCT. CZERNIAKOWSKA 225

860-311.2
Miejska i Publiczna
11919
Białymstok
74
D. 26/6.46 r.

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

I.

Romans życia i romanse regjonalne.

Gdyby żył za czasów wielkiej rewolucji francuskiej — walczyłby na barykadach i, jak drugi Saint Juste, prowadził lud na zdobycie Bastylji; gdyby żył za czasów odkrycia Ameryki — włóczyłby się po morzach z Kolumbem lub z Pizzarem dokonywał dzieła podboju.

— „Dlaczego nie pisze pan pamiętników?“ — zapytał go Anatol France podczas wspólnej podróży po Argentynie. — „Byłaby to najpiękniejsza pańska książka“. Autor „Czterech jeźdźców Apokalipsy“ nie poszedł za radą France'a, nie napisał ani hiszpańskich „Miei prigioni“, ani pamiętników poety-conquistadora, w guście Alonsa de Ercilla lub Blanca Fombony. W pomnikowem dziele Julia Cejador y Frauca: „Historia de la lengua y literatura castellana“ dochowało się tylko kilka notatek biograficznych, skreślonych ręką Ibaneza. „Jestem człowiekiem czynu — mówi on — i w życiu miałem ważniejsze zajęcia, niż fabrykowanie książek. Byłem agitatorem politycznym i prawie cała moja młodość ubiegła w więzieniu. Dwukrotnie skazywano mnie na karę śmierci. Znam wszystkie nieszczęścia, jakie mogą spaść na człowieka, nie wykluczając najstraszliwszej nędzy i głodu. Siedem razy wy-

bierano mnie do parlamentu; naczelnicy państw obcych nazywali mnie swoim przyjacielem. Później stałem się finansistą; zakładałem kolonje w Ameryce Południowej i przez ręce moje przepływały miljony. Piszę o tem dlatego, abyście zrozumieli, że wolałem zawsze przeżywać romans, niż romans na papierze układać".

Blasco Ibanez przyszedł na świat w Walencji, jako syn małego sklepikarza. Dusząc się w ciasnej atmosferze prowincjonalnej, w szesnastym roku życia ucieka do Madrytu — z rękopisem olbrzymiej powieści historycznej pod pachą. Nie może znaleźć wydawcy. Obdarty i głodny, błąka się po ulicach i wystaje przed drzwiami kawiarni literackiej „Café de la Zaragoza". Którejś nocy wciska natrętnie swój rękopis do ręki hiszpańskiemu Dumasowi, Fernandezowi y Gonzales. Między słynnym pisarzem a ulicznikiem zawiązuje się na ulicy rozmowa, na skutek której Gonzales, uderzony inteligencją chłopca, angażuje go na swego sekretarza. Sekretarz pisze po nocach pod dyktandem mistrza. Gdy mistrz się zdrzemnie — ciągnie akcję dalej na własną rękę. W ten sposób powstał np. romans „El mocito de Fuentecilla", w którym odnaleźć można w zarodku całą późniejszą „Krew na arenie", dzieło, malowane barwami Francisco Goya y Lucientes.

Wolne od zajęć chwile spędza Ibanez nad książkami, traktującemi o rewolucji.

„Kładę się spać z „Girondins" Lamartine'a, jem śniadanie z Louis Blanc, do obiadu pochłaniam tom Michelet'a. Cel mego życia już jest jasny dla mnie— stanę się Dantonem Hiszpanji, a później umrę". Pod wpływem rewolucyjnej lektury przyszły rewo-

lucjonista pisze sonet, w którym zaklina ludy Europy, aby ścięły głowy swoim tyranom. Zacząć trzeba, oczywiście, od tyrana Hiszpanji. Za sonet ten „Audiencia criminal" skazuje Ibaneza na sześć miesięcy więzienia. W rok później, zamieszany po śmierci króla Alfonsa XII w spisek republikański, musi uciekać do Paryża. W r. 1891 powraca, korzystając z przysługującego mu prawa amnestji. Teraz dopiero propaganda republikańska rozwija się „na całego". Ibanez zakłada w Walencji pierwszy radykalny dziennik hiszpański „El Pueblo". Na pismo to, od którego agenci ogłoszeniowi uciekają, jak od zarazy, i którego każdy prawie numer jest zajadle tępiony przez policję, łoży swoje ostatnie pieniądze. Redakcja mieści się w rozwalonej ruderze za miastem. Od szóstej wieczorem do trzeciej rano w przeciągu pięciu lat Blasco jest jednocześnie dziennikarzem, korektorem i zecerem, a od trzeciej rano zaczyna pracę, jako powieściopisarz. W mrocznej, olbrzymiej szopie, gdzie wieją wszystkie wiatry morskie i dokąd lada chwila mogą wtargnąć żandarmi królewscy, powstaje szereg najlepszych powieści regjonalnych, które dają mu olbrzymią popularność w Walencji.

W 1895 roku wybucha na Kubie powstanie przeciwko Hiszpanom. Ibanez pragnie, aby Kuba odzyskała niepodległość. „Jeżeli Ameryka Południowa — mówi na wiecach — już przed stu laty wyzwoliła się z pod naszej opieki, to nie ma teraz sensu upierać się przy Kubie".

Jednakże rząd madrycki jest innego zdania. Redakcja „El Pueblo' organizuje w Walencji manifestacje przeciwko wojnie i werbunkowi żołnierzy.

Dochodzi do regularnej bitwy z policją i wojskiem. Walencję przez trzy dni oblega armja królewska. Blasco zostaje ogłoszony zdrajcą i zaocznie skazany na karę śmierci. Wyrok niechybnie zostałby wykonany, gdyby nie wierny i oddany mu lud. Marynarze i robotnicy portowi ukrywają go przez szereg tygodni, wreszcie w barce spuszczają na morze. W odległości kilkunastu mil od brzegu Blasco przesiada się na pokład okrętu włoskiego. Po klęsce na Kubie rząd hiszpański ogłasza amnestję. Ibanez może powrócić, ale musi się co tydzień meldować na posterunku policyjnym.

Zaangażowawszy się znowu w działalność wywrotową, zostaje oddany pod sąd wojenny i skazany na czternaście lat katorgi. Karę odsiaduje w t. z. „presidio", w najstraszniejszym rodzaju więzienia, w otoczeniu morderców i złodziei. Po dwóch latach, na skutek petycji literatów i dziennikarzy, regentka Marja Krystyna darowuje mu resztę kary. Lud z Walencji wybiera go swoim posłem do parlamentu. Po sześciu legislaturach dosyć ma jednak tej komedji parlamentu. „Jest w Hiszpanji kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy będą umieli sprawować czynność posła równie dobrze, jak ja. Wątpię jednak, czy ktokolwiek mógłby mnie wyręczyć w pisaniu książek".

Blasco wyjeżdża do Paryża, odbywa podróż po Małej Azji, zwiedza prawie wszystkie kraje europejskie, wreszcie udaje się do Ameryki Południowej na tournée odczytowe. Jest zniechęcony do literatury; nie daje mu ona wystarczających dochodów. Jak Balzac, ma pasję do robienia interesów; paradoks chciał, że wkońcu dorabia się właśnie na literaturze. Za każdą konferencję w miastach amerykańskich „tenor literacki" pobiera po 15.000 franków, czyli więcej niż najsłynniejszy torreador. Uciuławszy sobie trochę grosza, zakłada przy pomocy jednego z banków argentyńskich na terytorjum Rio Negro w Patagonji kolonję „Cervantes". Żyje w otoczeniu Metysów, zbiegłych katorżników, kajdaniarzy i... uskrzydlonych pluskw, zwanych w Chili „Vinchucas". Każde ich ukąszenie przynosi chorobę lub śmierć. Po paru latach straszliwych wysiłków kolonja „Cervantes" zaczyna prosperować. Pod rozkazami Blasca pracuje sześćset indywiduów, pozbieranych na chybił trafił we wszystkich częściach świata. W pierwszych rozdziałach „Czterech jeźdźców Apokalipsy" znajdziemy później wspomnienie tej hordy, której członkowie mordują się przy sobocie na wiwat z rewolwerów. Żadne przeszkody nie są w stanie ostudzić kolonizatorskiego zapału Ibaneza. Nie licząc się z rzeczywistością, ani z siłami, zakłada na granicy Paragwaju i Urugwaju drugą kolonję, którą na cześć swej ziemi rodzinnej nazywa „Nuova Valencia".

Na kolonji „Cervantes" panują w zimie trzaskające mrozy. „Nuova Valencia" leży w pasie podzwrotnikowym. Kolonje odległe są od siebie o cztery doby drogi. Zaszyty w patagońskie skóry, pojawia się w tropikalnej „Walencji", po terenach „Cervantes" spaceruje w lekkiem, jak pajęczyna, argentyńskiem „poncho". Przyjechawszy nad ranem do „Walencji", już po południu wyrusza zpowrotem tam, skąd przybył, czyli do „Cervantes". W ten sposób żyje przez dwa lata. Wreszcie plajta argentyńskiego banku, który finansował imprezy Blasca, kładzie kres

romansowi na jawie. — „Z moich trzech wrogów— ziemi, ludzi i banków — nie wiem, czy banki nie były ostatecznie wrogiem najnielitościwszym“ — mówi Blasco. A gdy po latach jakiś dziennikarz zapytał go podczas wywiadu, pod którem ze swych dzieł podpisał się z największem wzruszeniem, otrzymał lapidarną odpowiedź: „Dziełem tem był czek na 800.000 franków“. Bez grosza w kieszeni, po latach pracy, która poszła na marne, staje Ibanez w przededniu wojny w Bordeaux. Osiada na stałe w Paryżu i wszystkie siły poświęca propagandzie wojennej. Pracuje przeciętnie po szesnaście godzin na dobę, rozrzucając artykuły filofrancuskie po wszystkich możliwych pismach za Oceanem. Ile razy, znużony śmiertelnie, chce już wypuścić pióro z ręki, mruczy pod nosem magiczne zaklęcie: „To dla Francji, to dla ojczyzny Victora Hugo“ — i zabiera się do pracy z powrotem.

W przerwach między zajęciami dziennikarskiemi powstaje powieść „Czterej jeźdźcy Apokalipsy“. Sąsiadka hotelowa z Avenue Wagram, Angielka, pani Charlott Brewster Jordan, przeczytawszy rękopis, wyraża gotowość zakupienia praw przekładu na język angielski. Zaofiarowała sumę 300 dolarów. „Gdyby mi dała pięć dolarów, zgodziłbym się również — mówi Blasco — chodziło mi bowiem o wpływ, jaki książka mogła wywrzeć w Ameryce, wahającej się jeszcze co do swojej interwencji wojennej. Pani Jordan za sumę 300 dolarów stała się właścicielką książki, o której w parę miesięcy później pisał „The Illustrated London News“: „Dzieło to zdobyło sobie stanowczo więcej czytelników, niż Biblja“. W Ameryce „Four Horsemen of the Apo-

calypse“ rozchodzi się w 100.000 egzemplarzy w przeciągu pięciu dni; po upływie trzech miesięcy cyfra ta wzrasta do 500.000. Między r. 1918 a 1920 pojawia się 150 wydań, co oznacza mniej więcej liczbę 5.000.000 czytelników. Ameryka na temat tej książki warjuje prawdziwie po amerykańsku.

Clowni w cyrkach sypią okolicznościowemi kalamburami, cygara, rękawiczki, czekoladki, „gilettes“ noszę etykietę „Four Horsemen“. Ibanez odbiera miljony listów, oficerowie legjonu amerykańskiego przybywają w delegacji, aby powinszować mu „lots of money“. Tymczasem „autorką“ jest ciągle Miss Charlott Brevster, która za trzy pierwsze wydania otrzymała kilkaset tysięcy dolarów. Przy czwartem wydaniu wydawcy amerykańscy sami zdają sobie sprawę z tej paradoksalnej sytuacji i, ukrócając apetyty tłumaczki, zwracają się wprost do autora. Odtąd rzeka złota zaczyna płynąć w swem właściwem łożysku.

Za „Four Horsemen“ idzie „Mare Nostrum“, „Wrogowie kobiet“ i t. d. Jedna z ostatnich powieści Ibaneza, „U stóp Wenus“, jest drukowana jednocześnie w ośmiuset pismach amerykańskich. Zaproszony wkrótce po zawarciu pokoju do Ameryki, Blasco przyjmowany jest wszędzie z monarszemi honorami. Uniwersytet w Waszyngtonie po obronie tezy doktorskiej „Największy pisarz świata, Cervantes“ przyznaje mu doktorat „honoris causa“.

Po powrocie do Europy Ibanez osiedla się w Mentonie, w willi „Fontana Rosa“.

Sorella malował freski, Benlliure rzeźbił fryzy, Carrara dostarczyła marmurów na „triclinium“

pompejańskie, a antykwarjusze z Walencji — stylowych mebli.

Sułtan z Fontana Rosa lubi pompę i gest. Obwozi na pokładzie swego yachtu miljonerów amerykańskich i książąt udzielnych, i cieszy się z tego jak dziecko.

W istocie rzeczy jednak ów nabab literacki pozostaje do końca życia prawdziwym, gorącym przyjacielem ludu i śmiertelnym wrogiem wszelkiej tyranji. Prowadzi zajadłą walkę z Alfonsem XIII, popiera separacyjny ruch kataloński i podtrzymuje swem złotem wieczną irredentę republikańską w Walencji.

Ukazanie się każdej jego książki jest dla Walencji świętem narodowem. Za czasów Wawrzyńca Medyceusza ulicami Florencji ciągnęły wozy, symbolizujące „triumf Bachusa i Ariadny". Na ulicach Walencji odbywają się pantominy, symbolizujące „Mare Nostrum", „Wśród pomarańcz" czy „El catedral". Don Vicente to nie szef tej, czy innej partji; „Don Vicente — to bohater".

Śmierć jego spowija całą Walencję w kiry żałobne. Ponieważ nie chciał leżeć w „ziemi niewolników", więc delegacje rybaków i marynarzy zawiozły mu na trumnę grudki rodzinnej ziemi.

Przechodząc od tego romansu życia do romansów literackich, nie mogę się oprzeć uczuciu rozczarowania. Popularność Ibaneza nie stoi w żadnym

stosunku do jego wartości artystycznych [1]), które na porównawczem tle literatury hiszpańskiej są istotnie wartościami trzeciorzędnemi. Jak sam o sobie mówi, „miał w życiu ważniejsze zajęcia, niż fabrykowanie książek" — a ten ironiczny termin, użyty w stosunku do swej twórczości, znajduje uzasadnienie na każdej stronie każdego dzieła. Mamy do czynienia zarówno z charakterystyczną dla wielu pisarzy hiszpańskich rozwlekłością, jak i straszliwem niechlujstwem stylu, tłumaczącem się nieprawdopodobnie wielką płodnością oraz tempem pracy. „Blasco jest Zolą w swoich powieściach i Maupassantem w swoich nowelach" — powiedział o autorze „Katedry" jeden z cudzoziemskich krytyków. Nie wdając się w paralele porównawcze, na które w ramach niniejszego wstępu niema miejsca, trzeba zaznaczyć, że realizm był i jest jedną z tradycyjnych właściwości literatury hiszpańskiej, występujących już w „Novela picaresca" i że w czasie, gdy Blasco pisać zaczynał, wszechwładny wpływ naturalizmu czy realizmu panował na całym świecie. „Las hu ellas de Zola, que se descubren en muchas de sus novelas, le han valido el titulo de el „Zola" espa-

[1]) Z współczesnych pisarzy hiszpańskich tłumaczono u nas najgorliwiej właśnie Ibaneza, prawdopodobnie dlatego, że można go było tłumaczyć z francuskiego lub niemieckiego. Niektóre z tych „dzieł", zakrawają wprost na skandal, jak np. „Wrogowie kobiet" lub „Katedra", która pojawiła się przed wojną nakładem „Bibljoteki dzieł wyborowych". Anonimowy tłumacz, posiłkując się przekładem francuskim, dał dowód, że nie rozumie także i po francusku.

Wysoką wartość mają tylko przekłady dzieł Ibaneza dokonane przez Franciszka Baturewicza.

nol" — mówi „Enciclopedia Espasa", „Ślady" te są najwidoczniejsze w doktrynerstwie i socjologji Blasca, dwóch cechach, charakteryzujących okres twórczości od „La Catedral" do „La Horda". Trzecią cechą jest manja opisowości.

Pod tym względem Ibanez doprowadził istotnie naturalizm do szczytu, zapominając, że nawet najbardziej malownicza opisowość nigdy nie zastąpi malarstwa i że według słusznych słów Taine'a pisarze powinni pozostawić malowanie obrazów malarzom... Tutaj możnaby dodać, że kronikarstwo również bardziej przystoi kronikarzom, a doktrynerstwo doktrynerom.

Aby zdać sobie sprawę z artystycznych niedostatków Blasca, dość rozpatrzyć pierwszą lepszą jego powieść. Autor znajduje ustawiczne preteksty, zupełnie dostateczne według niego, aby zanudzać czytelnika swą tanią erudycją. Jest to martwy ciężar, utrudniający i opóźniający rozwój akcji i zmniejszający zainteresowanie do minimum. Ponieważ bohater „El Catedral" — Gabrjel Luna podczas swoich studjów w seminarjum interesował się dziejami katedry w Toledo, więc Blasco na piętnastu stronach opisuje nam historje różnych biskupów, które można znaleźć z łatwością w tym lub innym podręczniku. Poszczególne rozdziały „Katedry" są „ciężko" uczonemi traktatami o muzyce kościelnej, rodzinie, honorze, życiu wiecznem, prostytucji, o dekadencji hiszpańskiej, o monarchji, komunizmie, darwinizmie, o bogactwach Kościoła i t. d.

Słowem „lamus rzeczy przyjemnych i pożytecznych" w rodzaju „Nowych Aten" księdza Chmielowskiego.

organicznej pracy". Ci „odrodziciele" tkwią nietylko w rzeczy niezmiennej i odwiecznej — rasie — ale i w narodzie, w jego dziejach, polityce, w jego zewnętrznych przemianach. Każdy, od Unamuna poczynając, na Baroja, Ibanezie, czy Azorinie kończąc, jest nietylko powieściopisarzem lub poetą, lecz także historjozofem. Bada, stawia diagnozę i zaleca takie, czy inne środki zaradcze. Powieści Baroja np. robią wrażenie kliniki, w której autor ostrym lancetem przecina ropiejące wrzody. Bez poznania historji, rzucającej snop światła na ducha dziejów, zrozumienie współczesnej literatury hiszpańskiej jest niemożliwe. Bohater powieści Pio Baroja: „Jarmark Głupców", Quentin Garcia Roales, mówi, że, gdyby żył za czasów Napoleona, on, Hiszpan, walczyłby przeciwko Hiszpanji. „Co za rozkosz byłaby wkraczać do tych miast, obwarowanych szańcami przesądów, zrównywać z ziemią klasztory, wycinać w pień mnichów i mniszki" — bohater powieści Ibaneza: „Katedra", Gabrjel Luna z pilnego alumna seminarjum przekształca się w anarchistę i w VII rozdziale powieści wypowiada swe polityczne credo, będące echem poglądów wielkiego odłamu liberalnych pisarzy i myślicieli. Tych „gryzących sercem" patrjotów zrozumiemy dopiero, gdy pójdziemy szlakiem duszy hiszpańskiej, w jej wiekowej tragedji.

Hiszpanja wynurzała się młoda i silna z bujnych wieków średniowiecza. Przez cieśninę Gibraltarską wkraczał do Europy zwycięski Wschód, niosąc ze sobą wielkie tradycje Hindusów, Persów i Żydów. Gromadzono materjały, potrzebne do budowy

30.336
KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr ..... KS. ARCHIWALNY w Białymstoku
Miejska Biblioteka Wojewódzka w Białymstoku
Белостокская областная библиотека им. Г...го

wielkiego narodu, budowy, której kamieniem węgielnym była zasada wolności sumienia. Tradycje kastylijskie i aragońskie z wczesnych wieków średniowiecza pozwalały przypuszczać, że liberalny duch dziejów stworzy na półwyspie pirenejskim azylum dla wszelkich religij, że młoda, triumfująca cywilizacja, walcząca pod sztandarami Proroka, w płodnym związku narodów i ras dojdzie do swego apogeum. Istotnie, mieszkańcy półwyspu w przymusowem obcowaniu z wyznawcami innych religij, tak tolerancyjnymi jak Arabowie z Andaluzji, zatracali zwolna swój fanatyzm i prawdopodobnie, gdyby nie smutna rola kleru, zatraciliby go zupełnie. Aczkolwiek „reconquista“ zaczęła się już na skałach Covandonga, gdzie w 718 r. Pelayo rozbił wojska Maura, Alcama, to jednak naogół Hiszpanja odniosła się przyjaźnie do przybyszów z Afryki. Granice ras między Żydami, Arabami a Hiszpanami zatarły się po zmieszaniu się krwi; „w duszach zaszedł podobny fakt, jaki zachodzi w niektórych świątyniach andaluzyjskich, gdzie poprzez symbole katolicyzmu widać arabeski maurytańskie“.

Chrześcijanie i Muzułmanie, Arabowie, Syryjczycy, Egipcjanie, Żydzi hiszpańscy i Żydzi Wschodu, skrzyżowawszy się z sobą, wydali Mudejeras [1]), Muladies [2]) i Hebraizantes, czy Judaizantes [3]). Mimo walk rycerskich, toczących się między chrześcijanami a Arabami, kościół katolicki żył w bratniej

[1]) Mudejeras — muzułmanie, którzy, przyjmując poddaństwo królów katolickich, nie zmieniali religji.
[2]) Muladies — chrześcijanie, przyjmujący islamizm.
[3]) Judaizantes — chrześcijanie, przyjmujący judaizm.

zgodzie z synagogą żydowską i maurytańskim meczetem. Żydzi i Arabowie, schodzący się wzorem Rzymian w łaźniach na dysputy o sztuce, uczynili ze świątyń swoich przybytki wiedzy, do których ciągnęli z barbarzyńskiej, anglo-normandzkiej, germańskiej i francuskiej Europy, ciemni jak tabaka w rogu, katoliccy mnisi.

W w. XV katolicyzm stał się samowładnym panem ducha narodowego, „twórcą państwa“. Był sztandarem w walce z niewiernymi, był, w braku węzła politycznego, jedynym węzłem, łączącym poszczególne prowincje. Fanatyczne zapały religijne zaczęły się znacznie wcześniej, w XII w., jednakże okresy tolerancji i nietolerancji nie szły w historji Hiszpanji systematycznie, tylko alternatywnie. Epoki rozbudzonego przez kler fanatyzmu przeplatały się epokami pacyfistycznego współżycia z pozostałemi rasami i religjami. Chociaż więc Maurów wyganiano z prowincyj, zdobytych przez chrześcijan już podczas trzech pierwszych wieków „de la reconquista“, to Alfons VI, zdobywszy Toledo, dał znów początek liberalnej i inteligentnej polityce. Król, ożeniony z Arabką, zachwycał się kulturą Żydów i Maurów i prosił ich, aby pozostali pod jego władzą, gwarantując pełną swobodę wyznania i nakłaniając do zawierania mieszanych małżeństw. „Król „trzech religij“ miał żonę Arabkę, a niektórzy królowie arabscy byli żonaci z chrześcijankami. W jednej bitwie zginęło sześciu infantów chrześcijańskich z macierzystej krwi maurytańskiej“ (Hume: „Historia del pueblo espanol“). W w. XIII, gdy katolicyzm coraz bardziej wzrastał na siłach, Don Jaime I nie zawahał się obciąć języka dostojnikowi kościoła,

arcybiskupowi Gerony, Don Pedro I walczył z katolikami po stronie Albigensów, a Pedro III odmówił papieżowi praw do lenna i wydarł mu Sycylję. W czasach późniejszych, aczkolwiek tron żył naogół zawsze w idealnej zgodzie z ołtarzem, nie brak było monarchów, którzy, jak Karol III, dążąc do ucywilizowania kraju, chcieli ograniczyć absurdalne przywileje kleru.

Każdy jednak krok w tym kierunku był paraliżowany przez zgraje miejscowych papistów, oburzających się na rzekome prześladowanie biednego Kościoła, „znieważonego w osobie swych przedstawicieli" i pieniących się z wściekłości, ilokrotnie rząd ośmielił się wtrącić do interesów duchowieństwa. Tymczasem kler żerował na ogólnej ciemnocie, wmawiając we wszystkich przekonanie, że „Hiszpanja, wątpiąca o sile katolicyzmu, jest jak beznogi kaleka, porzucający swe szczudła i padający na ziemię". W jaki sposób te szczudła wyglądały, na to odpowiedzią jest historja Hiszpanji.

Właśnie wówczas, gdy nad Europą wschodziła jutrzenka nowych czasów, Hiszpanja stawała się bojownikiem wstecznictwa, reprezentując w pochodzie ludzkości to, co już umarło, lub było na śmierć skazane. Królowie Katoliccy zaszczepili narodowi ambicję panowania nad światem. Zgodnie z dogmatycznym i wojowniczym charakterem ówczesnej cywilizacji hiszpańskiej, krzyż i miecz wiodły do zwycięstwa ducha i ramię. Po dziełach miecza ślad zanikł, dzieło krzyża przetrwało dłużej, wtrącając duszę narodu na trzy wieki do ponurych lochów inkwizycji. Według słusznej teorji Ganiveta („Idearium espanol") przyczyna dekadencji hiszpańskiej

polegała na dysproporcji między nadmiarem aktywizmu i zamierzeń, a środkami, będącemi do rozporządzenia. Naród walczył zawsze jak jego narodowy bohater, wędrowny król Cyd, któremu za owoc ostatecznego zwycięstwa wystarczała intencja walki i jej hazard. Hiszpanja była przekonana, że Bóg w nagrodę za jej wiarę uczynił ją narodem wybranym, tak jak to się kiedyś stało z narodem Izraela, i że będąc narzędziem bożej sprawiedliwości przeciwko apostatom, musi zwyciężyć. Z świadomości, że się jest Hiszpanem i katolikiem, płynęła tak potworna arogancja, że zaślepiony nią „żołnierz Chrystusa" stawał się, sam o tem nie wiedząc, Judaszem Machabeuszem.

Do prowadzenia wojny nie trzeba było broni, ani pieniędzy. Naród, umierający z głodu, żebrak, obdarty ze wszystkiego, planował utworzenie wszechświatowego cesarstwa rzymskiego, ponieważ miał wiarę w protekcję bożą. Najemne wojska Hiszpanji, obdarte, brudne, mające za żołd rabunek, wałęsały się po całej Europie, walcząc we Flandrji i Niemczech o rzeczy, które bynajmniej Hiszpanji nie dotyczyły. A gdy wreszcie te wyprawy, godne hidalga z La Manczy, skończyły się klęską, gdy Hiszpanja, według Calderona, powróciła z powrotem do nędznej jaskini swego bytu historycznego, miast obudzenia i wytrzeźwienia, nastąpił szał jeszcze większej dewocji i megalomanji. Nie mogąc narzucić swego kryterjum całemu światu, arogancki Hiszpan zamknął się w sobie i odciął od reszty Europy, „która powinna być albo stworzona na modłę hiszpańską, albo wogóle przestać istnieć".

Owo „splendid isolation", przypominające żywo

naszą epokę saską, zaczęło się dla Hiszpanji w chwili, gdy katolicki Filip II podyktował w r. 1559 pragmatykę, ustanawiającą między półwyspem a Europą zachodnią chiński mur, trudniejszy do przebycia niż mur Pirenejów. Odtąd ilokrotnie Hiszpanie uczynią w tym murze wyłom, to tylko poto, aby wyjść naprzeciw cudzoziemca z arkabuzem w ręku, gdyż jakiekolwiek inne relacje, czy to kulturalne, czy handlowe, okażą się „sidłami, które szatan zastawia, by zgubić ten katolicki naród".

Absurdalne imprezy wojenne, prowadzone poza granicami kraju i pchające ten kraj do strasznej ruiny, były dziełem Królów Katolickich: „Sus majestades catolicos", najukochańszych i zawsze najwierniejszych synów Rzymu, bigotów jak Filip II, który wolał panować nad trupami, niż nad heretykami, zwyrodnialców, zalecających się do zakonnic, jak Filip IV, degeneratów w rodzaju Karola II, który do końca życia nie mógł się nauczyć nazw głównych miast w swojem państwie, lub Filipa V, nie mającego czasu na sprawy państwowe, ponieważ zasadniczo nie wychodził z łoża swych miłośnic.

Zaszczytną rolą zaguby kraju podzielił się tron z ołtarzem. Dzieło kleru nawewnątrz państwa sprowadziło się do tego, aby z obywateli uczynić trupy, osmalone na stosie, albo też żywe trupy, skazane na bezmyślność. Kler obawiał się, aby kraj się „nie zanieczyścił" przez asymilację kultury zagranicznej. Należało za wszelką cenę utrzymać jakąś bliżej nieokreśloną czystość rasy katolickiej, zapominając, że prawdziwą Hiszpanją Hiszpanów była właśnie ta, gdzie chrześcijanie łączyli się z Żydami i Maurami. Można bowiem, jak mówi Ganivet, przyjąć to za pewnik historyczny, że gdy rasa indo-europejska wchodzi w kontakt z rasą semicką, zawsze zaczyna się odrodzenie umysłowe. Hiszpanja, podbita przez barbarzyńców Wizygotów, cofnęła się krok wstecz, pod władzą Arabów odrobiła swoje cywilizacyjne zaległości, zdobywając tę energiczną indywidualność, która czystą formę swej ekspresji znalazła w mistykach. Historycy, negujący wpływ arabsko-żydowski na ewolucję duchową, popełniają więc zbrodnię psychologiczną i są niezdolni do zrozumienia charakteru narodowego. W epoce, gdy wyganiano Maurów i Żydów, fanatyczni przywódcy nacjonalizmu przeoczyli ten prosty fakt, że charakter narodowy stał się już dawno wyrazem konglomeratu ras i że w konsekwencji powinno się było otworzyć co drugiemu mieszkańcowi żyły, aby wypuścić z nich domieszkę krwi semickiej — niema bowiem bardziej semickiego narodu, niż Hiszpanie [4]).

W w. XVI Hiszpanja uczyniła już na dobre z religji broń wojenną. Ta broń miała w konsekwencji przeszyć pierś narodu, gdy jedna ręka, zbroczywszy się krwią Maurów, poraniła się najdotkliwiej, a druga, wskazując Ahasverowi kraje przyszłego wygna-

---

[4]) Charakterystycznym pod tym względem przyczynkiem jest odpowiedź madryckiej „Gaceta Literaria" markizowi de Torre. „Gaceta Literaria" wprowadziła specjalny dział poświęcony Żydom hiszpańskim, „Sefardies". Posypały się protesty w rodzaju naszych: „Łapaj masona". Najostrzejszy protest podpisał markiz de Torre. Redaktor Gimenez Caballero poradził mu, aby wziął lustro i przyjrzał się w niem, aby się przekonać, że ma profil wybitnie semicki, tak zresztą jak większość arystokratów hiszpańskich.

nia, opadła bezwładnie, tknięta paraliżem. Naród katolików przekształcił się w naród teologów i księży. Ksiądz, przechadzający się pod rękę z alfaquim i rabinem, stał się anachronizmem. Jego miejsce zajął mnich, pełen dewocji i teologicznego obłędu. Według jego przykazań wolno się było plamić krwią masowych ofiar, aby tylko utrzymać dogmat o Niepokalanem Poczęciu.

W pewnym okresie historji cała Europa była widownią walk religijnych. Francja nocy św. Bartłomieja, Anglja Cromwella, Szwajcarja Kalwina, Niemcy Lutra nie mogły się mierzyć jednak nigdy z Hiszpanją Torquemady. We wszystkich tych krajach walki religijne wrzały między odłamami miejscowej ludności, hołdującej różnym wyznaniom. W Hiszpanji, po wygnaniu Żydów i Maurów, wszyscy stanowili już jedność ze Św. Oficjum, wszyscy przyglądali się zachwyceni i oczarowani auto-da-fé. Walki religijne toczono poza granicami kraju, u siebie zapalano stosy, przeciwko którym nie podnosiły się żadne protesty. We Francji Montaigne zauważył: „Aprèz tout c'est mettre ses coniectures a bien haut prix que d'en faire cuire un homme tout vif" („Essais", III). W Hiszpanji sekretarz Inkwizycji, kanonik Llorente, wyznał cynicznie: „Mówią o pieczeniu ludzi, więc, aby nie być upieczonym, stanąłem po stronie tych, którzy pieką". Ten zapał do pieczenia był tem dziwniejszy, że prócz Żydów i rzekomych czarowników, nie było właściwie kogo posyłać na stos. Daremnie bowiem szukałoby się w Hiszpanji heretyków, odpowiadających Wicleffowi, Husowi, czy Lutrowi, oraz ludzi wiedzy, którzy zrywając z dogmatami katolicyzmu, stawali się ofia-

rami kościoła, jak Galileusz i Giordano Bruno. Strach przed inkwizycją, szpiegującą każdą myśl i słowo, wybił z głów nowinki reformatorskie. Jeżeli jednak inkwizycja zamykała oczy i usta, to miłość ojczyzny kazała je otwierać. Typowym przykładem takiego reformatora hiszpańskiego, trzęsącego się ze strachu na dźwięk własnego słowa, był benedyktyn Penaloza. Frater, zastanawiając się nad przyczynami dekadencji hiszpańskiej, napisał książkę „O pięciu zaletach Hiszpana, które wyludniają Hiszpanję" (Cinco exelencias de Espanol, que despueblen a Espana"). Jego kazuistyczna taktyka polegała na przedstawianiu wad jako zalet, jako cnót błędów publicznych, prowadzących kraj do ruiny. Według braciszka było pięć takich „exelencias": wiara, ignorancja, wojna, niesprawiedliwość królów i anarchja administracyjna.

Braciszek wie, że katolicyzm wyludnia kraj, mnożąc zastępy mnichów i księży, ale pisze: „Jakże chwalebne jest wyludnianie się Hiszpanji, skoro dzieci jej idą do klasztorów, aby zdobyć niebo". Druga „zaleta" — to miłość teologji. Ignorancja jest straszliwa, nie uprawia się nic prócz teologji. Braciszek Benito, zamiast to potępić, śpiewa hymny pochwalne na cześć teologów: „Hiszpanja jest azylum świętej nauki i pobożnej interpretacji Pisma Świętego. Dzisiaj Hiszpanie ze swą wzniosłą, kwitnącą wiedzą są chwałą Boga na ziemi".

Dramat, który rozegrał się w duszy braciszka Benito, jak słusznie pisze Fombona („Los sucesores de Filipe II"), był dramatem, wypaczającym najtęższe umysły Hiszpanji, dramatem ponurym i niepłodnym, kastrującym myśli i ducha.

„Gdy w synagodze i meczecie zgasła lampa wiedzy, ze wszystkich nauk tylko teologja nie wiodła na stos. Nadeszła godzina modlitwy, zamiast godziny nauki". Ignorancja, dewocja, zabobon i przesąd zajęły miejsce mistyki, pełnej ducha boskości. Wierzyło się w rzeczy najbardziej absurdalne. Ten, kto pragnął zbawienia, musiał zapisać swoje mienie kościołowi. Pewien osobnik, będąc pewien, że pieniędzmi swemi przekupi strażników dusz w czyścu, rozkazał, aby za jego duszę zmówiono 15.000 mszy. Filip IV, mający więcej pieniędzy, kazał zmówić 100.000 mszy. Kler, żerując na ogólnej ciemnocie, bogacił się w niesłychany sposób. Bogactwo kleru rosło proporcjonalnie do wzrostu ogólnej nędzy. Hiszpanja posiadała 11.000 klasztorów, 100.000 mnichów, 40.000 mniszek i 160.000 księży. Zato ludność, wynosząca 30 miljonów podczas panowania kalifów arabskich, spadła do siedmiu miljonów. Kraj stawał się coraz bardziej katolicki, coraz biedniejszy i coraz bardziej nieokrzesany.

Lud zadowalał się zupą, rozdawaną w przedsionkach klasztorów i auto-da-fé. W w. XVII, dzięki bezpłatnemu widowisku stosów, nie szemrał nawet na głód. To narodowe święto śmierci i krwi poprzedziło narodowe święto walki byków. W rzymskiem Colloseum nie widziało się podobnych okrucieństw. 30 kwietnia 1680 r. np. odbyło się na Plaza Mayor w Madrycie auto-de-fé z niezliczonemi ofiarami. Uroczystość trwała od siódmej rano do dziewiątej wieczór. Ambasador Ludwika XIV, markiz Villars pisze: („Espana vista por los extranjeros") „Byli paleni na miejscu podwyższonem, a przed kaźnią musieli cierpieć najwymyślniejsze katusze. Rzu-

cano w nich kamieniami, popychano i bito, a tłum klaskał w ręce z uciechy. Mnisi dotykali heretyków płonącemi kandelabrami".

Z dymem z tych stosów płynącym rozwiała się wniwecz na przeciąg kilku wieków kultura narodowa. Hiszpanja podzieliła los Bizancjum: ruina i śmierć zaskoczyły ją podczas dysput teologicznych.

Francuzka, ks. d'Aulnoy, zostawiła nam opis swojej podróży do Hiszpanji. W klasztorze koło Valladolid istnieje grób rycerza kastylijskiego, słynący cudami. Rycerz na grobie szlocha, ilokrotnie ma umrzeć jakiś potomek jego rodu. Koło Madrytu księżna spotkała chłopca, „który miał tyle jadu w spojrzeniu, że zabijał kurę, spojrzawszy na nią". W Kastylji pokazują skałę, którą co parę dni nawiedza zjawa Dziewicy. W Pirenejach niżej podpisany widział ludzi, czołgających się na kolanach do odległego o kilka kilometrów kościoła. Podczas święta San Juan Degollado w Gaztelugache kwitną jeszcze w najlepszy sposób wieki średnie. Rzesze pobożnych ranią sobie umyślnie kolana o ostre głazy i kamienie.

Dzieci ubiera się w czerń i fiolet. Mnisi z de Rioja biczują się do krwi na oczach tłumu i gdy grzbiet jest już purpurowy, wkładają do ran odłamki tłuczonego szkła. Tutaj istotnie krew się wylewa nietylko w Wielki Piątek!

Jednak z tą obłędną religijnością zgadza się jakoś idealnie rozpusta, pijaństwo i żądza krwi. Każdy torreador ma obraz święty, któremu poleca się

przed występem na „corrida". Krwawy Don Juan Zorilli uspakajał swoje libertyńskie sumienie, myśląc, że

„un punto de contrición
da al alma la salvación",

a bandyci andaluzyjscy, przed wyruszeniem na rabunek, polecali się opiece Dziewicy de la Macarena. Po modlitwie można już było popełnić mord, licząc na pomoc Boga. Podczas procesyj w Andaluzji nieraz zdarzają się krwawe bitwy o to, który obraz św. Dziewicy jest bardziej cudowny. Wynosząc pod niebiosy zalety danego obrazu, obrzuca się najgorszemi przekleństwami obrazy inne. Tworzą się całe stronnictwa tego czy innego Chrystusa, tego czy innego patrona-świętego. Pewien pisarz z Galicji opowiada, że jego wuj, straszny bigot, mając jakieś przejście moralne, zamknął się w swym gabinecie i rzucił się z pięściami na rodzinny krucyfiks.

W świetnej sztuce Cervantesa „La guarda cuidadosa" żołnierz i zakrystjan zalecają się do pewnej służącej. Panienka wybiera zakrystjana. Wybór nie bez kozery. Kler stał wyżej, niż armja, wiara wyżej, niż sława, człowiek, symbolizujący Kościół, wyżej, niż człowiek, symbolizujący ojczyznę.

Z dawnego fanatyzmu cóż pozostało dzisiaj? Uprzywilejowane stanowisko kleru i powszechne rozmiłowanie się w zewnętrznym przepychu kultu, w wspaniałych procesjach i niezliczonych dekoracjach obrazów świętych. Nauka religji, stojąca jeszcze ciągle na poziomie prymitywnym, polega głównie na czci, oddawanej prymitywnym figurom. „Hiszpan — pisze Ibanez w „El catedral" — jest

człowiekiem, który wypełnia swe praktyki religijne, ale o nich nie myśli. Nie jest bezwyznaniowcem, ani wierzącym. Żyje niby w somnambulizmie umysłowym. Inkwizicja istnieje jeszcze między nami: przestaliśmy bać się stosu, ale boimy się tego „co o nas powiedzą". Nowożytny trybunał inkwizycyjny to społeczeństwo — wieczny wróg wszystkiego, co jest nowe".

Jak ciężka jest w Hiszpanji walka, podjęta w imię tej nowości, sprawdzili na sobie reformatorzy, tacy, jak Joaquin Costa, starający się o europeizację kraju, lub Canovas de Castillo, któremu po strasznych wysiłkach udało się w XIX w. zagwarantować konstytucyjnie swobodę innych wyznań.

Pozornie więc wydawaćby się mogło, że Hiszpanja nie jest już przedmurzem, lecz samym murem katolicyzmu. Niema synagog i kościołów protestanckich, niema szkół „neutralnych", niema ślubów cywilnych. Wszystkie partje, zwłaszcza w okresie wyborów, przelicytowywują się na temat katolickiej gorliwości; w stosunku do małżeństwa obowiązują jeszcze jako prawo państwowe postanowienia soboru w Trydencie, a z wszystkich gazet hiszpańskich jedynie „El Liberal" ryzykuje drukowanie zawiadomień o nabożeństwach sekty metodystów.

Proszę jednak pomówić z robotnikiem z Kadyksu lub Barcelony. Wszyscy są antyklerykałami i republikanami. „Cóż z tego, pisze Ruben-Dario, że po ulicach Toledo ciągną wspaniałe wozy z Eucharystją, skoro mało jest wyznawców, przystępujących do komunji z głębokiego przekonania i potrzeby. Ponieważ wszystkie rewolucje hiszpańskie wstrzymywały się na progu kościoła, więc kościół

zastygł w hieratycznym majestacie, bojąc się poruszyć fałd płaszcza, aby nie strącić z niego pyłu wieków". „Wiara umarła, pozostał jej trup, zawalający drogę" — trup, przybrany w szatę, równie wspaniałą, jak ów brokat, którym średniowieczni panowie przykrywali ciało, toczone przez trąd. „Aby wykarczować czterowiekowe pnie w lesie dewocji, ignorancji i fanatyzmu — na to ramię człowieka jest za słabe. „Tylko ogień, jeden tylko ogień jest w stanie zniszczyć tę przeklętą roślinność" (Ibanez: „El catedral").

Edward Boyé.

Zakopane zimą 1928 r.

I.

Gdy Gabrjel Luna dotarł do katedry, zaczynał robić się dzień. Jednakże w ciasnych uliczkach Toledo panowała jeszcze noc. Błękitna jasność świtu, prześlizgująca się z trudem między dachami domów, rozprzestrzeniała się swobodnie na placu *Ayuntamiento* [1], wydobywając z mroku ordynarną fasadę arcybiskupiego pałacu i dwie zakapturzone wieże ratusza — ponury gmach z epoki Karola V.

Gabrjel przechadzał się długo po pustym placu. Paroksyzm kaszlu raz w raz rozdzierał jego piersi— kaptur płaszcza podniesiony był aż po brwi. Chodził tam i z powrotem, aby się ochronić od chłodu i patrzył na kościół, którego widok był z tej strony prawdziwie majestatyczny. Przypominał sobie inne sławne kościoły, położone na wzgórzach, ze wszystkich stron widoczne, wystawiające na pokaz swoją piękność, i porównywał je z katedrą w Toledo, z prymasowskim kościołem Hiszpanji, zatopionym w morzu otaczających go budynków, które go zalewają jak fale. Fasadę katedry widać jedynie przez wąski otwór w sąsiednich uliczkach.

Gabrjel, który znał wewnętrzną wspaniałość kościoła, pomyślał o domach Wschodu, domach, wyglądających nazewnątrz nędznie i brudno, natomiast

w środku wykładanych złotem i alabastrem. Nie darmo Żydzi i Maurowie żyli przez całe wieki w Hiszpanji! Ich niechęć do wystawiania wspaniałości na widok publiczny wpłynęła widocznie na architekturę tego kościoła, zduszonego wśród domów, które się tłoczą ku niemu, jakby się chciały skryć w cieniu jego wież strzelistych.

Plac Ayuntamiento był jedynym kawałkiem wolnej przestrzeni, na której kościół mógł roztoczyć swoją wspaniałość. W świetle jutrzni, na tle błękitnego nieba rysowały się trzy arkady głównej fasady i dzwonnica, olbrzymia wieża o ostrych krawędziach, obleczona w *alcuzón* [2], rodzaj czarnej tjary, przepasanej potrójną koroną, której blask zatracał się w blasku mglistego, ołowianego dnia zimowego.

Gabrjel patrzył ze wzruszeniem na milczącą, zamkniętą katedrę, gdzie żyła jego rodzina i gdzie on sam spędził najlepsze lata swego życia. Od tak dawna już jej nie oglądał!

Przyjechał do Toledo poprzedniej nocy pociągiem z Madrytu. Zatrzymawszy się w hotelu „de la Sangre“ [3], odczuł nieprzezwyciężoną chęć zobaczenia katedry. Błądził przez godzinę w jej pobliżu, słuchając szczekania psów, które, pilnując kościoła, niepokoją się odgłosem kroków na pustych, jakby obumarłych ulicach. Zresztą Gabrjel nie mógłby zasnąć. Był zbyt szczęśliwy, szczęśliwy, że po tylu przejściach i zmiennych kolejach losu znalazł się wreszcie w swoim kraju rodzinnym. Wyszedł z hotelu przed świtem, aby czekać na placu na otwarcie bram kościoła.

Chcąc skrócić sobie czekanie, badał zalety i wady gmachu i komentarze swoje wypowiadał głośno,

jakby na świadków swoich słów chciał brać ławki kamienne i karłowate drzewa. Główne drzwi ozdobione były kratą, nad którą widniały urny z XVIII w. Krata ta zamykała przedsionek, wykładany szerokiemi taflami kamiennemi. Kapituła urządzała tutaj uroczyste przyjęcia, tutaj także w dni wielkiego święta tłumy podziwiały *„Olbrzymów“* [4].

W środku fasady widniała brama Zbawienia. Była ona jakby wielką zatoką, stworzoną z szeregu arkad, które kurczyły się i zwężały, prowadząc coraz to dalej w głąb. Arkady te były ozdobione figurami apostołów, różowemi baldachimami i tarczami kamiennemi, na których widniały lwy, lub zamki. Na kolumnie, oddzielającej dwa skrzydła drzwi, stał Jezus w koronie i płaszczu, Jezus wynędzniały i chudy, o chorobliwym, tragicznym wyrazie oblicza, który artyści średniowieczni tak często nadawali swym postaciom, aby wyrazić uduchowienie boskości. Dalej Matka Boska otoczona aniołami, ubierała w ornat świętego Ildefonsa. Pobożną tę legendę powtarzały obrazy i posągi w różnych miejscach kościoła, jakby była ona najbardziej cennym skarbem jego wnętrza. Na lewo Brama Wieży, na prawo Brama Notarjuszy, przez którą wchodzili ongiś depozytarjusze wiary publicznej, aby wygłosić mowę, co należało do ich obowiązków urzędowych; jedna i druga brama ozdobiona była posążkami kamiennemi, różańcami figur i emblematów, wypełniającemi łuki arkad.

Ponad trzema gotyckiemi bramami ciągnęło się pierwsze piętro, w stylu grecko-rzymskim, o prawie współczesnej konstrukcji. Stanowiło ono taki dysonans, jak dźwięk trąby, rozdzierającej nagle piękn-

ną symfonję. Jezus i dwunastu apostołów wielkości naturalnej zasiadło przy stole. Każda z figur tkwiła w niszy, ponad bramą główną, między poprzecznemi murami, podobnemi do wież, dzielącemi fasadę na trzy części. Trochę dalej, na prawo, galerje pałacu włoskiego zaokrąglały sklepienia arkad, na których niejednokrotnie zwisał Gabrjel, gdy, będąc dzieckiem, bawił się w stancji dzwonnika.

„Bogactwo kościoła — myślał — wyszło na złe jego stronie artystycznej. Katedra uboga zachowałaby jednolitość pierwotnej fasady. Lecz ponieważ arcybiskupi z Toledo posiadali jedenaście miljonów renty, a kapituła drugie jedenaście, więc, nie wiedząc, co zrobić z taką masą pieniędzy, zaczęli budować, rekonstruować i doprowadzili wreszcie do takich straszliwości dekadentyzmu sztuki, jak ta „Wieczerza".

Później biegło drugie piętro: dwa szerokie łuki okien oświetlały gwieździste ornamenty centralnej nawy, a kamienna balustrada otaczała fasadę na zakrętach, między wieżą a kaplicą maurytańsko-arabską.

Gabrjel, spostrzegłszy, że nie jest sam, przerwał swoje rozmyślania. W międzyczasie zrobił się dzień. Kilka kobiet przeszło obok niego, z głowami opuszczonemi na piersi, w mantylkach, nasuniętych aż po oczy, ocierając się rękawami o bramę. Kule kaleki odbijały się z hałasem od płyt trotuaru, a z drugiej strony wieży, między arkadami, które, występując na ulicę, czynią jakby most między pałacem arcybiskupim a katedrą, widać było zbliżające się grupy żebraków, którzy dążyli na swe zwykłe miejsce pod bramą klasztoru. Tłumy wiernych i tłumy nędzarzy

znały się ze sobą doskonale. Każdego rana oni pierwsi zajmowali kościół. Codzienne spotkania stworzyły między nimi pewną zażyłość. Zachrypniętym głosem, kaszląc i plując, jęczeli razem swoje modlitwy, przy brzasku jutrzni i dźwięku dzwonów. Drzwi obróciły się na zawiasach. Były to drzwi od schodów, wiodących na wieżę i do mieszkań służby kościelnej. Jakiś człowiek przeszedł przez ulicę, poruszając wielkim pękiem kluczy. Później, otoczony swoją klientelą poranną, otworzył arkadowe drzwi, wiodące do klasztoru, drzwi wąskie, jak strzelnica w murze. Gabrjel poznał dzwonnika Mariano. Nie chcąc, aby go dostrzegł, usunął się na stronę, pozwalając się wtłoczyć do środka ciżbie pobożnych, którzy niecierpliwili się i niepokoili, aby ktoś przypadkiem nie zajął im ich miejsc. Wkońcu Gabrjel postanowił pójść za nimi. Musiał zejść w dół po siedmiu stopniach klasztornych, ponieważ katedra wznosiła się na terenie, którego poziom niższy był od terenu uliczek sąsiednich.

Nic się tu nie zmieniło! Wzdłuż murów biegły freski Bayeu i de Maella, wyobrażające prace i zasługi św. Eulogjusza, jego nauki w krajach Maurów i męki, które cierpieć musiał od niewiernych, wyobrażonych tutaj w wielkich turbanach i ze straszliwemi wąsiskami.

Po wewnętrznej stronie drzwi *Moletta*[5] pewien fresk przedstawiał straszne męczeństwo małego *la Guardia*. Legendę tę nienawiść antysemicka zrodziła prawie jednocześnie wśród wielu katolickich narodów. Ofiara dziecka chrześcijańskiego, które Żydzi porwali z domu, aby je ukrzyżować i wypić jego krew — ma w sobie coś z drapieżnej dzikości. Wil-

goć, ściekająca po murach, zatarła już nieco to melodramatyczne malowidło, zdobiące łuk drzwi, tak, jak ramy okładki zdobią książkę. Gabrjel mógł jednak rozróżnić jeszcze ponurą minę Żyda, stojącego pod krzyżem i okrutny gest innej postaci, trzymającej nóż w zębach i pokazującej tamtemu serce małego męczennika. Te figury teatralne nieraz przerażały Gabrjela w jego snach dziecinnych.

Ogród, ściśnięty czterema portykami klasztoru, radował się nawet w zimie bujną wegetacją swoich wysokich cyprysów i drzew laurowych. Gałęzie przechodziły przez kraty, zamykające pięć arkad każdej galerji, sięgając aż do wysokości kapitelów kolumny.

Gabrjel wpatrywał się długo w ogród, którego grunt leży wyżej, niż grunt klasztoru, tak, iż, patrząc, miał na poziomie oczu tę ziemię, uprawianą ongiś przez swego ojca. Widział więc znów ten kąt zieleni, to „patio", zamienione w sad, dzięki pracy kanoników, żyjących tutaj przed wiekami. Ileż to razy, gdy się przechadzał po Lasku Bulońskim, lub po Hyde-Parku wspomnienie tego ogrodu szło za nim. Ogród katedralny pozostał dlań najpiękniejszym ogrodem świata, ponieważ był pierwszym, który widział na świecie!

Żebracy, zgrupowani na stopniach przed bramą, przyglądali mu się z ciekawością, nie śmiąc wyciągnąć dłoni po datek. Nie wiedzieli, czy ten nieznajomy w zrudziałym płaszczu, w starym kapeluszu i wykrzywionych butach jest jednym z turystów, odwiedzających o tak niezwykle wczesnej porze katedrę, czy też jest to swój człowiek, pragnący zająć tu miejsce na stałe, aby wraz z nimi prosić o jałmużnę.

Rozgniewany tem natrętnem szpiegowaniem żebraków, Gabrjel oddalił się w stronę klasztoru, przechodząc przez dwie bramy, łączące się z kościołem. Drzwi *„de la Presentacion"* całe z białego kamienia, cyzelowane, jak klejnot, i do cacka podobne, przedstawiały wdzięczny obraz sztuki *„de la pla teria* [6]. Trochę dalej ciągnęła się klatka schodowa *de Tenorio* [7]. Po schodach tych arcybiskupi schodzili ze swego pałacu do katedry. Mur był ozdobiony ornamentami gotyckiemi: szerokiemi tarczami i słynnym „kamieniem światła", wąską płytą marmurów, przezroczystych jak szkło, które oświetlają schody i dla pobożnych pątników, odwiedzających katedrę, stanowią przedmiot największego podziwu.

Tuż za schodami były drzwi św. Katarzyny, czarne, pozłacane, bogate w polichromje, z zamkami i lwami, wyrzeźbionemi na stopniach schodów, i dwoma posągami proroków po obu stronach. Gabrjel usłyszał, że z wewnątrz ktoś przy drzwiach odsuwa zasuwę, oddalił się więc o kilka kroków. Był to dzwonnik, który krążył po kościele, otwierając wszystkie wejścia. Jakiś olbrzymi brytan przeleciał mimo z opuszczonym ogonem.

Później pojawiło się dwóch ludzi, otulonych w peleryny z czarnego sukna, z kapturami, nałożonemi na głowy. Dzwonnik usunął się na stronę, aby dać im wolne przejście.

— A teraz, dzień dobry, Mariano — rzekł jeden z nich, żegnając się.

— Dzień dobry i dobranoc, ponieważ idziecie spać. Niech Bóg da wam spokojny sen!

Gabrjel poznał stróżów nocnych. Zamknięci od wieczora w katedrze, wracali teraz do swych izb,

aby wypocząć. Co się tyczy psa, to poleciał on wprost do refektarza, aby pożerać ostatki, zanim stróże następnej nocy nie zamkną go w katedrze od nowa.

Gabrjel, zszedłszy po stopniach, zapuścił się w głąb katedry. Zaledwie stanął na płytach posadzki, gdy poczuł na swojej twarzy świeży i jakby lepki wiew piwniczny.

Tu wewnątrz królowała jeszcze noc. W górze kolorowe szyby, które oświetlają pięć naw, rozbłyskiwały już w promieniach świtu. Na dole, wśród olbrzymich słupów, stanowiących jakby las kamienny, mrok trwał jeszcze uparcie. Gdzie niegdzie rozdzierały go chwiejne czerwone płomyki lamp, rzucające w głąb katedry pasma drżących cieni.

Nietoperze krążyły między kolumnami, jakby chciały przedłużyć prawo swego obywatelstwa w świątyni, aż do chwili, gdy promienie słoneczne nie przenikną przez witraże. Padając z góry, muskały one lekko głowy wiernych, którzy, klęcząc koło ołtarzy, modlili się na głos, szczęśliwi, że w katedrze mogą się czuć, jak u siebie w domu. Niektórzy z nich rozmawiali ze służbą kościelną i z klerykami, którzy otwierali wszystkie drzwi, ziewając i przeciągając się leniwo, jak robotnicy, dążący o świcie do pracy.

W cieniu, koło zakrystji, przesuwały się czarne plamy sutann, zginające się prawie do ziemi przed każdym obrazem, a dalej, w gęstym mroku po brzęku kluczy i skrzypieniu otwieranych zamków odgadywało się obecność dzwonnika.

Katedra obudziła się. Drzwi zamykały się i otwierały z hałasem, powtarzanym z nawy do nawy. Koło zakrystji pracowała miotła z odgłosem jakiejś olbrzymiej piły. Dzieci na chórze ocierały z kurzu słynne stalle, a ich miarowe uderzenia rozbrzmiewały w całej katedrze.

Wydawało się, że świątynia drgnęła nerwowo i że najmniejszy hałas razi ją bardzo.

Kroki budziły niezwykle silne echa, jakby wstrząsały grobami królów, biskupów i rycerzy, śpiących snem wiecznym pod taflami posadzki.

W katedrze było zimniej, niż na dworzu. Z niską temperaturą łączyła się wilgoć gruntu, porytego cementowemi rurami, gruntu, pełnego kałuż, które podmywały bruk. Kanonicy, kaszlący na chórze, uskarżali się, że ta wilgoć skraca im życie.

Światło dnia rozprzestrzeniało się po wszystkich nawach. Mrok uchodził i z mroku wyłaniała się niepokalana biel katedry toledańskiej, blask kamieni, czyniących z niej najwspanialszą świątynię świata. Szybko budziły się kontury osiemdziesięciu filarów, szerokie pęki kolumn, tryskających dumnie ku górze, białych jak śnieg i krzyżujących swe łuki, podtrzymujące sklepienia. Wysoko błyszczały szyby, podobne do czarodziejskich ogrodów, gdzie zamknięto kwiaty światła.

Gabrjel usiadł na stopniu filara, pośrodku dwóch kolumn. Lecz po chwili musiał wstać. Wilgoć kamienia i chłód grobowy, wiejący z całej katedry, przeniknęły go do głębi. Zaczął spacerować po nawie, zwracając na siebie uwagę pobożnych, którzy, nie przestając szeptać swoich pacierzy, ścigali go ciekawym wzrokiem.

Kilkakrotnie natknął się na dzwonnika i za każdym razem ten ostatni witał go wzrokiem, pełnym niepokoju, tak jakby nie miał zaufania do tego indy-

widuum o podejrzanym wyglądzie — indywiduum, które krążyło po katedrze tam i z powrotem, jakby, korzystając z mroku, chciało popełnić w bogatej kaplicy świętokradztwo.

Przed głównym ołtarzem spotkał Gabrjel znanego mu oddawna Eusebio. Był to zakrystjan z kaplicy „Sanktuarjum", którego księża i służba kościelna zwali *„Azul de la Virgen"*, czyniąc aluzję do jego błękitnej, jak niebo, szaty, którą przywdziewał w dni odświętne.

Wiele lat ubiegło od czasu, gdy Gabrjel widział go po raz ostatni — jednak nie zapomniał tej olbrzymiej postaci tłuściocha, o krościastej twarzy, niskiem, pomarszczonem czole, otoczonem szczeciną włosów i o prawdziwym karku byka.

Cała służba kościelna, mieszkająca w Górnym Klasztorze, zazdrościła mu jego stanowiska i funkcji, najlukratywniejszej ze wszystkich — zazdroszczono mu także, że jest w łaskach u arcybiskupa i kapituły.

Azul patrzył na katedrę, jako na swoją własność, i mało brakowało, aby nie zaczął wyganiać z niej tych, którzy byli mu antypatyczni. Ujrzawszy łazika, wałęsającego się po katedrze, utkwił w niego gniewny wzrok i nastroszył krzaczaste brwi. „Gdzie on już widział tego ptaszka?"

Gabrjel zauważył, że zakrystjan stara się usilnie zebrać pamięć i, chcąc uniknąć możliwych, a nieprzyjemnych zapytań, odwrócił się do niego plecami, udając, że przygląda się z zainteresowaniem ornamentyce jakiegoś filaru.

Później, chcąc ujść podejrzliwej ciekawości, którą obudziła jego obecność w kościele, wrócił do klasztoru. Tutaj w zupełnej samotności czuł się daleko le-

piej. Żebracy, siedzący na schodach przed bramą *„de la Moletta"*, toczyli ożywione gawędy. Wśród nich przemykali się księża, otuleni w płaszcze, dążący z pośpiechem do kościoła przez bramę *de la Presentacion.*

Żebracy pozdrawiali ich, wymieniając przytem nazwiska i imiona, lecz nie wyciągali rąk po jałmużnę. Księża byli ich dobrymi znajomymi, a od przyjaciół nie żąda się przecież jałmużny. Żebracy czyhali na cudzoziemców. Czekali cierpliwie na godzinę Anglików, ponieważ według ich zdania, każdy turysta, przyjeżdżający rannym pociągiem z Madrytu, musiał być Anglikiem.

Gabrjel zatrzymał się w pobliżu drzwi, wiedząc, że mieszkańcy Górnego Klasztoru muszą wejść tędy. Przechodzili pod arkadą, występującą na pobliską ulicę, schodzili po schodach arcybiskupiego pałacu i, przecinając ulicę, wkraczali do katedry przez drzwi *de la Moletta.*

Gabrjel, który znał doskonale historję słynnej świątyni, wiedział również skąd poszła ta nazwa.

Brama ta ongiś nazywała się „Bramą Sprawiedliwości", ponieważ było to miejsce, gdzie wikarjusz generalny udzielał posłuchań, lecz później nazwano ją *Bramą de la Moletta,* gdyż po głównej mszy oficjant, otoczony klerykami i dziadami kościelnymi, ukazywał się tutaj, aby pobłogosławić chleby i *molletas* [8] rozdawane ubogim.

Rozdawano co roku sześćset *fanegas* zboża; lecz działo się to w czasie, gdy kapituła posiadała jeszcze jedenaście miljonów renty!

Gabrjel poczuł, że ścigają go pytające spojrzenia duchownych i świeckich, którzy w międzyczasie we-

szli do kościoła. Ludzie ci, przyzwyczajeni, że każdego dnia o tej samej porze oglądają jedne i te same twarze, teraz, gdy zjawienie się jakiejś obcej twarzy zakłóciło monotonność ich życia, byli niezmiernie zaciekawieni.

Intruz udał się w głąb klasztoru, lecz, usłyszawszy słowa kilku żebraków, cofnął się zpowrotem.

— Oto Drewniana Rózga![10]

— Dzień dobry, panie Estaban!

Mały człowieczek, ubrany na czarno i ogolony, jak kleryk, schodził właśnie po schodach.

Estaban... Estaban!... wyszeptał Gabrjel, przytulony do skrzydła drzwi *de la Presentacion.*

Drewniana Rózga spojrzał na niego jasnemi oczami, które się wydawały jak z bursztynu: były to bierne oczy człowieka, przywykłego spędzać w katedrze długie dni i noce. Nigdy najmniejszy bunt inteligencji nie zakłócił błogostanu jego ducha. Wahał się długo, jakby nie mógł uwierzyć w podobieństwo między tem bladem, wychudłem obliczem, a obliczem innem, przechowywanem w pamięci. Wreszcie przekonał się o identyczności.

— Gabrjelu... mój bracie!... Czy to ty jesteś?

I nieruchoma twarz starego sługi kościelnego, w rysach której odbijała się kamienna surowość posągów i filarów, rozjaśniła się nagle uśmiechem, pełnym słodyczy.

Dwaj bracia uścisnęli sobie ręce i oddalili się w stronę portyku.

— Kiedyś tu przybył? Skąd wracasz? Co porabiasz? Co cię tutaj sprowadza?

Drewniana Rózga wyrażał swoje zdumienie

gwałtownemi pytaniami, nie dozwalając tamtemu dojść do słowa.

Gabrjel opowiedział o swojem przybyciu do miasta poprzedniego wieczora i o swem długiem czekaniu koło katedry.

— Narazie przyjeżdżam z Madrytu, dodał, ale nie lada kawał świata poznałem. Byłem w Anglji, Francji, Belgji, czy ja wiem zresztą jeszcze gdzie? Przechodziłem granice poszczególnych państw, walcząc ustawicznie z głodem i podłością ludzką. Policja i nędza szły w moje ślady. Gdy przystanąłem w drodze śmiertelnie znużony temi peregrynacjami Żyda, Wiecznego Tułacza, strach krzyczał we mnie, że trzeba iść dalej i znów zbierałem się w drogę.

Taki, jakim mnie teraz widzisz, chory, osłabiony, mający przeczucie bliskiej śmierci, wydaję ci się pewnie rozbitkiem i straceńcem losu. Wczoraj w Madrycie grożono mi więzieniem, gdybym ośmielił się przedłużyć mój pobyt w tem mieście, i przed południem wobec tego musiałem wsiąść do wagonu. Gdzie się udać? Świat jest wielki; lecz dla buntowników takich, jak ja, maleje on ustawicznie i wreszcie staje się taki malutki, że brak piędzi ziemi, na której możnaby postawić nogę.

Pozostałeś mi tylko ty i przybywam tutaj, aby się z tobą połączyć. Jeżeli mnie wypędzisz, będę musiał pójść umierać do więzienia, albo do szpitala, choć nie wiem, czyby mnie tam przyjęli, dowiedziawszy się, kim jestem.

— Ach mój bracie... mój bracie... odpowiedział Estaban serdecznie. Na cóż się zdało czytanie tylu dzienników i książek? Pocóż reformować to, co jest dobre, a nawet i to, co jest złe, skoro każde zło jest

nieuleczalne? Gdybyś poszedł swą drogą właściwą, dziś byłbyś z pewnością jednym z dobroczyńców katedry, a może zasiadałbyś także w prezbiterjum między kanonikami. Byłbyś dumą rodziny i oparciem dla niej. Miałeś zawsze gorącą głowę, byłeś zdolniejszy, niż my wszyscy. Przeklęta niech będzie wyższość umysłowa, skoro prowadzi ona do takiego upadku. Ileż się namartwiłem i nagryzłem, dowiedziawszy się o twoich losach! Myślałem, że jesteś szczęśliwy i zadowolony, pracując w tej drukarni w Barcelonie, gdzie zarabiałeś tyle, że w porównaniu z naszemi zarobkami, była to prawdziwa fortuna. Ale od czasu do czasu, gdy czytałem w gazetach twoje nazwisko, jakieś niedobre przeczucia zaczęły mi chodzić po głowie. Pisali o tobie w związku z wiecami, na których domagano się równego podziału stanu posiadania, zniszczenia rodziny i kościoła i sam nie wiem jakich jeszcze absurdów!

„Towarzysz Luna powiedział to, towarzysz Luna powiedział tamto". A ja ukrywałem przed ludźmi, że ten towarzysz — to mój brat, ponieważ przewidywałem, że te wszystkie szaleństwa skończą się źle, bardzo źle! A pozatem... pozatem ta sprawa z bombami!

— Nie brałem w tem udziału — zaprotestował Gabrjel smutnym głosem. Jestem teoretykiem. Uważam, że akcja jest przedwczesna i dlatego nie prowadzi do celu.

— Nie wątpię! Wierzyłem zawsze, że jesteś niewinny! Ty, który, jako dziecko, byłeś zawsze taki łagodny i tak mądry! Zadziwiałeś nas wszystkich słodyczą i łagodnością swego charakteru. Tkwił w tobie materjał na świętego, jak zwykła była mówić nasza matka. I zabiłeś go, zabiłeś zdradziecko, gdy ci duszę złowili na wędkę ci piekielni rybacy... O Jezu!

Drewniana Rózga umilkł, obarczony ciężarem wspomnień. Przypomniał sobie, o jakie to przestępstwa oskarżano Gabrjela.

— Wiedziałem, że zaaresztowano cię tego dnia, gdy policja zrobiła na ulicy sztuczny tłok. Ach, jakże cierpiałem wówczas! Od czasu do czasu w tutejszych fosach fortecznych rozstrzeliwano ludzi; szukałem gorączkowo na plakatach imion ofiar, będąc przygotowany, że któregoś dnia znajdę także i twoje imię. Mówiono o strasznych torturach, którym podlegali więźniowie. Starano się wymusić zeznania. Myślałem o tobie, takim delikatnym, tak wątłym i mówiłem: „Pewnego rana znajdę go martwego w jego norze". Cierpienia moje zwiększał jeszcze strach, aby nie dowiedziano się tutaj całej prawdy. Gabrjel Luna, syn Estabana, starego ogrodnika kościelnego, przyjaciela kanoników i arcybiskupów, Gabrjel Luna złączył się z rzezimieszkami, którzy chcą zniszczyć świat! Gdy Azul i inni nudziarze pytali mnie, czy przypadkiem tym Luna, którym się zajmują dzienniki, nie jesteś ty, odpowiadałem, że mój brat przebywa w Ameryce i że, będąc bardzo zajęty, pisuje do mnie bardzo rzadko. Wniknij teraz w moje położenie!

My, ludzie tutejsi przywykli do oglądania Boga i świętych każdego dnia, stępieliśmy już trochę, ale ponieważ, jak mówią, gdy trwoga — to do Boga, więc zwróciłem się do tej, która wszystko może, do Dziewicy z Sanktuarjum, naszej świętej patronki, prosząc, aby sobie przypomniała o tobie, o tobie, gdy

jako mały chłopiec, przygotowując się do seminarjum, klękałeś przed nią w kaplicy.

Gabrjel uśmiechnął się słodko, podziwiając prostotę swego brata.

— Nie śmiej się, nie śmiej się — proszę cię bardzo! Śmiech twój mnie razi. To Matka Boska ocaliła cię! Później dowiedziałem się, że odpłynęliście od brzegów Hiszpanji i że wam tutaj nigdy już nie będzie wolno powrócić. A potem ani jednego znaku życia, żadnego listu, żadnych nowin złych, czy dobrych. Sądziłem, żeś zginął w tych krajach dalekich i nieskończoną ilość razy modliłem się za twoją biedną duszę!

Gabrjelowi rozjaśniły się oczy, gdy słuchał tych słów Estabana.

— Dziękuję ci, mój bracie! Podziwiam siłę twojej wiary. Lecz z tych wszystkich przejść nie wyszedłem znów tak bardzo obronną ręką, jak sądzisz. Szybkie rozwiązanie możeby było i lepsze dla mnie. Jestem ciężko chory i śmierć moja jest nieodwołalna. Nie mam już żołądka, ani płuc. To ciało, na które patrzysz w tej chwili, jest zdemolowaną maszyną, funkcjonującą z trudem, ponieważ jej wszystkie poszczególne części są zniszczone. Dziewica, która dzięki twemu wstawiennictwu, ocaliła mnie, powinna była przypomnieć sobie o mnie nieco wcześniej i moich opiekunów więziennych uczynić mniej okrutnymi.

Ci nieszczęśliwcy sądzą, że zbawią świat, zdając się na pastwę brutalnych instynktów, drzemiących w głębi natury ludzkiej, jako tradycja przeszłości.

Zresztą, chociaż i odzyskałem wolność, życie stało się dla mnie straszniejsze, niż śmierć. Śmiertelnie

udręczony nędzą i ciągłemi prześladowaniami, wiodłem tu, w Hiszpanji, żywot potępieńca. Nie wolno mi było zamieszkać tam, gdzie ludzie żyją w większych skupieniach. Uganiali się za mną, jak sfory psów, przepędzali mnie z granic miast i wsi, na pustynię, w góry! Według nich byłem bardzo groźnym przestępcą, groźniejszym od tych straceńców, rzucających bomby, ponieważ umiałem przemawiać, ponieważ miałem w sobie jakąś nieugiętą siłę, zmuszającą mnie do głoszenia prawdy. Ale teraz już koniec!

Możesz być spokojny, mój bracie, jestem martwym człowiekiem. Mam jednak wrażenie, że przed śmiercią należy mi się jeszcze kilka tygodni odpoczynku. Po raz pierwszy w mem życiu chciałbym zaznać słodyczy spokoju i cienia; stać się nikim, tak, aby mnie nikt nie znał, abym nie budził ani sympatji, ani nienawiści.

Pragnąłbym upodobnić się do posągu w tym portyku, do filaru w katedrze, do jakiejś rzeczy nieruchomej, na której zarówno czasy radości, jak i smutku nie pozostawiają śladu najmniejszego wrażenia. Ubiec śmierć, stać się trupem, który oddycha i je, ale który już nie myśli, nie cierpi, nie entuzjazmuje się — oto mój bracie, co byłoby największem szczęściem dla mnie!

Nie wiem dokąd mam się udać — po tamtej stronie bramy są ludzie, którzy mnie gotowi znów zacząć prześladować. Czy chcesz mnie zatrzymać przy sobie?

Zamiast odpowiedzi, Drewniana Rózga przyciągnął do siebie serdecznie Gabrjela.

— Chodź ze mną na górę, szalona głowo! Nie, nie umrzesz... gdyż ja ci rozkażę żyć! Potrzeba ci spokoju i serdecznej opieki. Katedra cię uzdrowi. Naprzód więc, zawadjako! Co nas obchodzi, czy świat urządzony jest źle, czy dobrze? Jest tylko taki, jakim go widzimy. Główna rzecz — to żyć po chrześcijańsku, mając pewność, że przyszłe życie, jako dzieło Boga, lepsze będzie od tego życia, które jest dziełem ludzi... Chodź za mną, chodź!...

I popychając lekko włóczęgę, Estaban wyszedł z klasztoru. Żebrakom, obserwującym ich ciekawie, nie udało się pochwycić ani jednego słowa z rozmowy.

Estaban i Gabrjel przecięli ulicę i weszli na schody wieży. Stopnie wykładane czerwoną cegłą przedstawiały obraz zniszczenia. Na wybielonych murach widniały napisy i groteskowe rysunki, pozostawione tutaj przez turystów, ciekawych ujrzenia *Campana gorda* [11]. Gabrjel wchodził powoli, oddychając ciężko i zatrzymując się na każdym stopniu.

— Źle jest ze mną, Estabanie — bardzo źle! Moje płuca są jak rzeszoto!

Później, zawstydziwszy się widać swej obojętności, jął pytać o pozostałą rodzinę.

— A twoja żona? Mam nadzieję, że cieszy się dobrem zdrowiem?

Twarz Estabana stała się pochmurna, a jego błyszczące oczy napełniły się łzami.

— Umarła — odpowiedział z jakimś okrutnym lakonizmem.

Gabrjel stanął, jak wryty, przytrzymując się poręczy. Po krótkiej chwili milczenia jął pytać od nowa, widocznie w zamiarze pocieszenia swego brata.

— Moja siostrzenica, Sagrario, jest pewnie teraz klasyczną pięknością? Przed paru laty pisałeś mi, że wygląda jak królowa ze swą złotą grzywką, odrzuconą z czoła, z piękną, różową twarzyczką, na której złoci się meszek, jak na brzoskwini *de cigaralles* [12]. Ciekaw jestem, czy mieszka razem z tobą, czy też wyszła za mąż za jakiegoś kadeta [13]?

Drewniana Rózga uczynił gest rozpaczy i spojrzał na Gabrjela tragicznym wzrokiem.

— I ona także umarła — rzekł twardo.

— Także umarła! — powtórzył Gabrjel w osłupieniu.

— Dla mnie umarła — a to już na jedno wychodzi — rzekł z naciskiem Estaban.

Zaklinam cię jednak, bracie, na wszystkie świętości, abyś mi się nigdy o nią nie pytał.

Gabrjel pojął, że jego pytania zbudziły głęboki ból w duszy brata, przeto, wstępując po schodach, nie wyrzekł już ani jednego słowa. Podczas jego nieobecności musiało zajść w tym domu coś bardzo poważnego; jedna z tych katastrof, które raz na zawsze rozbijają rodziny. Przeszli przez zakrytą galerję, biegnącą ponad łukiem, i wstąpili do Górnego Klasztoru, zwanego *Claverias* [14]. Były tam cztery portyki tej samej wysokości co w Dolnym Klasztorze, lecz pozbawione wszelkich upiększeń. Grunt był wybrukowany połupanemi, zniszczonemi cegłami. Ogród z czterech stron zamykała barjera, wspierająca się na płaskich filarach, podtrzymujących porosłe mchem belkowanie dachu. Była to konstrukcja

prowizoryczna, lecz w ciągu trzech wieków prowizoryczność ta przeszła w stan trwały.

Po przeciwnej stronie, wzdłuż muru, wybielonego wapnem, widać było okna i drzwi mieszkań służby katedralnej. Mieszkanie, jak zresztą i urząd, przechodziło z ojca na syna.

Ten klasztor o niskich portykach wyglądał jak cztery ulice, z których każda posiadała tylko jeden rząd domów. Naprzeciwko widniała kolumna, wznosząca się ponad wierzchołkami cyprysów ogrodowych. Ponad dachem klasztoru widać było drugi rząd okien, ponieważ prawie wszystkie budynki były dwupiętrowe.

Cała ludność katedry żyła tutaj, i gdy przed nadejściem nocy zamknięto schody wieży, mieszkańcy byli zupełnie odcięci od miasta. To plemię napół duchowne, a napół świeckie, żyło, rozmnażało się i umierało w samem sercu Toledo, nie wychylając się prawie nigdy na ulicę. Instynkt atawistyczny związał je z tą górą białych kamieni, której sklepienia służyły mu za schron. Plemię żyło tutaj, przesiąkając zapachem kadzideł i wdychając woń stęchlizny i starego żelastwa. Jedynym ich horyzontem były horyzonty arkad, jedynym widokiem olbrzymia wieża, zasłaniająca wielki płat nieba.

Towarzysz Luna miał wrażenie, że powrócił nagle do lat swego dzieciństwa. Dzieciaki, podobne do dawnego Gabrjela, uganiały się i bawiły koło czterech portyków, albo też tłoczyły się na stopniach klasztoru, oświetlonych pierwszemi promieniami słońca. Kobiety, przypominające mu jego matkę, wytrząsały ponad ogrodem pościel, lub zamiatały przed domem czerwony gruz. Wszystko było tak, jak dawniej. —

Czas widocznie wcale nie upływał, przekonawszy się, że tu nic starzeć się nie może. Gabrjel odkrył na murze dwie napół zamazane karykatury, które, będąc dzieckiem, narysował węglem. Gdyby nie dzieciaki, uganiające się ze śmiechem i krzykiem po dziedzińcu, możnaby było sądzić, że w tym zapadłym kącie katedry wstrzymał się bieg czasu. Nic tu ani narodzić się, ani umrzeć nie może!

Drewniana Rózga, który, wypowiedziawszy ostatnie słowa, miał twarz zachmurzoną i ściągnięte brwi, przerwał teraz milczenie, aby dać bratu kilka niezbędnych wyjaśnień.

— Zajmuję tę samą izbę. Zostawiono mi ją ze względu na czcigodną pamięć naszego ojca. Jestem przecież tylko biednym człowiekiem, Rózgą Drewnianą. winienem więc być wdzięczny kapitule. Odkąd stało się to nieszczęście, pewna stara kobieta zajmuje się u mnie gospodarstwem. Pozatem zaprosiłem do siebie Don Luisa. Jest to młody, bardzo zdolny ksiądz, pleśniejący jednak tutaj w zapomnieniu. Prawdziwy, szczery artysta, którego w katedrze poczytują za warjata! Człowiek o prawdziwie anielskiem sercu!

Weszli do mieszkania Luna, jednego z najokazalszych mieszkań Claverias. Przed drzwiami w dwóch dzbanach w formie kropielnicy, wiszących przy murze, poruszyły się lekko korony kwiatów. W pokoju, służącym za salon, Gabrjel zastał wszystko w tym samym stanie, co za życia rodziców. Białe ściany, które w biegu lat przybrały barwę żółtej kości, pokryte były ordynarnemi obrazami świętych. Mahoniowe krzesła, wypolerowane dzięki ustawicznemu czyszczeniu, czyniły swoim świeżym wyglądem kon-

trast do starodawnych kształtów i zniszczonych obić. Przez pół-uchylone drzwi widać było kuchnię, dokąd udał się Estaban, aby starej służącej dać kilka poleceń. W kącie sali stała maszyna do szycia — była to pamiątka, pozostawiona tutaj po tej katastrofie przez „małą", wspomnienie której zbudziło taki ból w Estabanie.

Estaban powrócił do Gabrjela.

— Powiedz, co chcesz na obiad? W kuchni jest wszystkiego poddostatkiem. Coby tam przypadło do smaku twej delikatnej gębusi? Aczkolwiek jestem biedny, mam nadzieję, że cię będę mógł postawić z powrotem na nogi i że stracisz tę grobową minę.

Gabrjel uśmiechnął się wymuszonym uśmiechem.

— Niepotrzebnie kłopoczesz się o mnie! Trochę mleka wystarczy mi w zupełności, o ile oczywiście będę je mógł przełknąć.

Estaban rozkazał służącej, aby poszła na miasto i kupiła mleka. Później, gdy usiadł obok brata na fotelu, otwarły się nagle drzwi, wiodące do klasztoru i w szparze ukazała się twarz jakiegoś młodego człowieka.

— Dzień dobry, mój wuju — zawołał nowoprzybyły.

Jego płaska twarz miała jakiś lisi wyraz, oczy jego błyszczały złośliwie i przebiegle. Nosił bakobrody, które zdawały się być przylepione do twarzy tłuszczem kosmetyków.

— Możesz wejść, nicponiu — rzekł Drewniana Rózga.

I dodał, zwracając się do Gabrjela:

— Nie znasz go? Przecież to syn naszego brata,

nieboszczyka Tomasza. Panie, świeć nad jego duszą! Mieszka w Górnym Klasztorze, wraz z matką, która pierze bieliznę kanonikom i w zadziwiająco zręczny sposób prasuje zakładeczki przy komżach. Tomaszu, pozdrów uprzejmie tego pana. Jest to twój stryj, który wraca z Paryża, z Ameryki, Bóg zresztą raczy wiedzieć skąd — zdaleka, bardzo zdaleka!

Młody człowiek przywitał się z Gabrjelem. Uczuł się onieśmielony obecnością tego krewnego. Matka opowiadała mu o nim niejednokrotnie, jak o istocie bardzo tajemniczej.

— Ten, którego widzisz przed sobą — ciągnął dalej Estaban, zwracając się do Gabrjela, to prawdziwa zakała całej katedry. Ksiądz - kanonik niejednokrotnie wyrzuciłby go już na zbity łeb, gdyby nie wzgląd na pamięć jego ojca i jego dziadka, gdyby nie nazwisko, które nosi. Wie przecież o tem cały świat, że rodzina Luna jest tak starożytna, jak kamienie katedry. Wszystkie głupstwa, które mu strzelą do głowy, zaraz w czyn wciela. W zakrystji za plecami księży zachowuje się, jak poganin. Nie zaprzeczaj mi, hultaju!

I pogroził mu palcem z miną napoły surową, a napoły żartobliwą tak, jakby w gruncie rzeczy niebardzo się gniewał na siostrzeńca za jego figle i wybryki.

Tamten przyjął spokojnie wyrzuty stryjaszka, wykrzywiając twarz po małpiemu. Ani razu nie opuścił oczu, które wpatrywały się uporczywie w obecnych.

— To prawdziwy wstyd — ciągnął dalej Estaban — że czeszesz się na sposób tych galantów madryckich, odwiedzających Toledo w dni świąteczne.

Za naszych czasów jużby cię do skóry ostrzygli. Ale w tym wieku, w wieku moralnego upadku i rozwydrzenia obyczajów, nasz kościół prymasowski biedny jest, jak Hiob. Panom z kapituły nie chce się zajmować drobnostkami i dlatego aż litość bierze patrzeć, jak tu wszystko idzie na opak.

Drewniana Rózga uczynił gest, pełen rozpaczy, później dodał:

— Dzisiejsza młodzież, mieszkająca w Claverias, zupełnie nie dba o katedrę. Ten młodzieniec, stojący przed nami nie jest zadowolony ze swego losu; a mimo to, chociaż jest jeszcze smarkaczem, sprawuje urząd, który ojciec jego sprawować zaczął dopiero, ukończywszy trzydziesty rok życia. Marzeniem chłopca było zostać torreadorem. Miał czelność wziąć którejś niedzieli udział w *novillada* [15] na arenie w Toledo. Jego matka przyszła wówczas do mnie, niby Magdalena z rozpuszczonym włosem, aby mi opowiedzieć o sprawkach syna, a ja, uświadomiwszy sobie, że powinienem mu zastąpić zmarłego ojca, schwyciłem łobuza za łeb w chwili, gdy wracał z areny i tą samą drewnianą rózgą, którą się posługuję w katedrze, nauczyłem go rozumu. Umykał po schodach, aż się kurzyło. Niech ci powie czy mam lekką rękę? Dziewico z Sanktuarjum! Jeden z Luna, mieszkających w katedrze miał się stać torreadorem? Po tej eskapadzie pewien jowialny ksiądz nazwał go „*Tato*“ [16] i odtąd nazwa ta przylgnęła do niego. Widzisz teraz bracie„ jaki zaszczyt przynosi ten łajdak naszej rodzinie?

Drewniana Rózga rzucił na Tato spojrzeniem, które go zmiażdżyć chciało, lecz ten uśmiechał się, zupełnie nie strapiony wyrzutami stryja.

— I nie wyobrażaj sobie, Gabrjelu, że temu ulicznikowi brakuje chleba i że niedostatek pcha go na śliską, pochyłą drogę. Mimo to, że ma szaloną głowę, dano mu urząd *perrero* [17], gdy tylko ukończył dwudziesty rok życia — do urzędu tego dochodzi się zwykle po latach ciężkiej służby. Dostaje 6 reali dziennie, a ponieważ łazi bezczynnie po katedrze, więc może jeszcze zająć się turystami. Dzięki ciągłym napiwkom, zarabia więcej, niż ja! Cudzoziemcy, odwiedzający katedrę, — ekskomunikowani, traktujący nas, jak ciekawe zwierzęta, i znajdujący, że u nas wszystko jest dziwaczne i śmieszne — już zauważyli jego dorodną postać!

Anglicy zapytują się go, czy był torreadorem? A on... wstyd mi nawet mówić o tem, gdy zauważy, że ich to interesuje, zaczyna łgać, jak najęty. Trzeba ci wiedzieć, że jest bardzo mocny w pysku! Opowiada o wielkich corridach, w których przyjmował udział w Toledo, Madrycie, Cordobie i Sevilli, o pozabijanych przez siebie bykach. Ci głupcy Anglicy zapisują jego słowa w notesach. Kiedyś zdarzyło się nawet, że jakaś blondynka o dużych stopach przyszła szkicować profil tego błazna! Temu łajdakowi chodzi tylko o to, aby cudzoziemcy gładko przełknęli jego słowa i w nagrodę dali mu pesetę. Oczywiście nie zastanawi się, małpa jedna, że heretycy, powróciwszy do domu, rozgłaszają potem, że w katedrze toledańskiej, prymasowskim kościele Hiszpanów, służba kościelna składa się z torreadorów, asystujących przy nabożeństwach między jedną, a drugą corridą. Jednem słowem, zarabia więcej, niż ja, i jeszcze skarży się, że mu źle! Taki piękny urząd, takie zajęcie! Iść na czele procesyj, tuż obok wielkiego pry-

masowskiego krzyża i podpierać go widłami, przybranemi karmazynowym aksamitem, aby nie upadł. Ubierać się w brokat szkarłatny, jak kardynał! W tej szacie, jak mówi zakrystjan, który zna się na wielu rzeczach, każdy przypomina niejakiego pana Dantego, żyjącego ongiś we Włoszech. Pan ten, wybrawszy się na zwiedzenie piekła, opowiedział później swoje wrażenie w poemacie.

Na schodach ślimaka, który, sąsiadując ze ścianą mieszkania, wiódł na drugie piętro, rozległ się odgłos kroków.

— To Don Luis — oznajmił Drewniana Rózga. — Udaje się właśnie do kaplicy Sanktuarjum, aby odprawić mszę.

Gabrjel wstał, aby pozdrowić księdza. Był to człowiek małego wzrostu i delikatnej budowy. Dysproporcja między jego wielką głową a małą postacią odrazu rzucała się w oczy. Jego wypukłe, olbrzymie czoło jakby przygniatało ogorzałą, o nieregularnych rysach twarz, usianą znakami po ospie. Był brzydki — jednakże wyraz jego niebieskich oczu, połysk śnieżno-białych, równych zębów i niewinny, prawie dziecinny uśmiech czyniły sympatyczne wrażenie, które sprawiają często ludzie prości, oddający się wyłącznie upodobaniom artystycznym.

— A więc ten pan jest pańskim bratem, o którym tyle od pana słyszałem? — rzekł ksiądz do Estabana, podczas, gdy ten ostatni przedstawiał ich wzajemnie.

I muzyk wyciągnął do Gabrjela przyjaźnie dłoń. Mieli obydwaj ten sam chorobliwy wygląd — wspólność cierpienia stworzyła między nimi odrazu nastrój braterskiej zażyłości.

— Ponieważ pan studjował w seminarjum, więc zapewne zna się pan na muzyce? — zapytał ksiądz.

— Jedno, co mi zostało po tych wszystkich wiadomościach — odparł Gabrjel.

— Podróżując po świecie, słyszał pan wiele arcydzieł?

— Tak, oczywiście. Ze wszystkich sztuk muzyka jest mi sztuką najbliższą. Nie znam się na niej, niestety, ale ją czuję!

— Bardzo się cieszę, że pan przyjechał! Napewno staniemy się przyjaciółmi. Będzie pan nam opowiadał o swoich przeżyciach. Jakże panu zazdroszczę tych podróży naokoło świata.

Mówił niespokojnie i chaotycznie jak dziecko i nie chciał usiąść, chociaż Estaban kilkakrotnie podsuwał mu krzesło. Chodził po komnacie tam i z powrotem, z podniesionemi połami płaszcza i z kapeluszem w ręku. Ten staromodny, biedny kapelusz, na którym nie było już śladu włosia, kapelusz o zatłuszczonych brzegach zgadzał się dziwnie z połatanną sutanną i wykrzywionemi butami. Mimo tego nędznego wyglądu, ksiądz miał w sobie jakąś elegancję wrodzoną. Włosy nosił dłuższe, niż zwykle noszą księża. Spływały one w lokach dookoła twarzy. Niby tenor operowy drapował się dumnie w swój płaszcz. Cechowała go pewna nonszalancja, pozwalająca się domyślać, że pod sukienką duchowną kryje się artysta.

Nagle potężne dźwięki dzwonów, podobne do dalekich grzmotów, wstrząsnęły klasztorem.

— Stryju — rzekł Tato — wzywają nas już na chór. Oddawna powinniśmy być w katedrze. Dochodzi ósma.

— Tak, masz rację! I pomyśleć, że taki łobuz przypomina mi o mych obowiązkach. Chodźmy!

Drewniana Rózga wyszedł wraz z księdzem-muzykiem i Tomaszem. Gabrjel, zostawszy sam, rzucił się na kanapę. Po kilku chwilach stara służąca postawiła na stoliku dzbanek z mlekiem i napełniła filiżankę. Gabrjel wypił, później śmiertelnie zmęczony, zapadł w słodkie omdlenie snu. Wypoczywał tak przeszło godzinę. Jego nierówny oddech przerywały raz wraz wybuchy kaszlu, które jednak nie mogły go wyrwać ze snu.

Obudziwszy się, skoczył na równe nogi. Nerwowy dreszcz przebiegł po nim od stóp do głowy. Później raptownie wyprostował się i rzucił całem ciałem w bok, jakby chciał uniknąć lufy rewolweru. Obawa przed nieznanem niebezpieczeństwem przeszła u niego w stan stały, przyzwyczaił się do niej w swych mrocznych norach, oczekując na chwilę, gdy drzwi się otworzą, lub wylecą z zawias i na progu staną kaci, aby powlec go jak psa na miejsce egzekucji.

Gabrjel nie mógł już zasnąć. Poszedł tedy do klasztoru, przechylił się przez poręcz i jął patrzeć w kierunku ogrodu.

Claverias były puste. Dzieciaki, które go rano tak rozweseliły, udały się już do szkoły. Kobiety były zajęte w kuchniach przygotowywaniem obiadu. Światło słoneczne zalało całą tę stronę klasztoru, a cień, padający od kolumn, bramował na taflach posadzki wielkie czworokąty złote.

Uroczysta cisza katedry i jej spokój działały na Gabrjela, jak łagodna narkoza. Otoczyły go opiekuńcze skrzydła siedmiu wieków, które złączywszy się

z temi murami, odcięły go teraz od świata. W jednej z izb rozlegały się uderzenia młotka; był to młotek szewca, którego Gabrjel ujrzał przez szybę okienną, gdy pochylony nad stołem, pracował w pocie czoła. Na tle nieba, ograniczonego dachami, widać było gołębie, poruszające białemi skrzydłami, niby wiosłami na lazurowem jeziorze. Zmęczywszy się, opadały na klasztor i sadowiąc się na poręczach, rozpoczynały gruchania miłosne, zakłócając pobożną, klasztorną ciszę.

Od czasu do czasu otwierano drzwi katedry i do ogrodu buchały fale powietrza, pełne kłębów kadzidła, potężne dźwięki organów i głosy, śpiewające słowa łacińskie o sylabach, uroczyście przeciąganych.

Gabrjel patrzył na ten kwadrat ziemi, zamknięty białemi arkadami i surowymi filarami z ciemnego granitu, gdzie naskutek częstych deszczów zaczęły się gnieździć grzyby i pleśń, podobna do kawałków czarnego aksamitu. Na krańcach ogrodu ukazało się już światło słoneczne, lecz reszta spoczywała jeszcze w zielonym cieniu. Dzwonnica zasłaniała część nieba. Jej czerwonawe boki ozdobione były płytami czarnego marmuru, na których widać było tarcze herbowe arcybiskupów, biorących udział w jej budowie. Wyżej, prawie u szczytu, widniały dzwony, niby ptaki z bronzu, zamknięte w żelaznych klatkach.

Trzy potężne dźwięki, zwiastujące Podniesienie, zabrzmiały po całej katedrze. Góra kamieni zatrzęsła się w posadach. Wibracje przeszły przez nawy, przez galerje i sklepienia, sięgając aż do fundamentów budynku. Później znów zapanowała cisza,

która po grzmocie dzwonów wydała się bardziej majestatyczna i głęboka. Znów słychać było gruchanie gołębi, podczas gdy na dole, w ogrodzie świergotały wróble, upite promieniem słonecznym, ożywiającym zielony cień.

Gabrjel nie bronił się owładającym go wzruszeniom. Zapadł w stan słodkiego upojenia, pogrążył się w tę ciszę i spokój bezwzględny, w szczęśliwość nie-istnienia. Tam, za murami istniał świat; lecz tutaj nie było go słychać. ani widać. Ten świat obojętny i daleki nie przekraczał progu wspaniałego grobowca i pomnika przeszłości, gdzie nic nie przedstawiało dlań interesu. Któż mógłby przypuszczać, że Gabrjel znajduje się tutaj? Ten stary budynek, liczący sobie siedem stuleci, wzniesiony dzięki umarłym już dziś ambicjom politycznym i żarliwej wierze ubiegłych wieków, będzie jego schronem ostatnim. W epoce bezbożności i niewiary, Kościół stanie się jego ucieczką, tak, jak nią był w wiekach średnich dla wielkich przestępców, którzy w Górnym Klasztorze drwili sobie ze sprawiedliwości, wstrzymanej na progu, wraz z tłumami żebraków. Będzie oczekiwał, aby tam, w spokoju dokonało się dzieło zniszczenia organizmu. I umrze wreszcie z tem uczuciem satysfakcji, że dla świata umarł już dawno. Urzeczywistni się wreszcie jego pragnienie, aby zakończyć swoje dni, tutaj pod opiekuńczym cieniem tej katedry. Nadzieja ta podtrzymywała go podczas wędrówek po Europie, gdy się krył przed policją i żandarmami, gdy nocami spał skurczony z brodą między kolanami w rowach przydrożnych, obawiając się, że umrze z zimna. Uchwycić się tej katedry tak, jak tonący chwyta się deski — oto było jego pragnienie, pragnienie, urzeczywistniające się teraz! Kościół przygarnął go, niby stara i przygnębiona matka, która nie umie się uśmiechać, lecz za to szeroko otwiera ramiona.

II.

W czasach, gdy żył drugi kardynał Bourbon, Estaban Luna, ojciec Gabrjela, był ogrodnikiem katedralnym na mocy przywileju, który wyłącznie przysługiwał jego rodzinie.

Kto był tym pierwszym Luną, który wstąpił na służbę do kościoła? Ogrodnik, zadając sobie to pytanie, uśmiechał się z zadowoleniem, a oczy jego gubiły się w dali, jakby chciały zgłębić ogrom przeszłych wieków. Luna byli tak starzy, jak fundamenty kościoła. Pokolenia za pokoleniami rodziły się tam, w tych izdebkach Górnego Klasztoru i wydawało się, że katedra stanowi własność rodziny Luna. Kanonicy, biskupi, arcybiskupi i dobroczyńcy kościoła zmieniali się nieustannie, otrzymywali swój urząd... a później umierali i inni zajmowali ich miejsca. Była to nieprzerwana defilada osób, które, przybywając z wszystkich możliwych stron Hiszpanji, osiadały tutaj, aby po kilku, czy kilkunastu latach umrzeć i innym nowoprzybyłym pozostawić wakujące miejsca.

Tylko rodzina Luna trwała tu zawsze na posterunku, jakby jej członkowie stanowili jeszcze jeden filar katedry. Było zupełnie możliwe, że arcybiskup jednego roku będzie się zwał Don Bernardo, drugiego Don Gaspar, trzeciego Don Fernando, lecz nie można było sobie wyobrazić, aby w ogrodzie katedralnym,

zakrystji i chórze zabrakło Luna. Katedra od wieków przywykła już do ich usług.

Ogrodnik Luna mawiał z dumą o swych przodkach: o szlachetnym i nieszczęśliwym krewniaku, konetablu Don Alvaro, spoczywającym, jak król, za głównym ołtarzem kaplicy, o papieżu Benedykcie XIII, dumnym i upartym, jak wszyscy członkowie rodu, o Don Pedro de Luna, piątym z kolei, który zajmował w Toledo krzesło arcybiskupie i o innych wreszcie, mniej znanych, niż ci wyżej wymienieni.

— Wszyscy jesteśmy z tego samego pnia — mawiał z dumą. Przyszliśmy tutaj z szlachetnym królem Alfonsem VI na podbój Toledo. Niektórym jednak zachciało się połączyć z Maurami, stali się rycerzami i zdobywali zamki, podczas gdy moi pradziadowie, żarliwi chrześcijanie, pozostali na zawsze w katedrze.

Jak książe, który z dumą opowiada historję swoich przodków, stary Estaban rozpatrywał genealogję rodziny Luna, cofając się aż do XV wieku. Ojciec jego znał Don Franciszka III Lorenzana, tego wspaniałego i rozrzutnego księcia Kościoła, który za przykładem mecenasów renesansowych olbrzymie swe dochody obracał na budowę pałaców i wydawanie książek.

Znał także pierwszego kardynała Bourbona, Don Luisa II, i z przyjemnością opowiadał o romantycznem życiu tego infanta, brata króla Karola III. Don Luis został kardynałem, mając lat dziewiętnaście, dzięki obyczajowi, zgodnie z którym potomkowie wielkich rodów bardzo wcześnie byli przeznaczani do stanu kapłańskiego.

Lecz ów wielki pan, którego portret wisi w sali kapituły, ów wielki pan o błękitnych oczach, białej peruce i wymalowanych ustach, więcej zajmował się uciechami tego świata, niż sprawami Kościoła. Któregoś dnia zrzekł się też swej godności arcybiskupiej, aby poślubić pewną dziewczynę z ludu. Wpadł w zatarg z królem, i wreszcie został wygnany z granic kraju.

Estaban Luna, przeskakując z pokolenia na pokolenie, przypominał sobie jeszcze arcyksięcia Alberta, który zrezygnował z mitry toledańskiej, aby wyjechać, jako wielkorządca, do Niderlandów—oraz wspaniałego kardynała de Tavera, wielkiego protektora sztuk. Wszyscy ci książęta i wielcy panowie odnosili się z serdeczną życzliwością do rodziny Luna, wiedząc, z jakiem oddaniem i samozaparciem służyła ona sprawom Kościoła.

Co się tyczy samego Estabana—to dzieciństwo jego nie było szczęśliwe. Toczyła się właśnie wojna o niepodległość. Francuzi, zająwszy Toledo, wkroczyli do katedry z obnażonemi szablami, i zachowywali się, jak poganie, plądrując po wszystkich kątach w czasie uroczystej mszy. Klejnoty zostały ukryte. Kanonicy i proboszczowie, zwani podówczas *racioneros*, żyli rozproszeni po całym półwyspie. Jedni z nich szukali schronu w miejscowościach, należących jeszcze do rządu hiszpańskiego, inni rozsypali się po wsiach, modląc się o szybki powrót *Upragnionego* [18]. Litość brała, gdy się patrzyło na chór. Rozbrzmiewało tam tylko kilka głosów. Tchórze i egoiści, niezdolni do opuszczenia swoich stron rodzinnych, skłonili głowy przed uzurpatorem i najeźdźcą. Drugi kardynał z linji Bourbonów, łagodny i słaby Don Luis Ma-

ria, mieszkał w Kadyksie, jako regent królewski. On jeden z całej swojej rodziny pozostał w Hiszpanji, i parlamentarzyści mieli go na oku, chcąc nadać swej władzy rewolucyjnej pewien odcień dynastycznego splendoru.

Gdy kardynał po zawarciu pokoju powrócił do swej archidiecezji, Estaban ze łzami wzruszenia spojrzał na tę twarz nadąsanego dziecka, nad którą wznosiło się okrągłe i malutkie czoło.

Don Luis Maria, przyjąwszy w Madrycie swego synowca, Ferdynanda VII, powrócił do Toledo, rozczarowany i przybity na duchu. Jego towarzysze z czasów regencji znajdowali się w więzieniach, lub na wygnaniu, i jeśli kardynałowi nie przypadł w udziale ten sam los, zawdzięczał on to swojej mitrze i swemu nazwisku. Nieszczęśliwy prałat sądził, że uczynił bardzo wiele, dbając podczas wojny o ochronę interesów swojej rodziny, a oto zrobiono z niego liberała, wroga monarchji i Kościoła. Don Luis Maria nie mógł do końca życia pojąć, na czem miał polegać jego błąd, i jaką właściwie popełnił zbrodnię? Wiódł w swym pałacu smutne i samotne życie, łożąc wielkie sumy na odnawianie katedry. Po jego śmierci, w roku 1823, a więc w chwili, gdy zaczynał się okres reakcji, na krześle arcybiskupiem zasiadł Inguanzo, trybun absolutyzmu, który rozpoczął swoją karjerę w Kadyksie, atakując, jako poseł, wszystkie reformy i rzucając hasła powrotu do polityki austrjackiej, jedynie, według jego zdania, zbawiennej dla kraju.

Poczciwy ogrodnik witał z równym eutuzjazmem kardynała Bourbona, znienawidzonego przez króla, jak i królewskiego faworyta, nowego prałata.

Ten wściekły reakcjonista, człowiek o charakterze bezwzględnym i ostrym, teroryzował całą diecezję. Według Estabana, każdy, kto zajmował krzesło arcybiskupie, musiał być człowiekiem doskonałym. Nie wolno było krytykować ani jego, ani jego czynów. Ogrodnik udawał przeto, że nie słyszy podejrzanych szeptów kanoników i kleryków, którzy, paląc papierosy w altanie ogrodowej, mówili o wyskokach pana Inguanzo, oburzonego na rząd Ferdynanda VII, ponieważ rząd ten, obawiając się cudzoziemców, nie chciał ustanowić na nowo zbawiennego Trybunału Świętej Inkwizycji. Estaban martwił się bardzo, widząc upadek swojej ukochanej katedry. Dochody arcybiskupstwa i kapituły zmniejszyły się po wojnie bardzo. Stało się to, co się staje podczas powodzi.

Ustępujące wody porywają drzewa i domy; ziemia wygląda, jak ogołocona pustynia.

Katedra straciła swe uprzywilejowane stanowisko. Dzierżawcy, wzbogaciwszy się na koszt publicznego dobra, przekształcili się w obywateli ziemskich; wsie wyzwoliły się od feodalnego przymusu, tak jakby, przywykłszy do toczenia wojny, zapomniały raz na zawsze o obowiązkach wasala. Z drugiej strony ci złoczyńcy, parlamentarzyści, zniósłszy prawa suwerenne, zmniejszyli ogromnie dochody z dóbr kościelnych, zdobytych w czasach, gdy arcybiskupi z Toledo z hełmami na głowach szli na wojnę z Maurami.

Mimo to Kościołowi pozostał jeszcze znaczny majątek. Zachowywał on nadal swoją wspaniałość tak, jakby wogóle w międzyczasie nic nie zaszło, lecz Estaban w głębi swego ogrodu przeczuwał niebez-

pieczeństwo. Od kanoników dowiedział się o spiskach liberałów, o rozstrzeliwaniach i zesłaniach. Jego Królewska Mość, Don Fernando, musiał w ten sposób powściągać zuchwalstwo *Czarnych* [19], nieprzyjaciół monarchji i kościoła.

— Oblizują się, jak po miodzie — mawiał — i jeszcze tu powrócą. Podczas wojny zdzielili nas porządnie pierwszem uderzeniem, obłupili katedrę, zabrawszy połowę jej bogactw. Nie omieszkają naturalnie pożreć reszty, gdy im się tylko uda schwycić znów za patelnię.

Ogrodnik oburzał się na tę myśl. „A więc to w tym celu arcybiskupi z Toledo walczyli z Maurami, zdobywali miasta i zamki, konfiskowali domeny, czyniąc z nich własność katedry, na chwałę Boga i chrześcijańskiego wyznania? Jeżeli tylu wiernych: królowie, arcybiskupi, książęta i zwykli śmiertelnicy zapisywali w testamencie Kościołowi swoje majętności, myśląc o zbawieniu swojej duszy, czyż działo się to poto, aby teraz bogactwa te wpadły w brudne łapy bezbożników? Jakiż będzie los wielu ludzi szlachetnych: duchownych jak i świeckich, dygnitarzy, jak i zwykłych sług, którzy żyli z dochodów katedralnych? Oto, co się nazywa wolnością! Kraść dobro innych i wtrącać w otchłań nędzy rodziny, które żywiły się u stołu kapituły".

Gdy ponure przewidywania ogrodnika zaczęły się sprawdzać, to znaczy gdy Mendirabal wydał dekret o zniesieniu dóbr martwej ręki, kardynał Inguanzo, uwięziony w swym pałacu przez liberałów, tak jak jego poprzednik więziony był przez absolutystów, postanowił umrzeć, aby nie patrzeć na bezbożne zamachy na święte bogactwo Kościoła.

Estaban, który, jako prosty ogrodnik, nie mógł pójść w ślady kardynała — żył dalej, lecz każdego dnia odczuwał coraz większą udrękę, dowiadując się, że nawet ci, którzy asystują zwykle przy mszy, nabywają za zrabowane pieniądze domy, ogrody, pastwiska — nieruchomości, należące do Kościoła, a dziś wciągnięte na listę dóbr narodowych. Złoczyńcy!

Te nieustanne licytacje, zmniejszające dobytek kościoła — były dla Estabana powodem ciągłej troski i rozpaczy. Któregoś dnia *alquaziles* wtargnęli do jego mieszkania, aby zagrabić meble, do których były przywiązane wspomnienia jego przodków.

Przez pewien czas nosił się z zamiarem opuszczenia ogrodu i udania się do *Maestrazgo,* [19] albo prowincyj północnych, aby połączyć się tam z wiernymi, którzy broniąc praw Karola V, propagowali hasła powrotu do dawnego porządku. Estaban miał wówczas czterdzieści lat, czuł się zdrów i silny. Aczkolwiek był pacyfistą i nigdy w życiu nie miał nic z fuzją do czynienia, to jednak entuzjazmował się, widząc, jaki przykład dają pobożni i cisi alumnowie, którzy, uciekłszy z seminarjum, walczyli w Katalonji pod dowództwem Don Ramona Cabrera. Ale Estaban, nie chcąc być sam w swem obszernem mieszkaniu na Claverias, ożenił się przed trzema laty z córką zakrystjana, która dała mu pięknego syna; zresztą nie mógłby żyć zdala od swej ukochanej katedry. Został więc w ogrodzie!

Po ukończeniu wojny rozwiały się, jak dym, ostatnie nadzieje Esabana. Wpadł w najczarniejszą rozpacz i nie chciał wiedzieć o niczem, co działo się poza katedrą. Bóg opuścił sprawiedliwych! Zdrajcy

i złoczyńcy rozmnożyli się w zastraszający sposób. Jedyną rzeczą, pocieszającą go trochę, była świadomość potęgi katedry, która, przetrwawszy stulecia, mogła się ważyć na dalszą walkę ze swymi wrogami.

Obecnie pragnął tylko uprawiać w spokoju swój ogród, a umierając w Górnym Kościele, jak jego przodkowie, pozostawić nową generację Luna, któraby służyła nadal w świętem wnętrzu kościoła. Jego starszy, dwunastoletni syn, Tomasz, pomagał mu w zajęciach ogrodowych. Drugi syn, Estaban, był tak pobożny, że zaledwie umiejąc utrzymać się na nogach, klękał przed wszystkiemi pobożnemi obrazami, wiszącemi w mieszkaniu i płakał, gdy matka nie chciała go wziąć do kościoła.

Tymczasem bieda wkroczyła do katedry. Zmniejszono znacznie liczbę duchownych — i gdy ktoś umierał, znoszono również jego urząd. Rozstano się z rzemieślnikami: stolarzami, mularzami, szlifierzami, którzy dawniej zajmowali się bez przerwy reperacjami, mieszkając stale przy katedrze. Jeżeli teraz od czasu do czasu zachodziła gwałtowna potrzeba podjęcia jakiejś roboty, godzono robotników na dniówki.

Wiele mieszkań w Claverias stało pustkami. Panowała tam cmentarna cisza. Rząd madrycki (trzeba było słyszeć, z jaką nienawiścią i pogardą stary ogrodnik wymawiał te słowa) toczył rokowania z papieżem w sprawie zawarcia konkordatu. Ograniczono liczbę kanoników — państwo płaciło im odtąd pensję, jako urzędnikom niższej kategorji. Na utrzymanie najwspanialszej katedry hiszpańskiej, tej katedry, która za czasów daniny nie wiedziała, co robić ze swojem bogactwem, oraz na wydatki, związane z ceremonją religijną, dawano teraz tysiąc dwieście pesetów miesięcznie.

— Tysiąc dwieście pesetów — mówił ogrodnik do swego syna, Tomasza, który poza ogrodem niczem na świecie się nie interesował.—Tysiąc dwieście pesetów! Gdy zostałem ogrodnikiem, katedra miała sześć miljonów renty... Co można zrobić z takiemi pieniędzmi? Złe czasy nadchodzą i gdybym nie był Luna, nauczyłbym was jakiegoś rzemiosła. Moglibyście znaleźć zajęcie gdzieś poza katedrą. Ale Luna nie mogą hańbić się dezercją, jak te łajdaki, zdradzający sprawę Boga. Tutaj przyszliśmy na świat, tutaj także pomrzemy aż do ostatniego.

I wściekły na duchownych, którzy, radzi, że uszli zdrowo i cało z burzy rewolucyjnej, zgodzili się teraz z zadowoleniem na konkordat, ogrodnik odcinał się od świata furtą ogrodową. Przynajmniej ten świat roślinny się nie zmieniał. Jego zielony cień był, jak zmierzch, otaczający duszę ogrodnika. Brakło mu radości zgiełkliwej, pełnej barw i gwaru, jak w ogrodach na otwartych przestrzeniach, dokąd słońce wpływa falami. Był natomiast smutny urok ogrodu klasztornego, zamkniętego między czterema murami. Blady dzień, prześlizgując się przez poddasza i arkady, zaglądał do niego z ostrożna, a ptaki, krążące na niebie, dziwiły się wielce, dostrzegłszy kwitnący, zielony raj na dnie czarnej studni. Roślinność była podobna do roślinności krajów helleńskich: proste drzewa laurowe, stożkowe cyprysy i krzewy różane, jakby wyjęte z idylli poetów greckich.

Lecz wiążące ogród arkady, aleje wybrukowane wielkiemi taflami, w szczelinach których wyrastała

trawa, krzyż z bluszczu, stojący w altanie, wilgoć kamieni, rdza na odrzwiach i kratach, i omszałe parkany—wszystko to nadawało ogrodowi charakter jakiejś archaicznej epoki. Drzewa poruszały się na wietrze, jak kadzielnice; omdlewające, anemiczne, a mimo wszystko piękne kwiaty, miały zapach kadzidła, jakby kłęby powietrza, płynąc z katedry, odebrały im ich zapach naturalny. Woda deszczowa, spływająca z rynien i ścieków, spała w dwóch olbrzymich cysternach. Wiadro ogrodnika, przerywając na chwilę zieloną skorupę powierzchni, ukazywało błękitny cień wnętrza, lecz gdy znikły koncentryczne kręgi, wodorosty znów zbliżały się do siebie i łączyły z sobą. Woda ginęła pod zieloną kryptą bez najmniejszego dreszczu, bez sprzeciwu, woda martwa, jak cała świątynia, zatopiona w ciszy wieczornej.

W święto „*Corpus*“ [20] i Dziewicy z Sanktuarjum, przypadające na dzień piętnastego sierpnia, tłumy wiernych prosiły Estabana, aby napełnił ich dzbany wodą z cysterny. Był to starodawny obyczaj, bardzo gorąco obserwowany przez Toledańczyków, którzy, pijąc przez cały rok z ziemistych wód Tagu, zachwycali się teraz świeżą, źródlaną wodą katedralną. Bardzo często wierni ci dawali Estabanowi zarobić coś nie coś. Prosili go o bukszpan do obrazów świętych, o dzbany z kwiatami, przekonani, że są one daleko piękniejsze, niż w cigarrales, ponieważ pochodzą z kościoła prymasowskiego. Staruszki kupowały od niego gałązki laurowe na sosy, albo na medykamenta. Te zarobki, łącznie z dwiema pesetami płacy dziennej wyznaczonemi teraz ogrodnikowi, jako pensja, pozwalały mu wyżyć jako tako wraz z całą ro-

dziną. Pod starość narodził mu się trzeci syn, Gabrjel, smarkacz, który, mając cztery lata, wszystkim kobietom z Claverias wydawał się cudownem dzieckiem. Matka z ślepym uporem utrzymywała, że malec jest żywym portretem małego Jezusa, którego trzyma na ręku Dziewica z Sanktuarjum. Ciotka Tomasa, małżonka Azula i matka rodziny, zajmującej połowę izb w Claverias, wychwalała inteligencję swego małego siostrzeńca, gdy ten zaledwie mówić się nauczył i zdumiewała się, widząc, z jak naiwną nabożnością malec patrzy na święte obrazy.

— Możnaby pomyśleć, że to anioł — mówiła do swych przyjaciółek. — Trzeba widzieć, z jaką powagą odmawia modlitwy. Wierzcie mi, że Gabrjelitto stanie się wielkim człowiekiem, może nawet biskupem! Za czasów, gdy ojciec mój był zakrystjanem, znałam dzieci z chóru, które obecnie noszą mitrę. Może zobaczymy go nawet na arcybiskupiem krześle Toledo!

Zgodny chór pochwał i powszechnej adoracji otaczał dziecko jakby kadzidlaną chmurą. Rodzina żyła tylko dla niego. Stary Estaban, ojciec dawnej daty, który, kochając bardzo swoje dzieci, był dla nich bardzo stanowczy i surowy, aby je dobrze wychować, pozwalał malcowi na wszystkie kaprysy. Dokazywał z nim i wydawało się, że w obecności syna młodnieje o lat kilkadziesiąt. Matka zaniedbywała dla Gabrjela gospodarstwo—szemrania starszych braci nie zdawały się na nic. Starszy, Tomasz, zastępujący ojca w ogrodzie i chodzący zimą boso po pokrytych szronem rabatach i alejach, powracał często do domu, przynosząc bratu naręcza pachnącej trawy i ziół.

Trzynastoletni Estaban, który z pośród wszystkich dzieci na chórze umiał najlepiej służyć do mszy, zadziwiał Gabrjela swą czerwoną sutanną. Darowywał on bratu kawałki świec i święte obrazki, wyciągane zręcznie z brewjarzy różnych kanoników. Niejednokrotnie zabierano chłopca do sali Olbrzymów. Mieszkali tam bohaterowie świąt starożytnych. Olbrzymi Cyd z wielką szpadą, cztery pary, uosabiające cztery części świata, wielkie manekiny w szatach, zjedzonych przez mole, z spiczastemi głowami. Figury te rozśmieszały ongiś tłumy na ulicach Toledo, a dziś gniły na katedralnym strychu. W kącie stał Tarasque, okropne monstrum z tektury, straszący chłopca widokiem swej ziejącej gęby. Na jego czerwonym grzbiecie obracała się szybko sprośna laleczka, nazwana przez wiernych w ubiegłych wiekach Anna Bolena [21].

Kiedy Gabrjel zaczął chodzić do szkoły, wszyscy zachwycali się jego zdolnościami i postępami w naukach.

Dzieciarnia z Górnego Klasztoru, która dopiekała nieraz do żywego Rózdze Srebrnej, pełniącemu obowiązki wychowawcy tego pokolenia, gnieżdżącego się na poddaszach — odnosiła się do Gabrjela z szacunkiem i admiracją. Jeszcze nie umiejąc chodzić, nauczył się czytać. Mając siedem lat, zaczął się uczyć po łacinie i wkrótce mówił tak biegle, jakby przedtem nie był znał żadnego innego języka. Mając lat dziesięć dysputował już zawzięcie z księżmi, którzy starali się nieraz naumyślnie mu przeczyć. Stary Estaban coraz słabszy i coraz bardziej przygarbiony, był zadowolony niezmiernie ze swego ostatniego dzieła. Będzie to chwała całego domu. To dziecko

wyszło z rodziny Luna. Mogło więc bez obaw mierzyć bardzo wysoko, ponieważ w tej samej rodzinie byli także i papieże. Kanonicy przed nabożeństwem zabierali często ucznia do zakrystji, aby go przeegzaminować. Pewien ksiądz, mający pod swem zarządem biura arcybiskupstwa, przedstawił go kiedyś kardynałowi, który, zdumiony jego wiadomościami, wręczył mu garść słodkich migdałów i przyrzekł, że otrzyma stypendjum, aby się mógł dalej kształcić w seminarjum.

Rodzina Luna, ich dalsi i bliżsi krewniacy, zamieszkujący Klasztor Górny cieszyli się bardzo z tej łaski. Gabrjel musi zostać księdzem. Według ludzi tych, zrośniętych tak z katedrą, jak mech zrośnięty jest z kamieniem, według ludzi, uważających, że arcybiskupi z Toledo są po papieżu najpotężniejszymi władcami na świecie, jedynem miejscem dla człowieka zasługi było miejsce w kościele.

Gabrjel wstąpił więc do seminarjum i rodzinie wydało się, że całe Claverias opustoszały. Po wyjeździe Gabrjela dziadom kościelnym, zakrystjanom i całej służbie nie miał już kto czytać „Żywotów świętych", pism katolickich, przysłanych z Madrytu, i Don Quijota. Był to cudowny, stary egzemplarz, oprawny w pergamin, który, jako własność rodziny Luna, przechodził z pokolenia na pokolenie. W seminarjum prowadził Gabrjel monotonną i nudną egzystencję pilnego alumna — skorzystał swego czasu wiele podczas dysput teologicznych i teraz mógł być stawiany za przykład swoim kolegom. Od czasu do czasu któryś z kanoników, wykładających w seminarjum, zaglądał do klasztornego ogródka.

— Wasz chłopak dobrze się sprawia, Estabanie!

Jest prymusem! Cichy, łagodny, pobożny! Będziecie z niego mieli pociechę na starość.—Ogrodnik podnosił dumnie głowę. Na ostateczny triumf syna będzie mógł patrzeć już tylko z nieba, jeśli go Bóg do nieba powoła. Ale myśl ta nie martwiła go. Inni będą się cieszyć z zwycięstwa i dziękować Bogu za jego dobrodziejstwa i łaski.

Przedmioty humanistyczne, teologja, prawo kanoniczne—wszystko to było tylko igraszką dla tego młodzieńca, zdumiewającego profesorów nadzwyczajnemi zdolnościami. Porównywano go do ojców kościoła, tych, którzy słynęli z swej przedwczesnej dojrzałości. Wkrótce miał już ukończyć studja, — i powszechnie mówiono, że Jego Eminencja, zanim on jeszcze odprawi swą pierwszą mszę, zamianuje go profesorem seminarjum. Jego pragnienie wiedzy było nienasycone. Wydawało się, że bibljoteka należy tylko do niego. Niejednokrotnie wieczorami udawał się do katedry, aby uzupełniać swe studja nad muzyką kościelną i porozmawiać z organistą.

„Urodził się, aby wygłaszać kazania — mawiano w ogrodzie. — Ma w sobie ogień apostołów. Może będzie drugim św. Bernardem, albo Bossuetem. Niewiadomo, jak daleko ten chłopiec zajść może!“

Najwięcej zajmowała Gabrjela historja katedry i historja tych prałatów, którzy byli jej administratorami. Obudziła się w nim dziedziczna miłość rodzinna do tej wiecznej matki. Jednakże nie zachwycał się nią na ślepo, jak jego krewni. Chciał poznać genezę wszystkiego, i stwierdzić w książkach, że opowieści jego ojca, bardziej podobne do legend, niż do narracyj historycznych, były mimo wszystko prawdą.

Uwagę jego przykuła chronologja arcybiskupów z Toledo, ten długi szereg nazwisk wybitnych ludzi, świętych, rycerzy, książąt, pisarzy, z których każdy nosił przed nazwiskiem swą cyfrę, niby dynastyczny król. W różnych epokach byli oni prawdziwymi władcami Hiszpanji. Królowie goccy byli na swem dworze tylko dekoracyjnemi figurynkami, wystawianemi na pokaz, lub też uprzątanemi, zgodnie z koniecznościami danej chwili dziejowej. Naród stanowił wówczas republikę teokratyczną, której prawdziwym naczelnikiem był arcybiskup z Toledo. Nieskończoną listę sławnych prałatów dzielił Gabrjel na poszczególne działy.

Byli tam więc święci, apostołowie czasów heroicznych, biskupi tak ubodzy, jak i ich owieczki, którzy, obdarci i bosi, uciekali przed rzymskim prześladowcą, aby wkońcu kłaść głowę pod miecz katowski z radosną wiarą, że ich śmierć i ofiara da nowy blask umiłowanej wierze: los Eugenio, los Melancio, los Pelagio, los Patrunio i wielu innych, których imiona błyszczą w dalekiej przeszłości, otoczone mgłą legendy.

Później szli arcybiskupi okresu gockiego — prałaci, wywierający swój przemożny wpływ na królów-zdobywców, uczący, jak należy zapanować władzą ducha nad triumfującem barbarzyństwem. Cuda niebieskie były na ich usługi. Przerażali okrutnych i dzikich ludzi wojny i brali ich pod jarzmo swej władzy. Arcybiskup Montano, który ze swą żoną żył pod jednym dachem, oburzony uwłaczającemi mu pogłoskami, kładzie na swych kapłańskich szatach płonące węgle, odprawia mszę i nie zajmuje się płomieniem, dowodząc przez ten nadnaturalny

fakt czystości swego życia. Święty Ildefons, nie zadawalniając się pisaniem książek przeciw heretykom, błaga w modlitwach, aby zjawiła mu się święta Leokadja. Święta zjawia się i zostawia mu w ręku strzęp swego płaszcza. Nawet Dziewica zstępuje z nieba poto, aby zarzucić mu na ramiona ornat, wyhaftowany własnoręcznie. Po wielu, wielu latach zuchwały Sigiberto ma czelność ubrać się w ten ornat. Płaci za to zuchwalstwo ekskomuniką i wygnaniem. W tej epoce jedynie prałaci z Toledo zajmują się pisaniem książek. Kompilują prawa, namaszczają oliwą świętą głowy monarchów, czynią z Wamba prowizorycznego króla, spiskują na życie Egica — synody, zwoływane do Bazyliki św. Leokadji, są zgromadzeniami politycznemi. Mitrę biskupią widać na tronie, a korona leży u stóp arcybiskupa.

W okresie inwazji muzułmańskiej znów zaczyna się serja pokornych owieczek. Oczywiście, nie były to już czasy rzymskiej władzy; duchowni nie potrzebowali się niczego obawiać; nikt bowiem nie dybał na ich życie. Muzułmanie szanowali religję zwyciężonych i z kapłanów nie czynili męczenników. Wszystkie kościoły Toledo pozostały w rękach chrześcijan, za wyjątkiem katedry, zamienionej na wielki meczet. Ale katolicy byli biedni, a ciągłe wojny między Saracenami i chrześcijanami, łącznie z represjami, któremi odpowiedzieli Maurowie na barbarzyństwa *„de la reconguista“* [22], utrudniały bardzo sytuację kościoła.

Do epoki tej należą mroczne imiona Cixila, Elipando i Wistremiro, tego Wistremiro, którego św. Eulogjusz nazywa „pochodnią ducha świętego i światłem Hiszpanji“, a o którym historja nie mówi ani

jednego słowa. Jeżeli św. Eulogjusz umarł, jako męczennik w Kordobie, zawdzięczał to jedynie swemu niepohamowanemu fanatyzmowi religijnemu. Co się zaś tyczy Benita, Francuza z pochodzenia, to, nie chcąc być gorszym od swoich poprzedników, starał się, aby przed wyjazdem do Toledo w jednym z kościołów zjawiła mu się Dziewica i przyniosła nowy ornat.

Wkrótce później, w XI wieku, pojawiają się na widowni arcybiskupi, rycerze, prałaci w żelaznych zbrojach i z toporami w dłoni, conquistadorzy, którzy, zaniedbując swoje religijne obowiązki, dosiadają rumaków i wyruszają w pole. Są przekonani, że żleby służyli sprawie bożej, gdyby rok rocznie nie powiększali stanu posiadania kościoła o kilka miast i wsi. Pierwsi z nich byli Francuzami, mnichami z klasztoru Cluny, przysłanymi do klasztoru Sahagun przez l'abbé Hugo; oni to na znak suwerenności zaczynają używać tytułu „don“. Po pełnej tolerancji poprzednich biskupów, utrzymujących podczas panowania religji maurytańsko-arabskiej przyjacielskie stosunki z Żydami i Arabami, zaczyna się dziki fanatyzm zwycięskiego chrześcijaństwa.

Zaledwie arcybiskup Don Bernardo zasiadł na tronie arcybiskupim, już wykorzystał nieobecność Alfonsa VI, aby zgwałcić królewskie zobowiązania.

Zgodnie z traktatem uroczystym, zaopatrzonym podpisem króla, wielki meczet miał pozostać we władzy Maurów; ale arcybiskup wywiera wpływ na królową, czyni z niej wspólniczkę spisku i pewnej nocy w otoczeniu kleryków i robotników wyłamuje bramy meczetu, aby go „oczyścić“. Nazajutrz Saraceni, którzy przybyli, aby odprawić swe modły z twarzami, zwróconemi ku wschodzącemu słońcu, widzą, że

meczet zmienił się w katedrę katolicką. Arcybiskup Don Martin jest wodzem wojsk, walczących z Maurami w Andaluzji. Zdobywa miasta i zamki i towarzyszy Alfonsowi VIII w bitwie pod Alarcos. Słynny prałat Don Rodryg pisze kronikę Hiszpanji, rojącą się od cudów. Tworzy także historję czynu, przepędzając czas raczej na siodle swego rumaka, niż w stallach na chórze. W bitwie pod los Navas daje przykład bohaterstwa, rzucając się naoślep w sam wir walczących. Król czyni go suwerenem dwudziestu miast, między innemi de Talavara i de la Reina.

Don Sancho, syn Don Jaime z Aragonu, i brat królowej Kastylji, szanuje bardziej tytuł *cuadillo* [23], niż toledańską mitrę, — usłyszawszy, że Maurowie zbliżają się, wychodzi im na spotkanie, przyjmuje bitwę na równinach de Martos, walczy, jak szaleniec, wreszcie pada, przeszyty strzałami. Poganie obcinają mu ręce, a głowę umieszczają na lancy. Kardynał Don Gil de Albornoz ucieka do Włoch przed „Okrutnym Pedro" i zdobywa całe państwo, należące do papieży, którzy w Avignonie szukają schronienia. Don Gutierre III walczy z Maurami pod dowództwem Don Juana II. Don Alfonso de Acuna przyjmuje udział wraz z Henrykiem IV w wojnach cywilnych. Chcąc zamknąć ten szereg prałatów—ludzi wojny, dygnitarzy i statystów, bogatych i potężnych, jak królowie — należy wymienić jeszcze kardynała Mendoza, biorącego udział w bitwie de Toro, i w oblężeniu Grenady, i Jimeneza de Cisneros, który, gdy już zabrakło Maurów na półwyspie, przeprawił się przez morze, potrząsając groźnie krzyżem, zmienionym na broń zdobywczą.

Po orłach następują ptaki niskiego lotu. Po arcy-

biskupach, zakutych w pancerze, z przyłbicami na głowie, idą szeregi bogatych sybarytów, którzy dawny wojenny animusz swych poprzedników zmieniają na pieniactwo, zajmując się tylko ustawicznemi procesami z miastami, gminami i z pojedyńczemi osobami, aby nie stracić grosza z fortuny, zebranej przez poprzedników. Arcybiskupi hojni i rozrzutni, w rodzaju de Tavera, budują pałace, mecenasują Greco, Berruqueta i innym artystom, i tu w Toledo tworzą renesans, będący jakby echem renesansu włoskiego. Skąpcy, jak Quiroga, odbijali sobie na wszystkiem wydatki i stawali się wierzycielami królów, pożyczając miljony dukatów tym monarchom austryjackim, którzy, będąc władcami niezmierzonego państwa, w którem nie zachodziło słońce, stali się żebrakami, gdy *galiony* hiszpańskie nie wróciły z za morza.

Katedra była dziełem tych książąt kościoła. Na wszystkiem wyciśnięte były piętna ich charakterów. Wojownicy zbudowali tę stromą drogę, tę górę kamienia i ten las drzewa, stanowiące kościec i szkielet — ci, którzy żyli w epoce wyrafinowanego smaku, dodali subtelne w swem rysunku kraty, portyki, koronki rzeźbionych kamieni, obrazy i klejnoty, czyniące z zakrystji prawdziwy skarbiec. Budowa tej olbrzymiej katedry trwała około trzech wieków. Gdy filary i mury wynurzyły się z pod ziemi, styl gotycki był właśnie w pierwszym okresie swego rozwoju. W ciągu dwóch następnych wieków architektura uczyniła olbrzymi postęp. Można było przekonać się o etapach rozwoju, badając uważnie szczegóły gmachu. Podstawy filarów były ordynarne, zgruba ciosane, pozbawione wszelkich ozdób. Lufy kolumn wznosiły się ku górze z surową prostotą, a łuki

podtrzymywane były przez kapitele, na których oset gotycki nie miał jeszcze bujnej obfitości kwitnącego stylu.

Lecz w kondygnacjach wyższych, zbudowanych dwa wieki później, okna z ich wielobarwnemi łukami miały w sobie wspaniałość sztuki, zbliżającej się już do swego apogeum.

Po dwóch krańcach transeptu widać było dowody postępu, który dokonał się podczas tych stuleci, gdy powstawała katedra. Brama Zegarowa, nazywana także Bramą de la Feria, dla swych ordynarnych rzeźb, zimna hieratycznego i ozdób, przedstawiających niezdarne sceny stworzenia świata, czyniła kontrast do bramy po przeciwnej stronie, zwanej bramą Lwów, lub de Alegrio, starszej o lat dwieście, wesołej i wspaniałej, niby wejście do pałacu, noszącej już znamiona zmysłowego zuchwalstwa Renesansowego, któremu śpieszno było zająć należne miejsce pośród sztywnej architektury chrześcijańskiej. Naga syrena, przymocowana do drzwi ogonem, służyła za kołatkę.

Katedra, cała z biało-mlecznego kamienia, dobytego z kamieniołomów, otaczających Toledo, strzelała ku górze jednym promieniem, poczynając od podstaw kolumn, a na sklepieniach kończąc. Nie było triforium, któreby przecinało arkady i obciążało nawy położonymi wyżej łukami. Tego delikatnego, miękkiego kamienia używano do ozdób architektonicznych; inny, jeszcze bardziej delikatny, służył do budowy sklepienia. Po stronie zewnętrznej skarpy i łuki, wykonane z bardzo mocnego granitu i rzucone w przestrzeń, niby mosty, stanowiły jakby tarczę świątyni, którą wieki pokryły złotą patyną i która

ochraniała i podtrzymywała napowietrzną wytworność wewnętrzną.

Tam, wewnątrz widniały próbki wszystkich stylów, kwitnących ongiś na półwyspie. Starożytnym bramom odpowiadał gotyk surowy i prymitywny, lecz obok Bramy Lwów był to już gotyk z okresu rozkwitu. Architektura arabska rozwinęła wdzięczne podkowy swych łuków w tem triforium, przebiegającem wzdłuż absydy, poza głównym ołtarzem. Było to dzieło de Cisneros, który palił na stosach książki Muzułmanów, lecz wprowadzał zarazem architekturę muzułmańską do chrześcijańskich kościołów. Nad portykiem klasztoru widniały wdzięczne, kapryśne arabeski sztuki de la plateria. Nie brakowało także stylu barokowego, reprezentowanego przez słynne przezrocze de Tomé [24] na sklepieniu, oświetlające absydy za wielkim ołtarzem.

Po południu Gabrjel, aż do chwili zamknięcia bram, błądził po katedrze. Lubił włóczyć się koło głównego ołtarza, w najbardziej ciemnym i cichym miejscu katedry. Tutaj spała snem wiecznym historja Hiszpanji. W kaplicy królewskiej, tam za zamkniętemi drzwiami, strzeżonemi przez dwóch kamiennych heroldów z rękami, opartemi na biodrach, spoczywali w grobach, otoczonych posągami, monarchowie Kastylji.

Gabrjel przystawał często przed kaplicą Santiago, aby podziwiać poprzez kraty trzy sklepione arkady.

W głębi jakiś legendarny święty, przybrany w płaszcz pielgrzymi, z mieczem, podniesionym do góry, miażdżył kopytami swego rumaka ciżbę niewiernych. Wielkie konchy, tarcze czerwone i sre-

brne księżyce ozdabiały białe mury aż po sklepienia. Ojciec Gabrjel patrzył na tę kaplicę, jak na swoją własność; była to kaplica de Luna. Konetabl, Don Alvaro, i jego małżonka, Donia Juana Pimental, spoczywający we wspaniałych grobach, byli jego przodkami.

Na grobowcu małżonki po czterech bokach klęczało czterech marmurowych zakonników, spoglądających z czcią na postać, leżącą na sarkofagu. Nad grobowcem nieszczęśliwego konetabla Kastylji trzymało straż czterech rycerzy de Santiago, owiniętych w płaszcze zakonne. Czuwali nad pogrzebanym tutaj swym wielkim mistrzem, którego głowę przywaliło ciężkie, kamienne wieko. Gabrjel przypomniał sobie, co opowiadał jego ojciec o posągu don Alvaro. Ongiś statua ta była z bronzu. Podczas odprawiania mszy, w momencie ofiarowania dzięki ukrytemu mechanizmowi don Alvaro schodził z grobowca i klękał z głową, zwróconą w kierunku wielkiego ołtarza. Do końca nabożeństwa trwał tak na kolanach.

Mówiono, że Królowa Katolicka kazała zniszczyć tę machinę teatralną, aby nie przeszkadzała ona wiernym w ich modlitewnem skupieniu — mówiono także, że żołnierze, nieprzyjaciele konetabla, zbuntowawszy się pewnego dnia, rozbili automat na szczątki. Od strony zewnętrznej kaplica de Luna ze swemi wielkiemi wieżami, zaopatrzonemi w blanki, przedstawiała się, jak forteca, oddzielona od katedry.

Aczkolwiek rodzice Gabrjela patrzyli na tę kaplicę, jak na swoją własność, on, Gabrjel zachwycał się bardziej kaplicą św. Ildefonsa, gdzie mieścił się grób kardynała Albornoz. Ta romantyczna postać prałata-żołnierza, Hiszpana z urodzenia i Włocha z czy-

nów jego życia, przyjaciela sztuk i nauk, najwięcej działała na jego wyobraźnię. Kardynał spał pod bogatym, marmurowym sarkofagiem, pokrytym już patyną lat.

Niewidzialna ręka wieków przeszła po twarzy leżącego posągu, spłaszczyła nos, co wojowniczemu kardynałowi nadało wyraz jakiegoś mongolskiego okrucieństwa. Cztery lwy strażowały nad umarłym.

Wszystko w życiu tego człowieka było nadzwyczajne i niesamowite, nawet śmierć. Ciało jego, sprowadzone z Włoch do Hiszpanji, przy akompanjamencie modłów i śpiewów, niosły na ramionach nieprzeliczone tłumy wiernych, które wybiegły na spotkanie orszaku, aby skorzystać z łask indulgencyj, nadanych przez papieża. Ten powrót zmarłego do ojczyzny trwał całemi miesiącami, ponieważ trumna kardynała zatrzymywała się w każdym kościele. Poprzedzał ją Chrystus, zdobiący dzisiaj kaplicę. Zmarły siał na rzesze wiernych, klęczących w pokorze, woń swego zabalsamowanego ciała.

Dla don Gila de Albarnoz nic w życiu nie było niemożliwe. Był on niby mieczem apostoła, który powrócił na świat, aby odrodzić wiarę.

Uciekając przed okrutnym Don Pedro, schronił się do Avignonu, gdzie znajdowali się słynni wywygnańcy. W Avignonie rezydowali papieże, wygnagnani z Rzymu przez lud, który, idąc za głosem trybuna Rienzi, zaczął śnić o restauracji starożytnej republiki konsulów. Lecz don Gil nie był człowiekiem, któremu mógłby odpowiadać ten wesoły dwór prowansalski. Pod płaszczem nosił zbroję, jako prawy arcybiskup z Toledo, a ponieważ nie było już Maurów, więc zapragnął walczyć z heretykami. Udał się

do Włoch, aby stworzyć armję kościelną, złożoną ze wszystkich możliwych awanturników Europy i bandytów włoskich. Zatopił w morzu krwi wsie i miasta, w imieniu swego władcy, papieża, zrabował zamki—i wkrótce wygnańcy z Avignonu mogli powrócić na swój rzymski tron. Po tych wyprawach i wojnach, które poddały władzy papiestwa prawie połowę Włoch, kardynał stał się bogaty, jak król. Założył w Bolonji słynne kolegjum hiszpańskie. Gdy papież, wiedząc o jego zdzierstwie i grabieżach, zawezwał go przed siebie, aby mu zdał rachunki, Don Gil stanął przed papieżem, pchając przed sobą wózek, naładowany kluczami i zamkami, rzekł z arogancją.

— To są klucze miast i zamków, zdobytych przeze mnie dla papieża. Oto mój rachunek! — Ludzie wojny wywierają nieprzezwyciężony urok na ludzi słabego charakteru. Gabrjel odczuwał to wobec kardynała Albornoz, tembardziej, że ten dzielny, nieustraszony mąż był przecież sługą kościoła.

Dlaczegoż w naszej bezbożnej epoce zabrakło już tych ludzi, którzy mogliby się stać odnowicielami katolicyzmu?

Podczas swojej włóczęgi po katedrze Gabrjel zachwycał się kratą przed głównym ołtarzem. Była ona dziełem Villalpando. Czarne kraty, przekładane cyną, zdobiło złote listowie. Żebracy i przewodnicy, patrząc na cynowe plamy, mówili, że krata jest ze srebra, tylko że kapituła kazała ją pomalować na czarno, obawiając się, aby nie skradli jej żołnierze Napoleona. W głębi sanktuarjum lśnił złotem ołtarz główny. Pod przezroczystemi baldachimami stały figury, przedstawiające sceny pasyjne. Wydawało się,

że złoto kapie z tych białych ścian, znacząc połyskującemi linjami żebrowania murów.

Pod posadzką spoczywali starożytni królowie Kastylji i kardynał Mendoza.

Na tabulaturach *de la cristeria* niema orkiestra gotyckich aniołów z rozpiętemi skrzydłami grała na fletach i lutniach. Między kolumnami widać było popiersia biskupów oraz posągi różnych legendarnych i historycznych postaci.

Z jednej strony szanowny *alfagui* [25] Abou-Walid, unieśmiertelniony w tej świątyni chrześcijańskiej dzięki swojej tolerancji. Z drugiej tajemniczy pastuch de las Navas, który wskazał chrześcijanom drogę zwycięstwa, a później znikł, jako posłannik Boga. — Nędzna postać chłopca o płaskiej twarzy, napół zakrytej wielkim kapturem mnisim. Z obu stron kraty wznosiły się dwie kazalnice z kosztownego marmuru i bronzu ,niby świadectwo dawnego bogactwa i przepychu.

Gabrjel rzucił spojrzeniem na chór, gdzie stały cudowne stalle kanoników. Ongiś marzył z entuzjazmem, że i on tam zasiądzie. Nieco dalej widniał olbrzymi fresk św. Krzysztofa — zarówno przytłaczający swoją wielkością, jak i rażący brzydotą. Postać ta zajmowała całą ścianę i wydawało się, że ona jedna godna jest mieszkać w katedrze. Kadeci z Akademji Wojennej zatrzymywali się przed tym obrazem, podziwiając olbrzyma o różowej skórze, który trzymał dzieciątko Jezus na ramieniu i opierał się na palmie, podobnej do miotły. Młodzież bawiła się, licząc szablą kostki u nóg świętego. Ta nonszalancja młodych wojaków gorszyła bardzo młodych kleryków.

Niejednokrotnie rankami zaglądał Gabrjel do kaplicy maurytańsko-arabskiej i słuchał uważnie starożytnej liturgji średniowiecznej, której pozostali wierni oficjanci, jako stróże kultu z wieków średnich. Na ścianach widniały w żywych barwach malowidła, przedstawiające zdobycie Oranu przez kardynała Cisneros. Seminarzysta, słuchając monotonnego śpiewu kapłanów maurytańsko-arabskich, przypominał sobie konflikt, jaki wybuchł za czasów Alfonsa VI między liturgją romańską, a toledańską, między kultem cudzoziemskim, a kultem narodowym. Pobożni, pragnąc zakończyć te wieczyste dysputy, zdali się na „sąd Boga". Król wybrał szermierza Rzymu, a Toledańczycy powierzyli obronę swego kultu mieczowi kasztelana de Pisuegra. Kult toledański zwyciężył, lecz aczkolwiek wola Boga przejawiła się w sposób tak wyraźny i jasny, kult romański nie dał za wygraną. W biegu wieków rytuał maurytańsko-arabski musiał nieustannie ustępować, aż wreszcie został wygnany do tej kaplicy, gdzie istnieje dotąd, jako ciekawy zabytek przeszłości. Wieczorami, po skończonych nabożeństwach, gdy zamykano bramy, Gabrjel udawał się do izby dzwonnika. Mariano, syn dzwonnika, w tym samym wieku, co Gabrjel, pełen czci i szacunku dla jego wiedzy, oprowadzał go po zaułkach katedry. Po stopniach ślimaka pięli się wysoko, pod sklepienia, gdzie zaglądali od czasu do czasu tylko robotnicy.

Z góry katedra wydawała się brzydka i banalna. Ongiś sklepienia były odkryte; otaczała je tylko napowietrzna balustrada. Lecz deszcze zniszczyły szczyty, grożąc zupełną ruiną. Wówczas kapituła okryła

katedrę dachem z szarych dachówek. To nadało katedrze wygląd jakiegoś magazynu, czy też olbrzymiego domu handlowego. Wydawało się, że wierzchołki łuków wstydzą się tego wulgarnego przykrycia; wieżyczki schodów nikły pod skorupą ordynarnych dachówek.

Dwaj towarzysze ślizgali się po gzymsach, omszałych od deszczu, wchodząc na najwyższe krawędzie budynku. Ich nogi oplątywało zielsko, wyrosłe tutaj w szczelinach. Za ich zbliżeniem się z miniaturowego lasu zrywały się stada ptaków, gnieżdżące się w wypukłościach muru, służących im za gniazda.

W każdem wgłębieniu murów znajdowało się jeziorko, utworzone z wód deszczowych. Skrzydlaci goście przybywali, aby się napić. Na szczycie siadał niekiedy czarny ptak, który w swej nieruchomości wydawał się jakimś dziwnym ornamentem architektonicznym. Był to kruk. Gładził dziobem swoje skrzydła i grzał się na słońcu całemi godzinami. Dla patrzących zdołu był nie większy od muchy.

W swej napowietrznej wędrówce dwaj przyjaciele nieraz przez otwór w sklepieniu patrzyli na dół. Przyprawiało to ich o zawrót głowy. Była to niby olbrzymia jama, na dnie której pełzali ludzie, mali jak mrówki. Przez otwory te przechodziły sznury wielkich żyrandoli i złocony łańcuch krucyfiksu, zawieszonego przed głównym ołtarzem. W mroku widać było zębate koła wielkich wind i narzędzia tortur, porzucone tu w zapomnieniu. Kroki zwiedzających płoszyły szczury, które uciekały jak oszalałe ze swych kryjówek. W miejscach najbardziej mrocznych tłukły skrzydłami czarne ptaki, które nocą przez otwory w sklepieniach dostawały

się do wnętrza kościoła. Oczy sów i puszczyków fosforyzowały w ciemnościach. Nietoperze, spłoszone światłem, podrywały się ku górze, muskając skrzydłami twarze Gabrjela i Mariano.

Gabrjel, mając osiemnaście lat, stracił ojca. Stary ogrodnik umarł spokojnie, widząc, że cała jego rodzina zajęła już swe miejsce w katedrze. Święta tradycja rodzinna została ocalona.

Najstarszy syn, Tomasz, miał pozostać w ogrodzie. Młodszy, Estaban, będąc przez dłuższy czas pomocnikiem zakrystjana, zaawansował na Drewnianą Rózgę i otrzymywał dziennie sześć reali, przedmiot jego najśmielszych marzeń i pożądań.

Co do najmłodszego, Gabrjela, to umierający starzec był pewien, że stanie się on Ojcem Kościoła, dla którego w niebie jest przeznaczone miejsce po prawicy Wszechmogącego.

Młody człowiek nabył w seminarjum tej bezwzględności fanatyzmu klerykalnego, która z księdza czyni żołnierza. Sprawy Kościoła były mu bliższe, niż sprawy rodzinne. Śmierć ojca nie zmartwiła go zbytnio. Ważniejsze sprawy zajmowały wówczas serca i umysł przyszłego dostojnika Kościoła.

III.

Działo się to podczas rewolucji wrześniowej. W katedrze i w seminarjum panowało wielkie wzburzenie. Wszyscy od rana do wieczora komentowali nowiny, nadchodzące z Madrytu. Hiszpanja tradycyjna, Hiszpanja wielkich wspomnień historycznych leżała w prochu. Parlamentarzyści, wybrani do kon-

stytuanty, byli z piekła rodem, według słów czarnych sutann.

Jeżeli duchowieństwo cieszyło się z mów de Manterola, to jednocześnie oburzało się strasznie na demagogiczne wystąpienia rewolucjonistów, którzy w czambuł potępiali całą przeszłość. Świat duchowny zwracał spojrzenia ku Don Carlosowi, rozpoczynającemu wojnę w prowincjach północnych. — „Gdy król gór baskijskich zejdzie na równiny Kastylji, uzdrowi wszystko". Lecz lata mijały. Don Amadeo przybył, aby wkrótce odejść, wreszcie proklamowano republikę, lecz pokój Boży nie nastąpił na ziemi.

Wydawało się, że niebo ogłuchło. Pewien poseł republikański wypowiedział wojnę Bogu, wzywając Go, aby przerwał milczenie. Zapanowała triumfująca bezbożność. Krasomówstwo niedowiarków rozlewało się, jak wody z zatrutego źródła. Gabrjel żył w stanie bohaterskiej egzaltacji. Zapomniał o swych studjach, zapomniał o swej przyszłości, nie myślał już o odprawianiu mszy. Co go mogła obchodzić jego karjera, teraz, gdy widział kościół w niebezpieczeństwie? Somnambuliczna poezja wieków, otaczająca jego kołyskę zapachem starego kadzidła i wonią zwiędłych róż, rozpraszała się powoli. Raz wraz znikał któryś z uczniów seminarjum, a na zapytania ciekawych, odpowiadali profesorzy, mrużąc domyślnie oczy:

— „Są tam... pośród ludzi zacnych. Dowiedziawszy się, co się dzieje, stracili zimną krew... pułk młodzieży". I wymawiając te słowa, uśmiechali się, pełni ojcowskiej satysfakcji.

Gabrjel chciał także pójść w ich ślady. Był

przekonany, że nastał już koniec świata. W wielu miastach tłumy rewolucjonistów, wtargnąwszy do kościołów, profanowały je. Nie mordowano jeszcze kapłanów, jak to zdarzało się często podczas innych rewolucyj — ale księża nie mogli pokazywać się na ulicach w sutannach, pod grozą, że będą wygwizdani, obrzuceni błotem i kamieniami. Wspomnienie arcybiskupów z Toledo, tych dzielnych książąt kościoła, rycerzy, walczących z bezbożnikami do ostatniego tchu, nastroiło wojowniczo ucznia seminarjum. Nigdy dotychczas nie wychylił się poza cień katedry, poza rogatki miasta Toledo. Wydawało mu się, że Hiszpanja jest tak wielka, jak reszta świata. Owładło nim pragnienie poznania ziemi rodzinnej, przyjrzenia się zbliska tym nadzwyczajnościom, o których czytał w książkach.

Pewnego dnia ucałował matkę w rękę, nie wzruszywszy się zbytnio łzami pół-ślepej staruszki. Wypalił ostatniego papierosa w ogrodzie klasztornym, i nie mówiąc nic nikomu o swych planach, uciekł nocą z Toledo z szkaplerzykiem serca Jezusowego na piersiach i z piękną, jedwabną *boina* [26] w kieszeni, wyszytą czyjemiś białemi rękami w pewnym klasztorze miasta.

Syn dzwonnika, Mariano, wyjechał z nim razem. Zaciągnęli się do oddziału partyzanckiego w la Mancha, a stamtąd udali się do Walencji i Katalonji, pragnąc dla sprawy Boga i króla dokonać czynów ważniejszych, niż kradzieże mułów i nakładanie kontrybucyj na ludzi bogatych.

Gabrjel dzięki swemu wykształceniu i listom polecającym, otrzymanym od kilku prebendarzy, został mianowany oficerem. Młody człowiek przy-

wykł wkrótce do włóczęgowskiego trybu życia, do tego życia, pełnego swobody, stojącego poza prawem, jednak mimo wszystko nie mógł przemóc bardzo przykrego wrażenia, które odczuł, poznawszy bliżej tych rycerzy wiary. Wydawało mu się, że jak za czasów wypraw krzyżowych, spotka tu żołnierzy, walczących w imię ideałów, padających przed bitwą na kolana, aby zapewnić sobie pomoc Boga i usypiających nocą czystym snem ascety po odmówieniu szeregu gorących modlitw. Tymczasem były to bandy, pozbawione wszelkiej dyscypliny, i tego fanatyzmu, który na ślepo wyzywa śmierć, bandy, pragnące przedłużać wojnę w nieskończoność, aby na koszt państwa prowadzić beztroską włóczęgę; wesołki, którzy na widok złota, wina, czy kobiet, rzucali się na zdobycz, jak stada wygłodniałych wilków, odmawiając posłuszeństwa dowódcom, gdy ci chcieli ich zatrzymać.

Była to jakaś starożytna horda, zmartwychwstała w ucywilizowanym już świecie. Atawistyczny obyczaj kradzenia bliźniemu chleba i żony, drogą gwałtu, z bronią w ręku; stary duch celtycko-iberyjski, zawsze skłonny do walki i rozboju, zasłaniający się teraz pretekstami politycznemi!

Widziano tam stare wygi wojskowe, miłujące wojnę dla wojny, obłudników, pragnących dorobić się fortuny, ciemnych chłopów, którzy przystali do *partidas* [27], sami nie wiedząc dlaczego i którzy zapewne pozostaliby w domu, gdyby znaleźli innych doradców. Wszyscy odczuwali pragnienie wynagrodzenia sobie krzywd, nakarmienia dosyta wiecznie głodnej bestji. Po dniach śmiertelnie męczącego marszu, odbytego wśród skalistych pustek, następo-

wały dni szaleńczych uczt i rabunku. Zajmowano wsi i miasta z okrzykami na cześć religji i Kościoła, lecz przy lada okazji ci obrońcy wiary zachowywali się, jak poganie, i ich wszeteczne pyski nie oszczędzały ani Boga, ani Dziewicy.

Gabrjel, przywykłszy do życia tego rodzaju, przestał się gorszyć — dawne skrupuły seminarzysty zniknęły, pod twardą skórą żołnierza.

Donia Blanca, bratowa „króla", wydawała mu się postacią z romansu. Ta nerwowa, egzaltowana księżniczka starała się naśladować bohaterki z Wandei. Z rewolwerem za pasem, z włosami, rozwianemi pod swoją białą *boina,* jakby przyrosła do grzbietu niskiego, zwinnego konia, dowodziła temi uzbrojonemi bandami, które w centrum półwyspu odradzały teraz życie i walki okresów przedhistorycznych. Fałdy jej amazonki, rozwiane na wietrze, były sztandarem dla bataljonów żuawów, oddziałów, sformowanych z włoskich, francuskich i niemieckich zawadjaków i awanturników, którzy woleli służyć pod rozkazami kobiety, chciwej sławy i władzy, niż zapisać się w Algierze do legjonu cudzoziemskiego.

Wzięcie Cuenca, jedyne zwycięstwo podczas tej całej kampanji, wryło się raz na zawsze w pamięć Gabrjela. Banda ludzi de *la boina,* wdrapawszy się po drabinach sznurowych na wały i słabe, z polepy glinianej budowane mury, rozlała się, jak powódź, po ulicach miasta. Nie mogły jej zatrzymać strzały z okien. Zwycięzcy byli bladzi, mieli zbielałe wargi, błyszczące oczy, ręce, drżące dreszczem mordu. Poczucie minionego niebezpieczeństwa i pewność, że wreszcie są panami miasta, uczyniła z tych ludzi

szaleńców. Drzwi domów pękały pod uderzeniami kolb, przerażeni mieszkańcy wybiegali na ulicę, gdzie ginęli, przeszyci bagnetami. W głębi mieszkań widać było kobiety z rozwianemi włosami, wydzierające się rozpaczliwie z rąk napastników, drapały im paznogciami twarze i starały się daremnie utrzymać na sobie suknie. W „Instituto" ciemne masy zdobywców rozbijały na drzazgi instrumenty gabinetu fizycznego. Sądzili, że walczą z wymysłami demona, dzięki którym bezbożnicy mogą się porozumiewać z rządem centralnym w Madrycie. Niszczyli więc uderzeniami kolb i butów złocone koła aparatów, tarcze i pierwsze modele maszyn elektrycznych.

Wojna skończyła się wreszcie. Rebeljanci, przegnani z prowincyj centralnych do Katalonji, a później odrzuceni aż na granicę, musieli oddać broń granicznym posterunkom francuskim. Wielu z nich mogło skorzystać z prawa amnestji. Radośnie powrócili pod swój dach rodzinny. Wśród nich był także Mariano, syn dzwonnika; nie uśmiechała mu się bowiem myśl wyemigrowania zagranicę. Poza tem umarł wszak jego ojciec, miał więc nadzieję, że bez wielkiego zachodu zajmie wakujące po zmarłym miejsce na wieży. Do długich zasług rodziny dodać należało teraz jego trzyletnią kampanję wojenną i ranę, którą odniósł. Wszystko to dla dobra religji i kościoła. Mógł się prawie porównywać z męczennikami chrześcijańskimi. Gabrjel wyemigrował. Nosił epolety, nie mógł więc uznać uzurpatora. Deklarował swoje stanowisko z arogancją, nabytą w tej karykaturalnej armji, posuwającej do absurdu dawny formalizm militarny.

Obdartusy bez butów, z szablą na ramieniu, nazywali się „panami oficerami"!

Lecz prawdziwą przyczyną, dla której Gabrjel nie powrócił do Toledo, była chęć zdania się na fale wrażeń, chęć poznania nowych krajów i nowych obyczajów. Powrócić do katedry — znaczyło osiąść tam na stałe i zrezygnować z czynnego życia. Zasmakowawszy podczas wojny w używaniu życia, nie chciał teraz z niego wycofywać się tak nagle. Miał czas na dokończenie swych studjów. Mógł jeszcze zawsze powrócić do kapłańskiego stanu.

Pozatem umarła jego matka; zdarzenia, które zaszły po jego wyjeździe i które wprowadziły pewną zmianę w wiecznie monotonne życie Górnego Klasztoru, sprowadzały się do małżeństwa ogrodnika i zaręczyn Rózgi Srebrnej z młodą dziewczyną Pepa, naturalnie z Claverias. Sprzeciwiałoby się to wszystkim świętym tradycjom, gdyby ktoś pojął za żonę dziewczynę, mieszkającą poza katedrą. Gabrjel spędził więcej, niż rok, na leżach emigrantów. Jego wykształcenie klasyczne i sympatyczny wygląd zjednały mu życzliwość wielu ludzi, tak, iż dzięki protekcji mógł przed terminem opuścić kraj. Rozmawiał po łacinie z księżmi francuskimi, którzy z przyjemnością słuchali opowieści tego młodego teologa o wojnie. Gabrjel uczył ich jednocześnie po hiszpańsku. Przyjaciele wystarali mu się o lekcje języka hiszpańskiego w sferach bogatej burżuazji, przychylnie usposobionej do kościoła. Gdy kieszeń jego opustoszała, mógł się był zwrócić z prośbą o pomoc do pewnej księżnej-rojalistki, która zaprosiła go na parodniowy pobyt do swego zamku i przedstawiła później wojowniczego seminarzystę swemu otoczeniu z taką miną, jakby tu chodziło o krzyżowca, wracającego właśnie z Ziemi Świętej.

Ale Gabrjel pragnął namiętnie poznać Paryż. Od czasu, gdy zamieszkał we Francji, w jego życiu duchowem zaszły ogromne zmiany. Miał wrażenie, że się przeniósł na inną planetę. On, który znał dotychczas tylko monotonne życie seminaryjne i koczujące życie podczas tej ostatniej okrutnej i niesławnej wojny, zdumiewał się teraz niesłychanie postępem, kulturą, wyrafinowaną cywilizacją i wszystkiem, co zobaczył na ziemi francuskiej. Poza tem zdał sobie ze wstydem sprawę ze swej hiszpańskiej ignorancji, nonszalancji i nieznośnej pychy kastylijskiej, ugruntowanej na lekturze zdradliwych, patrjotycznych książek, wszczepiających w niego wiarę i pewność, że Hiszpanja jest pierwszym narodem świata, narodem najszlachetniejszym i najdzielniejszym, podczas gdy inne narody są nędznem zbiorowiskiem heretyków, stworzonych wyłącznie po to, aby odbierały dobre nauczki, ilokrotnie zechce się im mierzyć z tym uprzywilejowanym narodem, który marnie je i marnie pije, lecz który posiada za to największych świętych i największych wodzów chrześcijaństwa.

Gdy Gabrjel mógł się już nieźle wysłowić po francusku, zebrał sobie małą sumkę na koszta podróży i udał się do Paryża. Pewien zaprzyjaźniony z nim ksiądz wystarał się dlań o posadę korektora w księgarni religijnej koło Saint-Sulpice. Tam, w tej dzielnicy klerykalnej, gdzie pseudo-klasztorne hotele zamieszkują duchowni i pobożne rodziny, dokonała się w nim wielka przemiana duchowa.

Dzielnica Saint-Sulpice ze swemi spokojnemi

i cichemi ulicami, ze swymi bigotami, ubranymi na czarno, przemykającymi się pod murami domów do kościoła, była dla niego tem, czem dla apostoła droga do Damaszku. Katolicyzm francuski, wyćwiczony, rozumny, szanujący postęp ludzki, przeraził Gabrjela. Jego dzika dewocja hiszpańska skłonna była pogardzać naukami świeckiemi, gdyż według niej była na świecie tylko jedna prawdziwa wiedza: teologja. Wszystkie inne nauki mogły służyć tylko do zabawy wiecznego dziecka-człowieka. Poznawać Boga i rozmyślać nad jego nieograniczoną potęgą — oto jedyny poważny przedmiot trudu dla umysłu ludzkiego. Maszyny, wynalazki, zdobycze wiedzy ścisłej, nie stojące w żadnym związku z boskością i życiem przyszłem, były to głupstwa, dobre dla warjatów lub ateuszów.

Robiąc korekty różnych dzieł religijnych, Gabrjel był uderzony szacunkiem, z jakim księża francuscy daleko bardziej wykształceni, niż ich koledzy hiszpańscy, odnosili się do tej wiedzy, tak w Hiszpanji pogardzanej. Mało tego! Zauważył jeszcze coś w rodzaju niemocy i pokory w przedstawicielach religji, ilekroć stykali się oni z problemami wiedzy — pragnęli pozyskać sympatję przez pojednawcze załatwienie kwestji, aby dzięki kompromisowemu rozwiązaniu trudności zapewnić dogmatom należne im miejsce w tym kołowrocie nowych odkryć i wynalazków, w zawrotnym biegu ludzkiego postępu!

Uczeni duchowni zapisywali tomy całe, chcąc pogodzić księgi objawienia z wynikami wiedzy.

Kościół, ten święty przodek, który w Hiszpanji martwieje w swym hieratycznym majestacie, nie

chcąc poprawić choćby jednej fałdy swego płaszcza ze strachu, aby przypadkiem nie strząsnąć kurzu, nagromadzonego tam przez wieki — ten sam kościół we Francji wiódł życie czynne, pragnąc się odrodzić, odmłodnieć, odrzucić na stronę tradycyjne szaty, stare łachmany i rozpaczliwym wysiłkiem wyciągał ręce po nowoczesny rynsztunek wiedzy, tej wielkiej nieprzyjaciółki dnia wczorajszego i wielkiej triumfatorki teraźniejszości. Gabrjelem owładła ta sama gorączka wiedzy, jaką odczuwał ongiś w seminarjum, gdy całemi dniami tkwił pochylony nad olbrzymiemi woluminami, oprawionemi w pergamin. Chciał odetchnąć tajemniczą wonią tej znienawidzonej wiedzy, której się tak obawiali przedstawiciele religji. Chciał się dowiedzieć, dlaczego znęcano się tak nad księgami świętemi, aby dzieło stworzenia, którego Bóg dokonał w przeciągu sześciu dni, rozłożyć na epoki geologiczne — jakiego to niebezpieczeństwa chciano uniknąć, stawiając boskość przed sądem wiedzy, aby zdała sprawę ze swych czynów i aby ją uzgodnić z prawami, rządzącemi nauką? Skąd płynął ten instynktowny strach, przeszkadzający pisarzom katolickim afirmować poprostu cuda, ta konieczność usprawiedliwiania ich i tłumaczenia niejasnemi dowodzeniami? Czyżby rzeczywistość faktów nadnaturalnych już podlegała dyskusji?

Po kilku miesiącach porzucił Gabrjel cichą księgarnię religijną. Jego sława humanisty dotarła aż do księgarza na placu Sorbony, który publikował dzieła klasyczne. Gabrjel przeniósł się do dzielnicy łacińskiej, aby zająć się korektą dzieł greckich i łacińskich. Zarabiał teraz dwanaście franków dziennie — znacznie więc więcej, niż kanonicy z Toledo,

którzy ongiś wydawali mu się udzielnymi książętami. Zamieszkał w małym, studenckim hotelu, niedaleko „l'Ecole de médicine". Chaotyczne dyskusje wieczorne z innymi pensjonarzami, toczone w kłębach tytuniowego dymu, kształciły jego umysł nie gorzej od lektury tych potępionych książek naukowych. Koledzy pożyczali mu książki, wskazywali mu także autorów, których się będzie mógł spytać o radę w bibljotece Sainte-Geneviève — i śmieli się, jak poganie, ilokrotnie pewne poglądy i afirmacje zdradzały w nim dawnego seminarzystę.

W przeciągu dwóch lat przeczytał Gabrjel niesłychaną ilość książek, co mu zresztą nie przeszkadzało towarzyszyć kolegom w różnych eskapadach i brać udział w wesołem życiu dzielnicy. Łokcie rękawów powycierał na stołach winiarni.

Mimi Murgera przeszła kilkakrotnie przez jego życie, Mimi mniej melancholijna, niż w dziełach poety; Gabrjel zaznał idylli niedzielnych w podmiejskich laskach. Ale nie odznaczał się zbytnim temperamentem; ciekawość i głód wiedzy zepchnęły na plan drugi pragnienia zmysłowe; i po tych awanturkach miłosnych powracał radośnie do książek, przystępując do studjów z jeszcze większym zapałem. Historja polityczna, historja prawdziwa zburzyła jego wierzenia. Katolicyzm przestał być dla niego jedyną religją — religje wydały mu się instytucjami społecznemi, podlegającemi tym samym zmianom, co i człowiek, który je stworzył. Miały swoje dzieciństwo, zdolne do ślepych ofiar i bohaterstwa, miały swoją dojrzałość, chciwą zdobyczy i władzy, miały wreszcie nieuniknioną starość, kiedy to sę-

dziwy chory, czując swój bliski koniec, chwyta się gorączkowo życia z rozpaczliwą energją.

Jego wiara w dogmaty i autorytet katolicyzmu rozwiała się, jak dym. Tracąc swoje wierzenia religijne, tracił zarazem jakby przez logiczną konsekwencję swoją wiarę w monarchję. Wiara ta kazała mu wziąć swego czasu udział w wojnach karlistów. Zdobył sobie teraz pogląd bezstronny na historję swego kraju, wyzwoliwszy się z przesądów rasy.

Historycy cudzoziemscy odkryli mu smutny los Hiszpanji, która, wychodząc młoda i silna z bujnych wieków średniowiecza, została na progu nowej ery wstrzymana w swym rozwoju przez fanatyzm księży i inkwizytorów, przez głupotę i szaleństwo kilku królów, którzy, nie rozporządzając odpowiedniemi środkami, mieli ambicję restytuowania państwa Cezarów i zrujnowali doszczętnie kraj w swych warjackich imprezach. Narody, które zerwały z papieżem i raz na zawsze odwróciły się od Rzymu plecami, były dziś znacznie bogatsze i znacznie szczęśliwsze od tej Hiszpanji, żebraczki, drzemiącej koło furty kościoła.

Ze swych dawnych wiar ocalił Gabrjel tylko ideję Boga-Twórcy. Jednak astronomja, którą zaczął studjować z kolei z entuzjazmem prawie chłopięcym i która miała dla niego urok cudowności, znów podsunęła mu wielkie wątpliwości. Ta niezmierzona przestrzeń, gdzie unosiły się miljony aniołów, przestrzeń, po której Dziewica zstępowała na ziemię, zapełniła się nagle miljardami światów, a w miarę, gdy zwiększała się potęga narzędzi, wynalezionych przez człowieka, ilość światów zwięk-

szała się także i przedłużające się w nieskończoność przestrzenie przyprawiały o zawrót głowy. Gdzież w tej nieskończoności znajduje się Bóg, który sfabrykował ziemię w sześć dni, a później obraził się na kaprys dwojga istot niewinnych, wyciągniętych z błota i obleczonych w ciało jego tchnieniem? Gdzie jest ten Bóg, który wydobył z nicości słońce i nieskończoną ilość gwiazd w chęci oświetlenia naszej planety, nędznego atomu prochu, zbłąkanego we wszechświecie? Bóg Gabrjela, odarty z form cielesnych, w które go ubrała religja, stracił wszystkie swoje atrybuty i rozproszył się w naturze. Rozszerzając się, aby napełnić sobą tę przestrzeń nieskończoną, z którą wreszcie się współzlał, stał się tak nieuchwytny dla umysłu, że wydawał się jakąś marą. Towarzysze Gabrjela wcisnęli mu w ręce książki Darwina, Büchnera i Haeckela.

Tajemnica stworzenia, niepokojąca jego myśl od czasu, gdy przestał sobie tłumaczyć wszystko przez wszechmoc Boską, wreszcie odsłoniła mu się zupełnie. Pojął, że życie rozwinęło się na naszej planecie, jako skutek długiego szeregu przeróżnych prób, poronionych form, organizmów triumfujących, dzięki powolnej ewolucji, szczęśliwym selekcjom, aż do chwili, gdy pojawił się człowiek, który dzięki wysiłkowi swego mózgu przezwyciężył zwierzęcość swych przodków i ustanowił swe państwo na planecie. Odtąd nie zostało już nic z pierwszego credo. Świadomość jego była, jak spustoszony kraj, nad którym przeszedł huragan. Padła ostatnia wiara, broniąca się z heroicznym wysiłkiem na ruinach. Gabrjel odrzucił Boga, jako niepotrzebną iluzję, która stanęła między człowiekiem a naturą.

Lecz ten świeży adept wiedzy, obarczony zapasem nowych myśli i idei, nie mógł pozostać bierny. Musiał uwierzyć w cośkolwiek, poświęcić swój entuzjazm obronie jakiegoś ideału, przystąpić do czynu ze swym namiętnym prozelityzmem. Pociągnęła go rewolucyjna socjologja. Śmiałe książki Proudhona owładły jego umysłem. Reszty dzieła dokonało kilku bojowców, pracujących w tej samej drukarni — starych żołnierzy z czasów komuny, którzy powrócili do Paryża z wygnania i katorgi w Nouméa. Byli to nieustraszeni działacze, rozpoczynający na nowo swoją walkę z porządkiem społecznym, pełni zapału, zwiększonego jeszcze przez świadomość przecierpianego zła i pragnienie zemsty. Wraz z nimi uczęszczał Gabrjel na zebrania anarchistów, słuchał przemówień Reclusa, eks-księcia Kropatkina, i przez ich usta zapoznał się z naukami Michała Bakunina, brzmiącemi, jak ewangelja przyszłości.

Znalazł nową religję i oddał jej się całkowicie, z zapałem neofity. Lecz wrodzona słodycz charakteru i odraza do gwałtu, której się nauczył podczas trzech lat guérilla, różniła go bardzo od nowych towarzyszy. Tamci marzyli o wielkich hekatombach, o dynamitach i bombach, mając nadzieję, że społeczeństwo przerazi się i że terrorem narzuci się mu nowe idee. On — przeciwnie — wierzył w potęgę idei i w spokojną ewolucję społeczeństw. Należało tylko pracować, jak pracowali apostołowie chrześcijaństwa, mieć wiarę w przyszłość, lecz czekać spokojnie na realizację idei, spełniając zadania każdego dnia, nie troszcząc się o lata i wieki, które upłynąć muszą, zanim prace te wydadzą swój owoc.

Gabrjel po upływie pięciu lat opuścił Paryż, pełen niezachwianej wiary i entuzjazmu. Chciał zobaczyć świat, przekonać się naocznie, jakiemi to siłami rozporządzają wydziedziczeni, gotując się do wielkiej, socjalnej rewolucji. Poza tem upewnił się, że policja francuska ma go już na oku, wiedząc o jego intymnych stosunkach ze studentami rosyjskimi z dzielnicy łacińskiej, z tymi młodymi ludźmi o zimnym, wyzywającym wzroku i długich włosach, którzy starali się zaprowadzić w Paryżu prawo czerwonego, nihilistycznego terroru.

W Londynie zawarł znajomość z pewną młodą, chorą na suchoty Angielką, która tak, jak on, pragnęła gorąco poświęcić się propagandzie rewolucyjnej.

Gabrjel krążył od wieczora do rana po mieście, rozdając broszury, które Lucy trzymała ukryte w zawieszonem na ramieniu pudełku od kapeluszy. Lucy stała się wkrótce kochanką i pomocnicą Gabrjela. Miłość ich, pozbawiona szaleństwa, była miłością spokojną i zimną, zrodzoną nietyle ze zmysłowego pociągu, ile z wspólnoty idei — miłością rewolucjonistów, których umysł buntował się ciągle przeciwko dzisiejszemu stanowi rzeczy, a jedyną namiętnością była namiętność zemsty i odwetu. Inne szaleństwo nie miało do nich przystępu. Po pewnym czasie Gabrjel ze swą kochanką wyjechał do Holandji, a stamtąd do Belgji. Przez dłuższy czas zatrzymali się w Niemczech, gdzie zarobkowali w różny sposób, mając tę łatwość przystosowania się, która cechuje rewolucjonistów międzynarodowych. Przebiegają świat, nie mając w kieszeni ani grosza, cierpią najstraszniejszą nędzę, lecz w chwili krytycznej znajdują zawsze bratnią dłoń, wyciągniętą do nich przyjaźnie.

Po ośmiu latach takiej tułaczki Lucy umarła na suchoty. Znajdowali się właśnie we Włoszech. Gabrjel, zostawszy sam, uświadomił sobie po raz pierwszy, jaką podporą była dlań zmarła. Zapomniał o wszystkich sprawach politycznych i opłakiwał ją długo i gorąco. Nie umiał kochać tak namiętnie, jak kocha większość młodych ludzi, ale Lucy była przecież jego towarzyszką, jego siostrą! Mieli jednakowe zapatrywania, jednakowe aspiracje i cele; nędza, przecierpiana wspólnie, zespoliła ich ze sobą, Pozatem Gabrjel czuł, że się postarzał przedwcześnie dzięki strasznym przeżyciom i zmiennym kolejom losu. W różnych krajach Europy odsiadywał więzienie, podejrzewany o stosunki z terrorystami. Nieskończoną ilość razy bito go aż do utraty przytomności. Coraz trudniej było mu podróżować po kontynencie, gdyż w różnych stolicach fotografje jego wraz z fotografjami innych rewolucjonistów znajdowały się w rękach prefektów policji. Był bezdomnym, niebezpiecznym psem, którego przepędzano uderzeniem kija z miejsca na miejsce.

Gabrjel nie umiał żyć już sam, przywykłszy do życia we dwoje. Brak mu było ciągle tej serdecznej dziewczyny, niosącej mu w trudnych chwilach życia otuchę i pokrzepienie. Po śmierci Lucy samotność na obczyźnie stała się już nie do zniesienia. Zbudziła się w nim nagła miłość do rodzinnego kraju. Zapragnął powrócić do tej Hiszpanji tak zacofanej, do której zawsze odnosił się ze wzgardą,a która teraz zaczęła mu się wydawać znów ciekawą i interesują-

cą. Pomyślał o swych braciach, którzy przyrośli, jak mech, do murów katedry, o braciach, nie wiedzących nic, co się dzieje na szerokim świecie. Już od trzech lat przestali z nim korespondować, tak jakby zupełnie zapomnieli o nim. Któregoś dnia wyjechał nagle do Barcelony. Pragnął odwiedzić Toledo i przebyć choćby kilka dni w otoczeniu rodziny. Później poszuka sobie jakiejś pracy w Barcelonie.

Wiedział z listów starszego swego brata, Estabana, że Tomasz nie żyje i że wdowa po nim wraz ze swym dwunastoletnim synem, Tomaszem, mieszka nadal w klasztorze, gdzie zarabia na chleb praniem bielizny dla kanoników; wiedział także, że córka Estabana, Sagrario, licząca sobie szesnasty rok życia, jest tak cudownie piękną dziewczyną, że jej rodzice mimo swego pomiernego stanu, mają nadzieję wydania jej zamąż bardzo bogato. Cieszył się zgóry, że zobaczy brata, pozna swoje bratowe, swego bratanka i bratanice. Lecz w chwili, gdy szykował się już do drogi, „towarzysze“ zażądali, aby objął kierownictwo pewnej drukarni. Zmuszony był zostać!

„Towarzysze“ szanowali i podziwiali w nim jednego z wielkich propagatorów idei, człowieka, który przebiegł prawie całą Europę, i którego zaliczyć można było do najlepszych agitatorów. Żaden meeting nie mógł się obyć bez towarzysza Luna. Jego dar wymowy, tak wychwalany ongiś przez profesorów, rozwinął się jeszcze bardziej i spotężniał na zebraniach rewolucyjnych. Elokwencja ta egzaltowała i upajała tłumy w łachmanach, tłumy wynędzniałe i głodne, które drżały dreszczem żądzy, słuchając opowieści apostoła socjalizmu o przyszłem

społeczeństwie, o tym cudownym kraju wszystkich marzycieli, o kraju, gdzie już nie będzie własności, przywilejów, występków, gdzie praca stanie się przyjemnością, a wiedza i sztuka jedyną religją. Niektórzy słuchacze śmieli się z politowaniem, słysząc, że mówca pogardza środkami siły i gwałtu, zalecając pokorę i cierpliwość — drogą biernego przetrwania miało się dojść do zwycięstwa!? — „To ideolog“ — mówiono. — „Lecz mimo wszystko trzeba go posłuchać, ponieważ umiał służyć sprawie“. — Oni, ludzie czynu i walki, umieliby bez zbytecznych mów i przemów załatwić się z tem społeczeństwem, ogłuchłem na głos prawdy.

Gdy na ulicach rozległ się huk bomb, Gabrjel zdziwił się niepomiernie. Był tem prawdziwie zaskoczony. Aresztowano go, jako jednego z pierwszych, aresztowano go dla popularności jego nazwiska. Och, te dwa lata, spędzone w twierdzy Montjuich! Dusza Gabrjela stała się jedną głęboką, niezabliźnioną raną, krwawiącą przy najmniejszem wspomnieniu. Ilokrotnie wracał do tych czasów wspomnieniem, febryczny dreszcz wstrząsał jego istotą.

Szał przerażenia owładnął całem społeczeństwem, które, broniąc się, tratowało nogami prawa i godność ludzką. Barbarzyństwo dawnych wieków, posiłkujące się metodami gwałtu, zmartwychwstawało w okresie pełnej cywilizacji. Nie dowierzano sędziom, zbyt skrupulatnym i oświeconym, potrzebniejsi okazali się zbiry, stosujący dawne wypróbowane środki tortur.

Którejś nocy Gabrjel ujrzał nagle błysk światła w swej norze podziemnej. Dwóch ludzi w unifor-

mach zwlokło go z posłania, wypchnęło na schody i wprowadziło do sąsiedniej izby, gdzie oczekiwali inni łapacze, uzbrojeni w olbrzymie pałki. Młody policjant w mundurze, obszytym galonami, miodowym głosem, z nonszalancją kreola zapytywał go o ostatnie zamachy. Gabrjel nic nie wiedział; bardzo możliwe, że wśród jego towarzyszów byli też i terroryści — lecz on, wpatrzony w cudowne wizje przyszłości, oderwany od ziemi, nie wiedział nic o środkach gwałtu. Jego uporczywe przeczenia zirytowały łapaczów — miodowy głos kreola stał się wściekły — cała sfora z przekleństwami i groźbami rzuciła się na niego. Było to prawdziwe polowanie na człowieka. Straszliwe razy pałek spadały na całe jego ciało, na nogi, piersi, głowę, plecy. Kilkakrotnie, przyciśnięty do muru, otwierał sobie przejście, rzucając się rozpaczliwym skokiem naprzód, z pochyloną głową, aby dobiec do innego kąta, lecz straszliwe razy doganiały go wszędzie. Wreszcie zmęczeni kaci powlekli go z powrotem do jego nory, gdzie leżał przez kilka tygodni, zdychając z głodu i pragnienia.

Gabrjel przywitałby z radością wyrok śmierci. To nie było przecież życie w tej wilgotnej piwnicy, gdzie był zdany na męki fizyczne i okrucieństwa ludzkie. Jego żołądek, osłabiony długą głodówką, na sam widok misy z wstrętną zupą dostawał wymiotów.

Brak ruchu, brak powietrza, brak środków żywności — wszystko to wycieńczyło go do ostatecznych granic. Co chwila chwytały go ataki kaszlu, nieznośny ciężar leżał na piersiach. Te kilka wiadomości medycznych, które zdobył w swem pragnieniu dowiedzenia się o wszystkiem, wystarczały w zupełności, aby zdał sobie sprawę ze swego stanu. Skończy tak, jak skończyła Lucy.

Prawie dwa lata przebył w twierdzy w Montjuich za ten zamach, w którym nie brał żadnego udziału i gdy wreszcie sąd wojenny ogłosił spóźnione wyroki, Gabrjel opuścił więzienie, aby udać się zagranicę. Nie zadawalniano się rozstrzeliwaniem winnych; skazywano jeszcze na wygnanie całe rzesze ludzi zupełnie niewinnych.

Gabrjel powrócił do Angji; lecz klimat Londynu okazał się niebezpieczny dla jego zrujnowanego zdrowia. Przejechał na kontynent; lecz i tutaj życie było dlań niemożliwe. Przeganiany przez policję, aresztowany przy najmniejszem podejrzeniu, odstawiany do granicy, wiódł egzystencję włóczęgi. Nędza i choroby nękały go nieprzerwanie. Poza tem był człowiekiem zwyciężonym, opuściła go dawna odwaga i męstwo. W smutku i przygnębieniu wspominał często te ciche miejsca, gdzie zbiegły szczęśliwie lata jego młodości, przypominał sobie swoich braci, otaczających go kiedyś serdeczną miłością, i postanowił potajemnie wrócić do Toledo, do tych Claverias, będących ostatniem refugjum na ziemi. Jedynem pragnieniem było oczekiwać w spokoju godziny śmierci. Niech za bramami Claverias pozostaną wszystkie rewolucje i bunty, które zwróciły nań nienawiść całego społeczeństwa. Przestanie myśleć, przestanie czuć i mówić. Och, wdychać, jak balsam, woń, wydzielaną przez stare kamienie katedry!

IV.

Każdego prawie rana, wychodząc z klasztoru wkrótce po wschodzie słońca, spotykał Gabrjel Don Antolina, przezwanego Srebrną Rózgą. Ksiądz ten był jakby wielkorządcą katedralnym, ponieważ podlegała mu cała służba świecka, wykonywująca podrzędne czynności. Na dole w katedrze czuwał on nad zakrystjanami i klerykami, aby kanonicy i beneficjarjusze nie potrzebowali się uskarżać na różne uchybenia. Na górze w Claverias zaprowadzał porządek i przestrzegał dobrych obyczajów. Z ramienia kardynała-arcybiskupa był on więc dla nich *alcadem*.

Don Antolin zajmował najlepsze mieszkanie w Górnym Klasztorze. W dni świąt uroczystych kroczył na czele kapituły, ubrany w kapę, niosąc w ręku laskę srebrną, tak wysoką, jak on sam. Uderzał nią rytmicznie o płyty kamienne. Podczas mszy i nieszporów krążył po kościele, przywołując do porządku dziadów kościelnych.

O ósmej wieczorem w zimie i o dziewiątej w lecie zamykał drzwi wejściowe do Górnego Klasztoru i chował klucz do kieszeni, tak iż wszyscy mieszkańcy Claverias byli izolowani od świata. Gdy ktoś zachorował, trzeba było budzić Don Antolina, aby, przekręciwszy klucz w zamku, umożliwił komunikację ze światem zewnętrznym.

Don Antolin zbliżał się już do sześćdziesiątki. Był niskiego wzrostu i bardzo szczupły. Włosy jego, zlekka siwiejące, były krótko ostrzyżone. Czoło płaskie, szerokie, zmarszczone, czworokątne ukazywało się z pod czapeczki jedwabnej, którą nosił

zimą. Jego podłużna gładka twarz zastygła w jakiejś martwocie. Spiczasta broda sterczała jak lanca. Oczy, pozbawione wyrazu, patrzyły na świat zimnem spojrzeniem. Był, według swych własnych słów, zwykłym żołnierzem kościoła, który conajwyżej mógł dojść do stopnia sierżanta.

W czasie, gdy Gabrjel wstąpił do seminarjum, Don Antolin, przepędziwszy całą swą młodość w zakrystji katedralnej, jako *monaguillo* [28], został właśnie mianowany księdzem. Władze seminaryjne, znając jego ślepą, niewzruszoną wiarę i bezwzględne oddanie sprawom kościoła, faworyzowały go, mimo braku wykształcenia i osobistej kultury. Było to dziecko tej ziemi, urodzone w małem górskiem miasteczku, w okolicach Toledo. Katedra, według jego mniemania, była drugiem po stolicy Piotrowej miejscem zamieszkania Boga na ziemi. Teologja wydawała mu się promieniem boskiej mądrości, promieniem, który oślepia i przed którym trzeba się korzyć z głęboką czcią, choćby się i nic nie rozumiało. Posiadał pobożną nieświadomość, tak bardzo dawniej przez kościół cenioną.

Gdyby Srebrna Rózga żył za dobrych czasów katolicyzmu, zostałby napewno kanonizowany. Lecz, przyszedłszy na świat w tym okropnym wieku, gdy wiara się chwiała, a kościół nic już nie mógł narzucić siłą Don Antolin wegetował, jako niski sługa kościoła, pomocnik jednego z kanoników. W pocie czoła trudził się nad odpowiednim podziałem funduszów, tych „pesetas“, wydzielanych kościołowi przez państwo. Namyślał się bardzo długo, zanim wypuścił z garści jeden grosz. Starał się ze wszystkich sił, aby zrujnowany kościół mógł ocalić przynaj-

mniej pozory swego dawnego bogactwa i swej chwały. Tysiąc razy przyrzekano mu, że zostanie jałmużnikiem w pewnym żeńskim klasztorze, lecz on był zbyt przywiązany do swego kościoła, zbyt gorąco kochał wielkiego samotnika. Był bardzo dumny z zaufania, okazywanego mu przez arcybiskupa, z przyjacielskich, poufałych stosunków, które go łączyły z kanonikami. Nie mógł się wyzbyć pewnych gestów lekceważenia i pewnego mentorskiego tonu, przez który przebijała głęboka świadomość swej wyższości, zwłaszcza, gdy rozmawiał z proboszczami wiejskimi, którzy w przejeździe przez Toledo odwiedzali katedrę.

Don Antolin miał wiele wad, płynących z jego profesji. Składał grosz do grosza w najgłębszej tajemnicy, z tem zimnem skąpstwem, tak często spotykanem wśród sług kościoła. Nosił zatłuszczoną, staromodną czapeczkę, wyrzuconą już dawno na śmiecie przez jednego z kanoników. Czarna sutanna, pokryta zielonemi plamami, pochodziła od pewnego beneficjarjusza. Poprzedni właściciel osądził, że jest już niezdatna do użytku. W Claverias szeptano sobie pocichu o skarbach, nagromadzonych przez Antolina, o oszczędnościach, posuwanych do absurdu, i o jego lichwie. Jednakże pożyczki, których udzielał Don Antolin, nie przekraczały nigdy sumy dwóch, albo trzech durów. Korzystać z nich mogli tylko najubożsi ze sług kościelnych. Odbierał je z procentami na początku każdego miesiąca, gdy skarbnik wypłacał pensje. Skąpstwo i lichwiarstwo łączyło się w nim z wielką skrupulatnością i prawością w odniesieniu do wszystkiego, co dotyczyło interesów katedry. Najmniejszą kradzież, lub oszustwo,

popełnione w zakrystji, ścigał z zawziętą bezwzględnością; przy zdawaniu rachunków był tak skrupulatny i drobiazgowy, że skarbnik tracił cierpliwość.

Katedra była uboga: pozbawić ją jednego choćby grosza — znaczyło popełnić zbrodnię. Lecz, on, sługa boży, był także biednym człowiekiem. Sądził przeto, że ma prawo do tych pieniędzy, które odłożył dzięki oszczędnościom i odmawianiu sobie wszystkiego.

Jego synowica, Mariquita, mieszkała z nim razem. Brzydka, zbudowana, jak mężczyzna, czerwona na twarzy, przybyła do Toledo ze swej wsi rodzinnej, położonej w górach. Miała być pomocna wujowi, o którego bogactwie i władzy krążyły we wsi legendy. W Claverias, będąc świadoma suwerennej władzy Don Antolina, tyranizowała wszystkie kobiety. Najbardziej tchórzliwe tworzyły wokół niej grono pochlebczyń. Aby sobie zapewnić jej protekcję, sprzątały jej izbę, gotowały za nią, szorowały, podczas gdy ona sama, ubrana, jak zakonnica, i w strojnej fryzurze (był to jedyny luksus, na jaki pozwalał wuj) przechadzała się po galerjach Claverias, mając nadzieję, że spotka jakiegoś kadeta, błądzącego koło katedry, lub zwróci na siebie uwagę turystów, zwiedzających wieżę i salę Olbrzymów. Robiła oczy do wszystkich mężczyzn. Ostra i bezwzględna w stosunku do kobiet, uśmiechała się słodko do kawalerów, mieszkających w Claverias. Tato zaprzyjaźnił się z nią bardzo; podczas nieobecności Don Antolina często przebywała w jego towarzystwie, rozkoszując się duserami ze strony terminującego torreadora. Gabrjel, o chorowitym wyglądzie, ten Gabrjel, o którego podróżach naokoło świata krą-

żyły legendy, nie cieszył się jej zbytnią sympatją. W poufałym tonie zwracała się nawet do Drewnianej Rózgi, ponieważ był on wdowcem. Jak mawiał Tato, warjowała na widok spodni, bowiem mieszkała tam, gdzie wszyscy mężczyźni noszą sutanny.

Don Antolin, który znał Gabrjela od dzieciństwa, zwracał się doń w dalszym ciągu przez „ty". Ten niewykształcony ksiądz nie zapomniał o wielkich zdolnościach i wielkich triumfach dawnego seminarzysty. Chociaż dziś Gabrjel był biedny i chory, chociaż przygarnięto go tutaj przez litość, jednakże owo „tykanie" nie wykluczało wcale pewnego szacunku i admiracji. Gabrjel ze swej strony obawiał się Rózgi Srebrnej, znając jego fanatyzm i nietolerancję. Poprzestawał zawsze na słuchaniu tego, co mówi, i uważał, aby mu się nie wyrwało jakieś kompromitujące słowo. — Wiedział bowiem, że Don Antolin pierwszy zażądałby usunięcia intruza z katedry.

Gdy spotykali się codziennie o zwykłej porze w klasztorze, Don Antolin zwracał się nieodmiennie do Gabrjela z zapytaniem.

— A jak tam z twem zdrowiem?

Gabrjel pozwalał sobie na pewien optymizm. Wiedział, że jego choroba jest nieuleczalna — jednakże spokojny tryb życia, pozbawiony wstrząsów i niepokojów, i troskliwa opieka brata wstrzymały postępy choroby. Śmierć miała teraz więcej przeszkód do pokonania.

— Czuję się lepiej, Don Antolinie. A jak tam minął dzień wczorajszy? Pomyślnie?

Srebrna Rózga włożył do kieszeni swe kościste brudne ręce i wyciągnął trzy kwitarjusze — czerwony, zielony i biały. Palce jego pieściły te karteczki.

— Marny dzień, Gabrjelu! Teraz zima, a w tej porze roku rzadko kto podróżuje. Najlepszym sezonem jest wiosna, gdy przyjeżdżają do Gibraltaru Anglicy. Udają się na uroczystości do Sevilli, a stamtąd zaglądają do Toledo, aby obejrzeć katedrę. Od czasu do czasu wpada także ktoś z Madrytu. Urągając i mrucząc pod nosem, dają parę groszy za obejrzenie Olbrzymów i wielkiego dzwonu.

O, wówczas przyjemnie jest rozdawać bilety! Któregoś dnia, wyobraź sobie, zebrałem osiemdziesiąt durów! Pamiętam: było to akurat w Boże Ciało. Mariquita musiała zaszywać dziury w mojej kieszeni, porwały się bowiem, nie wytrzymawszy ciężaru tych pesetów. Prawdziwa łaska pańska!

I patrzył smutnie na kwitarjusze, zmartwiony, że tak mało biletów wyrywał teraz, podczas tych dni zimowych. Całem jego pragnieniem było, aby sprzedawać jak najwięcej tych biletów, które musiał nabyć turysta, pragnący obejrzeć ciekawe zakątki katedry.

— Czy widzisz te zielone bilety? — mówił do Gabrjela. — Są najdroższe. Wartość ich wynosi dwie pesety. Lecz pozwalają zato obejrzeć Skarbiec, kaplicę Najświętszej Panny, Ochavo [29] i relikwje. Na całym świecie niema podobnych relikwij! A te czerwone? Kosztują sześć reali. Otwierają wstęp do zakrystji, kaplicy Don Alvaro, de Luna i kardynała Albornoza, do sali kapituły, zdobionej dwoma rzędami portretów arcybiskupów. Czyż ktoś, na myśl o tylu pięknych rzeczach, będzie się jeszcze ociągał z wydobyciem z kieszeni portmonetki?

Później, wskazując na ostatni zeszyt, rzekł z pewnym odcieniem pogardy:

— Te białe są najtańsze. Kupiwszy taki bilet, można zobaczyć tylko Olbrzymów i dzwony. Cieszą się wielkiem powodzeniem między ludem podczas świąt uroczystych. Czy dasz wiarę, że niektórzy Żydzi śmią mówić, że to wyzysk z naszej strony? Pewnego dnia kilku żołnierzy zrobiło skandal, ponieważ nie wpuściłem ich do sali Olbrzymów za dwa centymy. Wyobrażają sobie zapewne, że prosimy o jałmużnę. Wielu odwiedzających odchodzi z powrotem, przeklinając, jak heretycy, i paskudząc mury rysunkami nieprzyzwoitemi. Co za czasy, Gabrjelu! Co za czasy!

Gabrjel uśmiechnął się, zamiast odpowiedzi, a Drewniana Rózga, zachęcony tem milczeniem, które wziął za aprobatę, ciągnął dalej swoje zwierzenia:

— Nie sądź, Gabrjelu, że z przyjemnością ponoszę te ciężkie obowiązki. Tylko smutna konieczność zmusza mnie do tego. Kardynał ma do mnie duże zaufanie, a kapituła wyraża się nader pochlebnie o mojej pracy. Dzięki tym biletom katedra może istnieć nadal, zachowując pozory swej dawnej wielkości. Ale w rzeczywistości jesteśmy biedni, jak szczury kościelne! Na szczęście zostały nam jeszcze resztki dawnego bogactwa. Gdy wiatr, lub grad wybije witraż, mamy pod ręką witraż zapasowy, który zostawiły nam w spadku poprzednie epoki. Ach, gdy pomyślę, że był czas, gdy kapituła utrzymywała z własnych środków atelier malarzy, rzeźbiarzy i innych artystów, gdy można było przystępować do wykonywania wielkich prac, nie uciekając się do pomocy intruzów! Gdy się podrze sutanna, lub ornat, posiadamy jeszcze piękne materjały, na których są wyszyci święci i kwiaty. Ale wkońcu wszystko się wyczerpie. Ale jeśli się stłucze ostatni zapasowy witraż, jeśli z szatni zniknie ostatni kawałek jedwabiu, czy sukna — to co się stanie wówczas? Trzeba będzie wstawić w okna zwykłe szyby, aby deszcz i śnieg nie przedostały się do wnętrza katedry. Katedra (niech Bóg wybaczy mi to porównanie!) stanie się wówczas podobna do oberży, a księża będą sławić Pana w ubiorze kapelanów prowincjonalnych.

Tutaj Don Antolin uśmiechnął się ironicznie, jakby ta przyszłość, o której mówił, stała w absurdalnej sprzeczności do praw Opatrzności, rządzących światem.

— A przecież — ciągnął dalej — nie można mówić nawet o rozrzutności, lub o zlekceważeniu jakiegokolwiek źródła dochodu. Ogród, który tak długo był pod pieczą twojej rodziny, po śmierci twego brata został wydzierżawiony. Ciotka Tomasa płaci obecnie dwadzieścia durów za to, że jej syn tam gospodaruje. Nie jest to wcale tak mało! Dzierżawę uzyskała tylko dlatego, że jest w dobrych stosunkach z Jego Eminencją.

Ja pracuję, jak katorżnik, w kościele i klasztorach; mam wszystko i wszystkich na oku. Młodzież jest dzisiaj bardzo lekkomyślna i nie można jej ufać zbytnio. Biegnę do *Ochavo*, aby się upewnić, czy twój siostrzeniec, Tato, żądał okazania biletów od zwiedzających. Jestem przekonany, że nicpoń ten gotów byłby wpuścić wszystkich gratis, aby zgarnąć potem lepsze napiwki. Później wspinam się po schodach Claverias, aby dopilnować dzwonnika, który pokazuje Olbrzymów. Nie przekabacą mnie, nic

nie wskórają ze mną, i nikt nie uniknie zapłaty za to, co się należy. Lecz, niestety, oddawna nie odprawiam już mszy. W południe, gdy zamykają katedrę, czytam w klasztorze mój brewjarz i co chwila rzucam wzrokiem na zegarek, aby, gdy kościół otworzą z powrotem, być w nim pierwszy przed przybyciem cudzoziemców, zwiedzających skarbiec. To nie jest życie dla chrześcijanina!

Sądzę, że gdyby Bóg nie wiedział, że wszystko, co czynię, czynię tylko dla chwały jego kościoła, — to dusza moja zostałaby potępiona!

Ilokrotnie Don Antolin zaczął mówić o finansach katedry, nie mógł skończyć swych zwierzeń.

— Ach, Gabrjelu — dodał żałosnym głosem — gdy się tylko porówna, kim byliśmy i kim dzisiaj jesteśmy! Ty, jak i większość tych, którzy tutaj mieszkają, nie macie pojęcia o dawnem bogactwie kościoła. Bogaty był, jak król, raczej jeszcze bogatszy. Kiedy byłeś dzieckiem, znałeś lepiej od kogokolwiek innego historję naszych słynnych arcybiskupów, ale nie wiedziałeś zbyt wiele o fortunie, zebranej przez nich na chwałę Bożą. Wy, uczeni, odnosicie się z lekceważeniem do tych materjalnych szczegółów. Czy masz pojęcie o donacjach królów i książąt, o spadkach, które otrzymywał kościół w testamentach? Lecz jakże mógłbyś wiedzieć o tem? A ja jednak wiem! Dowiadywałem się w archiwach i bibljotekach! Każdy z nas w czem innem znajduje upodobanie. Po rozmowie ze skarbnikiem, skonstatowawszy naszą nędzę, płaczę z wściekłości, pocieszam się zaś, wspominając naszą przeszłość. Tak, byliśmy bogaci, bardzo bogaci!

Arcybiskup z Toledo mógł umieścić nad swoją

mitrą koronę, albo dwie korony; jeżeli nie mówię o trzech koronach, to tylko przez wzgląd na Ojca Świętego.

Później akt donacji, nadanej katedrze przez króla Alfonsa VI, na drugi dzień po zdobyciu Toledo. Ten akt został sporządzony w pewnej pustelni. Widziałem na swoje grzeszne oczy pergamin, zapisany pismem gotyckiem, otwierający księgę „Przywilejów katedry". Dobry król podarował nam dziewięć posiadłości ziemskich, wiele młynów, winnic i nieruchomości miejskich. Po wyliczeniu wszystkich darów mówi z wspaniałomyślnością rycerza chrześcijańskiego: „które to rzeczy nadaję i przekazuję katedrze i tobie, arcybiskupie Bernardo, z własnej, nieprzymuszonej woli. Ani drogą prawa, ani drogą gwałtu i zbrodni nie będzie to mogło być wam odebrane. Amen".

Później Don Alfonso VII podarował nam osiem wsi, położonych po tamtej stronie Guadalquivir'u, dwa zamki, saliny w Belinchón i piekarnie.

Alfons VIII kroczył śladami poprzednika. Dobrodziejstwa spływają na katedrę jedne po drugich. Otrzymujemy fermy, wsie i miasta. Należy do nas Illescas i większa część Esquivies z siodlarniami de Talavera. Waleczny prałat, Don Rodrigo, odbiera Maurom niezmierzone terytorja. Wówczas posiedliśmy całe księstwo. W naszych rękach znajdował się zarząd nad Cazorla, Bara, Niebla i d'Alcaraz.

Lecz pozostawmy już królów na stronie. Dużoby się jeszcze dało powiedzieć o tych wielkich panach, którzy składali nam dowody swej wspaniałomyślności. Don Lope de Haro, pan na Biscaye, nie zadawalnia się łożeniem wielkich sum na budowę tej

części kościoła, która się ciągnie od bramy Notarjuszy aż po chór. Czyni jeszcze katedrze podarunek z domeny Alcubilete, słynnej z młynów i rybołóstwa i zapisuje rentę, aby podczas nabożeństwa paliła się na chórze świeca. Zwiemy ją świecą drogocenną. Stoi na wielkim pulpicie pod orłem z bronzu. Don Alfonso Tello de Menesas darowuje cztery zamki, wznoszące się na brzegu Guadiana. Za jego przykładem idą inni panowie, obdarzając nas niezliczonemi bogactwami.

Och, Gabrjelu, nie brakowało nam wówczas niczego! Terytorjum, należące do djecezji, było większe, niż niejedna prowincja. Katedra miała swoje posiadłości na ziemi i na morzu. Nasze majętności ciągnęły się wzdłuż i wszerz całego królestwa; nie było prowincji, gdzieby do nas coś nie należało.

Wszystko służyło chwale Bożej — wszyscy płacili czynsz kościołowi. Chleb, wychodzący z pieca, ryba, złapana na wędkę, zboże, mielące się w młynie, pieniądze, bite w mennicach, podróżny, udający się w drogę. Chłopi, wolni od podatków i kontrybucyj, służyli wiernie królowi.

Dbali też o zbawienie swoich dusz, dając nam dziesięcinę w snopach. Spichrze katedralne nie mogły pomieścić tych zbiorów. Wówczas była na świecie prawdziwa wiara, a wiara jest przecież podstawą życia. Bez wiary niema cnoty, uczciwości, niema nic wogóle!...

Około godziny ósmej pojawiał się Don Luis, kierownik chóru, w płaszczu, dość fantastycznie zarzuconym na ramiona, i kapeluszu, zesuniętym na

tył głowy. Kapelusz tworzył coś w rodzaju aureoli wokół tej wielkiej głowy. Don Luis, wiecznie roztargniony i niespokojny, podśpiewywał sobie nerwowo.

Pytał się z niepokojem, czy nabożeństwo już się rozpoczęło, ponieważ za ustawiczne spóźniania się grożono mu karą. Gabrjel poczuł wiele sympatji do tego księdza o duszy artysty, który, będąc niedoceniany i traktowany z lekceważeniem, wegetował na jednym z niższych urzędów w kościele. Więcej od dogmatów obchodziła go muzyka.

Izba kierownika chóru była to mansarda, mieszcząca się powyżej mieszkania, zajmowanego przez brata Gabrjela. Mieścił się tam cały majątek artysty: żelazne łóżko, pochodzące z seminarjum, fisharmonja, dwa biusty z gipsu: jeden Beethovena, drugi Mozarta i cała góra papierów: partytury oprawne, partytury zbroszurowane i luźne kartki. Góra ta była tak wysoka, papierzyska rzucone tak niedbale jedne na drugie, że często cały ten stos rozpadał się, a kartki, podobne do spłoszonych ptaków, rozlatywały się w cztery strony izby.

W popołudnia zimowe, po skończonem nabożeństwie Don Luis i Gabrjel schodzili się w mansardzie. Deszcz zacinał po szybach, dni były szare i smutne. Ksiądz przewracał karty partytury, albo przebiegał palcami po fisharmonji, rozmawiając z Gabrjelem, siedzącym na łóżku.

Muzyk entuzjazmował się, mówiąc o swoich zamiłowaniach artystycznych. W środku płomiennej tyrady milkł nagle i pochylał się nad instrumentem. Pokój napełniał się melodjami, które, spływając po schodach, rozlegały się dalekiem echem

w klasztorze. Później przerywał grę i powracał do rozmowy, jakby się obawiał, że może stracić wątek myśli.

Milczący Gabrjel był jedynym słuchaczem, którego Don Luis spotykał w katedrze. On jeden mógł słuchać księdza całemi godzinami, nie drwiąc z niego i nie nazywając go głupcem.

Konwersacja kończyła się nieodmiennie pochwałą Beethovena.

— Kochałem go zawsze — mówił ksiądz. — W muzyce kształcił mnie pewien braciszek klasztorny, który po zamknięciu klasztoru błąkał się po świecie, dając lekcje gry na wiolonczeli. Hieronimici byli wielkimi muzykami kościelnymi. Wydaje mi się, że dawniej każdy zakon miał jakąś specjalność. Jedni, jak naprz. benedyktyni zajmowali się kopjowaniem książek, inni wyrabiali likiery, jeszcze inni robili klatki dla ptaków. Hieronimici studjowali przez siedem lat muzykę i każdy z nich wprawiał się na instrumencie, wybranym przez siebie. Dzięki nim zachował się do dziś w kościołach Hiszpanji pewien gust i smak muzyczny. A jakie orkiestry umieli tworzyć po klasztorach! W ranki niedzielne kobiety tłoczyły się do rozmównicy, aby posłuchać wirtuozów. W tej epoce nie było jeszcze innych koncertów. Mając byt zapewniony, nie potrzebując troszczyć się o nic, oddawali się zupełnie swej sztuce. Ta służba sztuce była także poniekąd ich religijnym obowiązkiem. Dochodzili do szczytów artyzmu. Gdy wyrzucono z klasztorów mnichów, Hieronimici nie znaleźli się w trudnem położeniu, nie potrzebowali żebrać w czasie mszy, lub żyć z łaski pobożnych rodzin. Zmuszeni zarabiać na chleb codzienny, mieli

fach w ręku. Zajęli po kościołach miejsca organistów, lub kierowników chóru.

Kapituły wydzierały ich sobie wzajemnie. Niektórzy, bardziej odważni, pragnący poznać bliżej ten świat muzyczny, który w głębi klasztoru wydawał im się fantastycznym rajem, wstąpili do orkiestr teatralnych, podróżowali, zapuszczali się aż do Włoch... Zmienili się w biegu czasu do tego stopnia, że przeor nigdyby ich nie poznał.

Jeden z nich był właśnie moim nauczycielem. Co to był za człowiek! Prawdziwy chrześcijanin! Owładnęła nim jednak do tego stopnia namiętność do muzyki, że nie zostało w nim nic z dawnego mnicha. Gdy rozeszły się wieści, że zakony mają być znów pootwierane, wzruszył z obojętnością ramionami, nowa sonata obchodziła go więcej.

Gabrjelu! Słowa tego człowieka wryły się raz na zawsze w moją pamięć. Pewnego razu, w Madrycie, gdy byłem jeszcze dzieckiem, zaprowadził mnie do swoich przyjaciół, którzy sami dla siebie wykonywali słynne *Septuor*. Czy pan słyszał to najwdzięczniejsze dzieło Beethovena? Widzę jeszcze mego nauczyciela, w chwili, gdy wychodził z tej audycji, bardzo przejęty, z spuszczoną na piersi głową, ciągnąc mnie machinalnie za rękę. Zaledwie mogłem nadążyć za jego krokami.

Po powrocie do domu spojrzał mi w oczy i rzekł do mnie tak, jakbym już był dorosłym człowiekiem:

„Posłuchaj, Luis'ie, i zapamiętaj sobie moje słowa. Jest na świecie jeden Bóg, tym Bogiem jest Jezus Chrystus i są dwaj półbogowie: Galileusz i Beethoven".

Mówiąc to, Don Luis rzucił rozmiłowanem spoj-

rzeniem na biust gipsowy, który z kąta izby patrzył na rozmawiających smutnemi oczyma ślepca. Później ciągnął dalej:

— Nie znam Galileusza, wiem tylko, że uczony ten był genjuszem. Jestem skromnym muzykiem i nie wiele się rozumiem na rzeczach nauki. Lecz co się tyczy Beethovena, to mój mistrz pomylił się: Beethoven nie jest półbogiem, lecz bogiem!!

I muzyk, drżąc z nerwowego wzruszenia, zaczął przechadzać się po izbie.

— Jakże panu zazdroszczę, Gabrjelu, tej włóczęgi po świecie! Miał pan sposobność słuchania tylu arcydzieł! Wczorajszej nocy nie mogłem zmrużyć oka, tak sobie nabiłem głowę pańskiemi opowiadaniami o pobycie w Paryżu. Ach, te popołudnia niedzielne, te rozkoszne popołudnia niedzielne, które pan spędzał na koncertach Lamoureux, na koncertach Colonne, sycąc się dowoli subtelnością tonów.

Lecz ja, zamurowany w tej katedrze, ja, najwyżej mogący mieć nadzieję, że będę prowadził orkiestrę kościelną, wykonywującą brzydką mszę Rossini w dni świąt uroczystych! Jedyną moją pociechą jest czytanie nut, lub odcyfrowanie tych cudownych arcydzieł, których idjoci i głupcy słuchają, poziewając z nudów. Mam tutaj w tym stosie nut dziewięć symfonij, napisanych przez pewnego niezrównanego mistrza, mam jego sześć sonat i jedną mszę. Posiadam dzieła Haydna, Mozarta, Mendelsona i Wagnera. Czytam je, interpretuję na fisharmonji, o tyle, o ile jest to wogóle możliwe.

Niestety, równie dobrze możnaby mówić ślepcowi o kolorach i rysunkach. Ksiądz wspominał o szczęściu, jakie go spotkało w roku zeszłym. Mówił

o niem z niezwykłem entuzjazmem. Kardynał-arcybiskup wysłał go do Madrytu, aby wziął udział w jury podczas konkursu organistów.

— Był to najpiękniejszy tydzień mego życia — mówił do Gabrjela. — Któregoś wieczora, siedząc na jaskółce w Teatro Real, słyszałem „Walkirje", wykonane na wielonczelach. Innym razem byłem na koncercie. Grano „Dziewiątą symfonję" tego głuchego, który teraz właśnie patrzy na nas. Słyszał pan chyba „Dziewiątą symfonję"? Jakie wrażenie pan odniósł? Co do mnie, to muzyka wywiera na mnie potężny wpływ. Przymykam oczy i widzę jakieś nieznane krajobrazy, jakieś dziwne postaci.

Najbardziej zdumiewające jest jednak to, że pewne wizje są przywiązane do pewnych dzieł. Gdy mówię o tem z księżmi, czy służbą kościelną, wszyscy biorą mnie za warjata. Lecz pan jest artystą i dlatego nie obawiam się, aby pan chciał śmiać się ze mnie. Słuchając niektórych melodyj, widzę niebieskie, nieskończone morze o złotych falach. A trzeba panu wiedzieć, że nigdy morza nie widziałem! Inne melodje jednoczą się z krajobrazami lasów i pól. Widzę pasterzy i stada białych owiec. Muzyka Schuberta każe mi patrzeć na zakochane pary, wzdychające pod rozłożystą lipą. Pewni muzycy francuscy budzą w mojej wyobraźni postaci dostojnych dam, przechadzających się w lila krenolinach, koniecznie w lila krenolinach, pośród klombów, na których kwitną róże. A czy na pana, Gabrjelu, muzyka działa w podobny sposób?

Anarchista odpowiedział, potakując w milczeniu głową. Tak i dla niego muzyka budziła światy zjaw, piękniejszych od rzeczywistości!

— Czy pan chce, abym powiedział panu, co widzę, słuchając „Dziewiątej Symfonji" — ciągnął dalej Don Luis. — Ach, to wdzięczne scherzo! Gdy je słyszę, wydaje mi się, że Bóg wraz ze swym niebieskim orszakiem opuścił niebo i że na gospodarstwie zostali mali aniołkowie. Kompletna swoboda! Wakacje powszechne! Niebieskie dzieciaki skaczą sobie z chmury na chmurę i bawią się, sypiąc na ziemię płatkami kwiatów, które święci pozostawili. Jeden z nich otwiera kluczem skrytkę piorunów. Straszliwe grzmoty przerywają zabawę i mali nicponie rzucają się do ucieczki.

— A co pan myśli o adagio? Nie znam nic bardziej pięknego, tak bosko pogodnego...

— Wszyscy słynni amanci, wzięci razem, nie mogliby się zdobyć na wyrażenie swych uczuć miłosnych w podobny sposób, jak czynią to instrumenty, które, zda się, pieszczą się nawzajem. Słuchając adagio, wyobrażam sobie pułapy, pokryte freskami, przedstawiającemi figury mitologiczne. Widzę białe ciała o miękkich linjach. Apollo w złocistym blasku jutrzenki pieści Venus, leżącą na chmurach różanych.

— Uwaga! — wykrzyknął Gabrjel. — To, co pan mówi, nie jest katolickie!

— Lecz jest artystyczne — odparł muzyk z rozbrajającą naiwnością. — Co do mnie, to mało zajmuję się religją. Wierzę w rzeczy, w które wierzyć mnie nauczono. Nie moją rzeczą jest rezonować i szukać dowodów prawdy. Oddałem się całkowicie muzyce, o której powiedziano, że jest najczystszym przejawem ideału, religją przyszłości. Wierzę we wszystko to, co jest piękne, jako w dzieło Boga.

Te popołudniowe rozmowy, toczone w zapadłym kącie uśpionej katedry, coraz bardziej zbliżały ich do siebie. Ksiądz dyskutował, przewracał karty partytur, i grał na fisharmonji. Gabrjel słuchał w milczeniu, przerywając Don Luisowi tylko atakami kaszlu. Były to godziny cichego smutku. Dusze przenikały się nawzajem. Pierwszy marzył, aby opuścić to więzienie w katedrze i zobaczyć świat, drugi, powróciwszy z tego świata ze schorowanem ciałem i zmęczoną duszą, cieszył się, że odpocznie tutaj pod opieką tych ruin wspaniałych i dlatego otaczał milczeniem tajemnicę swojej przeszłości.

Podczas nabożeństwa Gabrjel przechadzał się zwykle po korytarzach klasztoru. Wszyscy znajdowali się w katedrze, prócz dzwonnika, który miał obowiązek pokazywać Olbrzymów. Później, gdy usłyszał, że kobiety plotkują już na progu swoich domów, udawał się do izby dzwonnika, swego dawnego towarzysza broni, lub też schodził do ogrodu, bądź to przez monumentalne schody *Tenorio,* jeśli drzwi były otwarte, bądź to pod arkadami, łączącemi klasztor z pałacem arcybiskupim. Z rozkoszą błądził pośród drzew, spotykając na każdym kroku wspomnienia swojej rodziny. Falowanie gałęzi, pieszczonych wiatrem, dawało mu iluzję swobodnego życia na szczerej wsi. W altanie, porosłej mchem, siadywał często jego ojciec, napół sparaliżowany na starość.

Dziś spotykał tam ciotkę Tomasa, która robiła na drutach pończochy, a jednocześnie pilnowała podejrzliwie, czy chłopak, wynajęty do pracy w ogrodzie, nie leni się zbytnio.

Ta ciotka Tomasa była jedną z najciekawszych

postaci *Claverias*. Jej słowa miały taką wagę, jak słowa Don Antolina. Srebrna-Rózga drżał przed nią, wiedząc, że ta skromna kobiecina cieszy się potężną protekcją. W czasie, gdy ojciec Tomasy był zakrystjanem, w katedrze znajdował się pewien chłopiec do posyłek, synowiec jednego z beneficjarjuszy, którego stryj umieścił później w seminarjum. Ów chłopiec stał się obecnie księciem kościoła i kardynałem-arcybiskupem z Toledo. Tomasa i arcybiskup znali się od dziecka, tłukli się nieraz co się zmieści w Górnym Klasztorze o posiadanie tego czy innego świętego obrazka lub pokazywali języki żebrakom, zebranym pod portykiem de la Moletta.

Ów potężny Don Sebastian, na którego jedno spojrzenie drżała cała kapituła i wszyscy księża z diecezji, stawał się zupełnie innym człowiekiem w rozmowie ze starą Tomasą. Była wszak jedynem żywem wspomnieniem, pozostałem mu z młodości. Kobiecina całowała pierścień kardynalski z głęboką czcią, — lecz później zaczynała rozmawiać z arcybiskupem, jak z równym sobie, i mało brakowało, aby zwracała się doń przez „ty". Kardynał, otoczony stale pochlebcami, lub tymi, którzy się go bali, znajdował upodobanie w tych szczerych gawędach i w tej nieco prostackiej poufałości.

Wszyscy w katedrze byli przekonani, że jedna jedyna Tomasa ma prawo mówić Jego Eminencji w oczy całą prawdę. Mieszkańcy *Claverias* czuli się mile połechtani w swej miłości własnej, widząc, jak arcybiskup chodzi w swej czerwonej sutannie po alejach ogrodu, lub siada na ławce w altanie, aby przez kilka godzin toczyć ożywioną rozmowę ze starą znajomą.

Tymczasem księża, stanowiący świtę kardynała, musieli oczekiwać przed bramą.

Tomasa jednak nie była wcale zarozumiała, ani dumna. W jej oczach książę kościoła był towarzyszem jej lat dziecinnych, któremu powiodło się w życiu. Dla niej był poprostu Don Sebastianem. Ale rodzinka umiała wyzyskać ten przyjacielski stosunek, zwłaszcza zięć Azul, obłudny hipokryta, który, według słów Tomasy, nawet z nitek pajęczych umiał robić złoto, nienasycony chciwiec, wyzyskujący bez skrupułów dobroć kardynała.

Gabrjel z przyjemnością rozmawiał z ciotką. Kochała kościół, jak się kocha dom rodzinny, lecz nie odczuwała wielkiego szacunku ani do świętych, zainstalowanych w kaplicy, ani do dygnitarzy na chórze. Czerstwa i zdrowa staruszka miała bardzo wesołe usposobienie. Żyjąc na świecie siedemdziesiąt kilka lat, nikomu jeszcze nie wyrządziła krzywdy. Wyrażała się nieco za swobodnie, ale nie raziło to w kobiecie, która wiele rzeczy na świecie widziała i która nie wierzyła już ani w autorytety ludzkie, ani w cnoty nieosiągalne. Główną cechą jej charakteru była tolerancja i głębokie wyrozumienie dla wszelkich słabości ludzkich — oburzała się tylko na hipokryzję, starającą się ukryć słabości i grzeszki.

— To nie są ludzie, Gabrjelu, mówiła do swego synowca o dostojnikach katedry. — A Don Sebastian nielepszy od innych. Wszyscy są grzesznikami i niejedno mają na sumieniu. Tłumaczę ich, jak mogę, ponieważ rozumiem, że nie mogą być inni, niż są! Lecz muszę ci się przyznać, że mi się na pusty śmiech zbiera, gdy widzę, jak ludzie klękają przed nimi. Ja osobiście wierzę w Dziewicę z Sanktuarjum

i w Boga. Ale ci panowie? Gdyby ludzie ich znali tak, jak ja ich znam! Życie jest życiem — nieszczęście polega nie na tem, że każdy z nas ma wady, lecz na tem, że się je stara ukryć i grać komedję, jak naprzykład ten łobuz, mój zięć. Ten hipokryta wali się w piersi, aż jęczy, później za przykładem bigotów rzuca się, jak długi, na ziemię, całując posadzkę, a jednocześnie życzy mi śmierci, licząc na spadek po mnie, na te pieniądze, które trzymam w komodzie. Okrada skarbonkę, kradnie świece, i podbiera miedziaki z tacy. Już dawno wyrzucono-by go stąd, gdyby nie moja interwencja. Muszę myśleć o mojej chorej córce i o wnuczkach.

Gdy Gabrjel odwiedzał ją w ogrodzie, witała go zawsze tem samem powitaniem.

— He, he, jak widzę masz już lepszą minę, porastasz w pierze! Twój brat napewno postawi cię na nogi!

Później następowało nieodmienne porównanie między zdrową i czerstwą starością a tą wyniszczoną, schorowaną młodością, walczącą rozpaczliwie ze śmiercią.

— Spójrz na mnie, spójrz na moje siedemdziesiąt lat! Nigdy nie wiedziałam, co to jest choroba. Zimą, jak i latem już o czwartej rano jestem na nogach. Mam jeszcze wszystkie zęby, jak w tym okresie, gdy Don Sebastian w swej czerwonej szacie *de monaguillo* odwiedzał mnie, aby mi wyrywać z rąk część mego śniadania. Ale i to prawda, że w twojej rodzinie wszyscy byli zawsze bardzo wątli. Twój ojciec, zanim doszedł do mego wieku, uskarżał się bardzo na reumatyzm i nie mógł znieść wilgoci w ogrodzie. Natomiast my, Villalpando, jesteśmy, jak

z żelaza. Niedarmo pochodzimy od tego sławnego Villalpando, który ufundował kratę przed głównym ołtarzem, tabernaculum i sto innych rzeczy. Musiał to być prawdziwy olbrzym. Łamał w ręku podkowy, niby kromki chleba.

Choroba Gabrjela budziła głębokie współczucie w starej Tomasie, co jednak nie przeszkadzało ciotce pozwalać sobie od czasu do czasu na pewne złośliwe uwagi.

— Ej, braciszku, szyjębym dała, żeś się nieźle bawił, podróżując po świecie! Wojna cię zgubiła. Gdyby nie wojna, rozpierałbyś się dzisiaj na chórze, a możebyś był już drugim Don Sebastianem. Przyznać trzeba, że Don Sebastian w czasach swej młodości miał daleko gorszą od ciebie opinję w seminarjum i że nie był zbyt pojętny. Ale ty zobaczyłeś szeroki świat, zasmakowałeś w tych krajach, gdzie, jak mówią, jest dużo ponętnych kobiet, strojnie ubranych, noszących kapelusze tak duże, jak parasole. Masz teraz minę lubieżnej małpy — ty, który byłeś dawniej tak skromnym chłopcem. Mówi ci to twoja ciotka! Nieźle się musiałeś łobuzować, skoro wracasz do nas w podobnym pożałowania godnym stanie. Szeroko żyłeś, nieprawdaż? A twoja biedna matka sądziła, że będziesz świętym! Boże broń od takich świętych! Nie zaprzeczaj, nie zaprzeczaj, nie rób miny świętoszka — nienawidzę kłamstwa! Bawiłeś się, bawiłeś, hulałeś bez opamiętania, tak, że naraziłeś zdrowie na szwank. Ci ludzie, zrodzeni w kościele, noszą w sobie jakiegoś demona. Gdy zaczną żyć — to już żyją na całego!

Pewnego dnia Gabrjel zapytał ciotkę o pewną sprawę. Pytanie to dawno miał już na ustach. Chciał

mianowicie dowiedzieć się, co się stało z jego synowicą, Sagrario, i co zaszło w rodzinie jego brata.

— Bardzo byłbym ciotce wdzięczny, gdyby mi to wyjaśnić chciała. Wydaje mi się, że wszyscy obawiają się mówić o tem. Nawet ten gaduła Tato milczy uparcie, gdy o to zapytać.

Twarz Tomasy spochmurniała.

— Wielkie nieszczęście, moje dziecko, tak wielkie nieszczęście, jakiego nie pamiętamy w *Claverias*. Szaleństwa świata weszły do katedry i usłały sobie gniazdko w najbardziej szanownym i najstarszym domu *Claverias*. Wszyscy są tutaj dzielnymi ludźmi, lecz wy, Luna, jesteście najzacniejsi. Idziecie zaraz po Villalpando.

Ach, gdyby twoja matka mogła podnieść głowę z trumny! Gdyby żył twój ojciec! Odpowiedzialność ponosi przedewszystkiem Estaban, ten głupiec dobroduszny, który sprowokował nieszczęście, pragnąc wydać zamąż córkę po swej myśli. Jak większość ojców, chciał, aby córka zrobiła dobrą partję.

— Ale, co się stało właściwie?

— Pewien kadet z Akademji zadurzył się w niej, a twój brat pozwolił temu fircykowi na flirty z Mariquitą. Tysiąc razy perswadowałam Estabanowi: Przyjmij do wiadomości, że z tego nic dobrego wyjść nie może. Nie jest to mąż dla Sagrario.

Sympatyczny, dowcipny, elegancki, w mundurze, jak z igły, młody człowiek był przywódcą kadetów w ich najbardziej warjackich eskapadach. Zawsze gotów był popełnić jakieś szaleństwo. Był synem bardzo bogatych rodziców. Pieniędzy nigdy mu nie brakło. Biedna Sagrario pokochała go z całych sił, nie widziała świata poza nim. Pyszniła się, udając się w niedzielę na przechadzkę do Zacodover, lub Miradero w towarzystwie swej matki i konkurenta, którego zazdrościły jej najpiękniejsze panny z miasta. Całe Toledo mówiło o piękności twojej bratanicy; w kolegjum szlachetnie urodzonych panien nazywano ją „zakrystjanką z katedry". A ona, biedactwo, żyła tylko dla swego kadeta, pożerała go swemi, błękitnemi oczami. Ten głupiec, twój brat, wprowadził go do swego domu, mile pochlebiony w swej miłości własnej. Wiesz dobrze, Gabrjelu, do jakiego stopnia umieją się zaślepiać niektórzy z nas. Pochodząc z niższych sfer, uważają, że spływa na nich niebywały splendor, skoro kadet nadskakuje ich córkom, chociaż te miłostki prawie nigdy nie kończą się małżeństwem. Każdy z tych kadetów zostawił w swojem mieście rodzinnem jakąś kuzynkę, czy narzeczoną i, skończywszy szkołę, oczywiście powraca do niej.

— A jak się to skończyło?

— Gdy kadet został oficerem, rodzina odwołała go do Madrytu. Pożegnanie było poprostu tragiczne. Ten bałwan, twój brat, i ta gapa, twoja bratowa (niechaj spoczywa w pokoju), płakali, jak bobry. Młodzi ściskali się za ręce i godzinami całemi patrzyli sobie w oczy. Oficer był bardzo spokojny. Przyrzekł, że będzie przyjeżdżał w każdą niedzielę, że codziennie będzie pisywał listy. Z początku dotrzymywał słowa, lecz później przechodziły całe tygodnie, a on się nie zjawiał, wreszcie zupełnie przestał dawać znać o sobie. Wydawało się, że biedna Sagrario umrze ze zmartwienia i zgryzoty. Rumieńce znikły, a twarzyczka straciła świeżość brzoskwini.

Kryła się po kątach i płakała, jak Magdalena.

Wreszcie pewnego pięknego dnia uciekła do Madrytu.

— Czy nie próbowano jej sprowadzić tutaj z powrotem?

— Twój brat zupełnie głowę stracił. Biedny Estaban! Niejednokrotnie po nocach widziałem go w Górnym Klasztorze, jak z nieprzytomnym wyrazem twarzy trwał nieruchomo, patrząc w niebo szklanemi oczyma. Wszyscy w *Clavierias* przez dwa lata byli pod wrażeniem tej katastrofy. Była to powszechna żałoba.

— Lecz później, czy nie mieliście żadnych wiadomości o Sagrario? Niewiadomo co się z nią stało?

— Tak, z początku wiedzieliśmy to i owo. Żyli razem w Madrycie, jako mąż i żona. I już prawie zaczęłam wyrzucać sobie, że tak surowo osądziłam kadeta, będąc przekonana, że ten łobuz ożeni się wkońcu z Sagrario. Lecz po upływie roku wszystko się skończyło. Miał jej już dosyć; w sprawę wmieszała się jego rodzina, nie chcąc, aby Sagrario stawała na drodze dalszej karjery młodego człowieka. Zwrócono się nawet do policji, aby ochronić galanta od skarg i płaczów porzuconej.

Od tej chwili nie wiem już nic pewnego. Od czasu do czasu słyszałam coś niecoś od ludzi, którzy powracali z Madrytu. Widziano ją, lecz lepiejby było, gdyby już nikt jej więcej nie widział. Hańba, Gabrjelu, hańba dla całej naszej rodziny. Nieszczęśliwa stała się ostatnią z ostatnich. Mówiono mi także, że była chora, przypuszczam, że i teraz jeszcze choruje. Takie życie w przeciągu pięciu lat! I pomyśleć, że jest córką mojej siostry!

Tomasa mówiła z wielkiem przygnębieniem w głosie:

— Co się stało tutaj później, wiesz już, Gabrjelu. Twoja biedna bratowa umarła, sami nie wiemy, na jaką chorobę. Chorowała zaledwie kilka dni. Sądzimy, że wstyd ją zabił. Gryzły ją także wyrzuty sumienia. W ostatnich chwilach mówiła, że sama jest winna wszystkiemu.

— Ciotko — zawołał Gabrjel, — jesteście przecież dobrą kobietą. Powinniście się byli już dawno zająć tą nieszczęśliwą. Trzeba ją było odnaleźć, przygarnąć, sprowadzić tutaj z powrotem!

— Ach, moje dziecko, i ty mnie to mówisz? Tysiąc razy marzyłam już o tem podczas bezsennych nocy. Ale obawiam się twego brata. Jest dobry, poczciwy, spokojny, lecz gdy się tylko słówkiem wspomni o Sagrario, wpada w jakąś straszną wściekłość. Uważałby to za świętokradztwo, gdyby kobieta upadła zamieszkała pod dachem katedry, w mieszkaniu, które dawniej należało do jej rodziców.

Poza tem, wydaje mi się, że bałby się wywołać skandal w *Claverias,* gdzie przecież wszyscy wiedzą już o tej historji. Ale to mniejsza; ja w tem, że niktby gęby nie otworzył. Powtarzam: boję się tylko twego brata!

— Pomogę ciotce! — zawołał Gabrjel stanowczym głosem. — Gdy już odnajdziemy Sagrario, sprawę dojścia do ładu z Estabanem biorę na siebie. Lecz kapituła i kardynał? Czy nie zaprotestują przeciwko powrotowi tej nieszczęśliwej?

— Ech, jest to już stara historja, wspomnienia zatarły się przecież. Pozatem moglibyśmy umieścić

Sagrario w klasztorze, gdzieby żyła cicho i samotnie, tak, aby nikt się nie gorszył.

— Nie, nie, moja ciotko! Lekarstwo byłoby zbyt okrutne. Nie mamy prawa ocalić jej za cenę jej wolności.

— Masz rację, — rzekła staruszka, po głębszym namyśle. — Obłóczyny nie zdadzą się na nic. Tylko w rodzinie może znaleźć dobry przykład, który ją skieruje na uczciwą drogę. Sprowadzimy ją więc tutaj, pod warunkiem, że ze skruchą wyrazi pragnienie poprawy.

Co się zaś tyczy Don Sebastiana, to o niego bądź spokojny, Gabrjelu. Gdy tylko uda się nam sprowadzić tutaj małą, nie powie ani jednego złego słowa. Cóżby zresztą miał gadać? Należy być litościwym w stosunku do bliźnich, a litość jest przecież obowiązkiem tych panów.

Wierz mi, Gabrjelu, w gruncie rzeczy są to przecież ludzie i to tylko ludzie.

V.

Mieszkańcy Górnego Klasztoru puszczali mimo ucha wszystkie pogłoski i słuchy, które krążyły uporczywie o obecnym prałacie. Taki już był zwyczaj na *Claverias*. Gabrjel poznał go jeszcze za czasów swego dzieciństwa. Mówiąc o zmarłych dostojnikach kościoła, można było rozpuszczać język do woli. Oszczercy i plotkarze wyciągali z lubością na światło dzienne wszystkie przywary i grzeszki. Zmarły prałat przestawał być niebezpieczny, a krytyka nieboszczyka mogła uchodzić za pochwałę żyjącego następcy i jego faworytów. Ale na dźwięk imienia obecnie panującej Eminencji wszyscy milkli nagle i podnosili ręce do czapek tak, jakby książę kościoła mógł ich widzieć z pałacu, sąsiadującego z klasztorem.

Najodważniejsi ograniczali się do komentowania kłótni kanoników, wyliczając tych, którzy kłaniali się sobie uprzejmie na chórze, oraz tych, którzy mrucząc wersety z pisma świętego, patrzyli na siebie, jak wściekłe psy. Opowiadano także z zachwytem o pewnej polemice, prowadzonej od trzech lat na łamach religijnych pism w Madrycie między skarbnikiem a *doktoralem* [30].

Kwestją sporną było zagadnienie czy potop był powszechny, czy częściowy? Skarbnik zbijał argumenty *doktorala,* a *doktoral* argumenty skarbnika w artykułach, drukowanych raz na cztery miesiące.

Gabrjela otoczyło wkrótce na *Claverias* grono przyjaciół. Ubiegano się o jego towarzystwo, cieszono się z jego obecności. Gabrjel wywierał na swe otoczenie wpływ, jaki mają ludzie, stworzeni na przywódców, nawet wówczas, kiedy milczą. Wieczorami zbierano się w stancji dzwonnika, lecz gdy pogoda dopisywała, zebrania miały miejsce na świeżem powietrzu, na galerjach, wznoszących się nad bramą *Przebaczenia.* Poranki spędzano u szewca. Był to żółty, chorowity człowiek, któremu dokuczała wieczna migrena. Leczył ją, owijając sobie głowę mokremi chustkami, przez co wyglądał, jak w turbanie.

Szewc był najuboższym człowiekiem w *Claverias.* Nie miał żadnego zajęcia w kościele. Pokazywał publiczności Olbrzymów, nie pobierając jednak

za to żadnego wynagrodzenia, w nadziei, że wkońcu otrzyma jakieś pierwsze wakujące miejsce. I tak mógł się uważać za szczęśliwego! Kapituła pozwoliła mu mieszkać bezpłatnie w klasztorze, a to ze względu na żonę, która była córką jednego ze starych sług kościoła. Nieznośny smród skór moczonych i klajstru bił z tej nory, mieszając się z zaduchem nędzy. Nieszczęsna płodność żony pogarszała jeszcze jego sytuację. Wątła, wiecznie kwękająca żona, o wielkich, żółtawych oczach, regularnie co rok przysparzała mu potomka. Najmłodszy ssał obwisłą pierś, podczas gdy starsze dzieci, zgłodniałe, anemiczne o olbrzymich głowach, cienkich szyjkach i krostowatych twarzach czołgały się po ziemi.

Pracował, dostarczając towaru do sklepów w mieście, ale ciągnął z tego bardzo nieznaczne zyski. Jeszcze przed świtem stuk jego młotka rozlegał się w klasztornej ciszy. Jedyna praca świecka manifestowała swoją obecność w klasztorze i przyciągała do nędznej izby wszystkich próżniaków. Gabrjel spotykał tam najczęściej Mariana, Tato i kościelnego stróża. Siedzieli na pogruchotanych krzesełkach, tak niskich, że mogli rękami dotykać zakurzonej posadzki, wykładanej czerwonemi cegłami.

Dzwonnik często wychodził na wieżę, dokąd go odwoływały obowiązki. Wtedy jego miejsce zajmował pomocnik organisty, lub ktoś z zakrystji. Wszystkich sprowadzała tu ciekawość. Przychodzono, aby posłuchać, o czem będzie mówił Gabrjel. Rewolucjonista wolałby milczeć, ale przyjaciele jego, spragnieni nowinek, jak wszyscy ludzie, odcięci od świata, nalegali, aby im opowiadał o swoich podróżach. Kiedy im opisywał piękność Paryża lub

wielkość Londynu, otwierali szeroko oczy, jak dzieci, oczarowane baśnią fantastyczną.

Szewc, nie przerywając ani na chwilę pracy, słuchał uważnie z pochyloną głową tych cudownych opowieści. Kiedy Gabrjel kończył, podnosił się chór zgodnych głosów — „Te miasta są piękniejsze od Madrytu, słyszycie? — piękniejsze od Madrytu!“ Nawet żona szewca, stojąca w kącie, zapominała o swem chorowitem potomstwie. Z zachwytem słuchała Gabrjela. W tem ludzkiem zwierzęciu, skazanem na codzienne jarzmo pracy i borykania się z nędzą, budził się instynkt nieśmiertelnej Ewy. Blady uśmiech zacierał na chwilę na twarzy wyraz ciągłego smutku, kiedy towarzysz Luna opisywał wspaniałe tualety, w których pokazywały się na ulicach wielkie cudzoziemskie damy. Ta wizja oddalonego świata, którego nigdy nie będzie im dane ujrzeć, ożywiała obojętne, zeskorupiałe mózgi, podobne do kamieni murów. Wspaniałość nowożytnej cywilizcji przejmowała ich więcej, niż wspaniałości raju, opisywane przez kaznodziejów. W zakurzonej i zatęchłej izbie rodziły się obrazy miast fantastycznych. Słuchacze zadawali Gabrjelowi tysiące naiwnych pytań o obyczajach, a nawet o sposobie odżywiania się tych narodów cudzoziemskich, jakgdyby chodziło tu o stworzenia z innej planety.

Po południu, gdy szewc pozostawał w swej izbie sam, Gabrjel, znużony jednostajną ciszą Claverias, schodził do katedry.

Estaban w swoim wełnianym płaszczu w białym golilla i z laską policjanta pełnił właśnie służbę, nie pozwalając ciekawym wałęsać się między chórem a wielkim ołtarzem.

Dwie złote blachy, przybite do filarów, zapisane gotyckiemi literami, głosiły ekskomunikę każdemu, kto ośmieli się głośno mówić, lub mazać na murach katedry jakieś znaki.

Ta podstarzała groźba nie przerażała jednak nielicznych pobożnych, uczęszczających na nieszpory siłą nawyku, gdyż bez przerwy rozmawiali oni za filarami ze służbą kościelną. Światło, przenikając przez witraże, rzucało na posadzkę całą tęczę barw, tak, iż księża na tym płomiennym dywanie wydawali się czerwoni lub niebiescy. W głębi chóru kanonicy w ponurej samotni świątyni śpiewali, jakby sami dla siebie. Drzwi, zamykające się za spóźniającymi się księżmi, trzaskały głośno. Na górze, przerywając śpiew, odzywał się od czasu do czasu leniwy, nosowy bas organów, grających jakby tylko z obowiązku. W dźwięku ich brzmiał żal, że muszą pracować w tym ciemnym, pustym gmachu.

Gabrjel, wchodząc do katedry, spotykał swego siostrzeńca, *Perrero,* który, pragnąc, aby wujowi nie brakło towarzystwa, sprowadzał dzieci z chóru i niższych urzędem księży, zajętych w sekretarjacie kapituły.

Figle Tato śmieszyły Gabrjela. Chłopak wałęsał się po katedrze z nonszalancją i swobodą, jakby się czuł u siebie w domu. Zjawienie się w głównej nawie psa witał zawsze okrzykami radości.

— Zobaczysz wuju, jak mu zaprezentuję moją torreadorską kapę!

I biorąc w ręce brzeg kurtki, zbliżał się do psa skokami torreadora. Zwierzę, wiedząc już, z kim ma do czynienia, starało się uciec przez najbliższe drzwi, ale Tato zagradzał mu przejście i, uganiając się za

niem, pędził go, jak szalony, z kaplicy do kaplicy. Była to niby walka z bykiem. Wreszcie, przycisnąwszy psa do muru, bohaterski torreador rozprawiał się z nim kilkoma kopnięciami. Rozpaczliwe wycie biednego zwierzęcia zagłuszało śpiew kanoników. Tato śmiał się z radości. Z za krat koło chóru zgorszony Estaban patrzył nań wymownemi oczyma i groził mu laską.

Po tego rodzaju eskapadach siostrzeniec powracał do wuja, aby mu opowiadać różne plotki, dotyczące życia w katedrze. Inni mieszkańcy Claverias, obawiając się denuncjacji przed kardynałami i kanonikami, bali się pary z ust puścić. Tato natomiast opowiadał każdemu, kto chciał, czy nie chciał, wszystkie plotki, zbierane skrzętnie po kominkach. Mogło mu za to grozić co najwyżej wyrzucenie z katedry, ale ta perspektywa nie przerażała go wcale. Nie krępowałyby go już żadne względy, mógłby pójść za głosem powołania i zamienić katedrę na „plaza de toros".

Perrero znał na pamięć wszystkie historyjki.

Wiedział, co powiedzieli kanonicy w zakrystji o arcybiskupie, co arcybiskup w swoim pałacu powiedział o kanonikach. Stare zawiści, pretensje i głuche intrygi tych nieszczęśliwców, gorzkniejących w celibacie, którzy nie zapomnieli jeszcze czasów, gdy kapituła wybierała prałatów; gniew książąt kościoła, pragnących nakazać duchowieństwu ślepe posłuszeństwo i oburzających się na najmniejszy opór, jak na przestępstwo kryminalne — o wszystkiem tem wiedział dokładnie i opowiadał z najmniejszemi szczegółami.

Najbardziej jednak delektował się kroniką skan-

daliczną. Znał adresy domów, w których prebendarze spędzali wieczory po wyjściu z nabożeństwa, wyliczał imiona dam i zakonnic, które rurkowały im komże. Sutanny pozawracały kobietom w głowach. Zaczęła się rywalizacja o łaski kanoników.

Gdy tylko kanonicy opuszczali chór, Tato pokazywał Gabrjelowi grupę młodych, starannie wygolonych księży o świeżych policzkach, w jedwabnych pelerynach, przesiąkłych mocnym zapachem piżma. Byli to eleganci kapituły. Robili częste wycieczki do Madrytu, gdzie spowiadali swe protektorki, stare markizy, które swemi wpływami zyskiwały dla nich stalle na chórze. Eleganci przystawali na chwilę przed drzwiami de la Moletta, układając kokieteryjnie przed wyjściem na ulicę fałdy swych płaszczów.

— Idą do swych przyjaciółek — wołał ze śmiechem Tato. — Hej tam! Zrobić miejsce dla Don Juana Tenorio!

Gdy się zamknęły drzwi za ostatnim kanonikiem, Tato zabierał się do obrabiania kardynała.

— W ostatnich dniach był w bardzo złym humorze. W pałacu wszyscy trzęśli się ze strachu.

Słynna fistuła dokuczała mu tak, że o mało nie zwarjował.

— Czy to prawda, co mówią o jego chorobie?

— Oczywiście! Spytaj się zresztą ciotki Tomasy. Mówią, że obdarza staruszkę swoją sympatją przez wdzięczność za przygotowanie mu maści, robionej rzekomo rękami aniołów. Arcybiskup w gruncie rzeczy jest dobrym człowiekiem, lecz, gdy przyjdą paroksyzmy bólu, nie radzę pokazywać mu się na oczy. Cały pałac drży w posadach, a diecezja truchleje ze strachu. Widziałem go raz w sukniach

pontyfikalnych i z mitrą na głowie. Patrzył wokół tak wściekłym wzrokiem, że wszystkim zdawało się, iż lada chwila grzmotnie pastorałem o ziemię i zacznie na prawo i lewo rozdawać policzki. Ciotka ma rację, mówiąc, że wszystkiemu winno to nieszczęsne pijaństwo.

— Czy arcybiskup naprawdę upija się?

— Upijać, to się nie upija! Każdemu trzeba oddać sprawiedliwość. Chcąc wyświadczyć grzeczność temu, czy innemu przyjacielowi, przychodzącemu w odwiedziny, wypije z nim jednak pierwszy kieliszek, potem drugi i trzeci. To zaglądanie do kieliszka weszło w przyzwyczajenie podczas pobytu w Andaluzji, gdzie był biskupem. Używa wina tylko w najlepszym gatunku, po pięćdziesiąt durów arrobe, oraz syropu, rozgrzewającego i wzmacniającego żołądek. Gdy jednak syrop znajdzie się w kiszkach arcybiskupa, Jego Eminencja cierpieć zaczyna, jak potępieniec. Ciotka Tomasa mówi słusznie, że co lekarze naprawią, to on znów popsuje przez nadużywanie rajskiego nektaru.

Tato, mimo swego cynizmu, zdradzał duże sympatje do kardynała.

— Nie myśl, wuju, że jest to ktoś pierwszy lepszy. Trzeba przyznać, że kardynał jest prawdziwym człowiekiem, chociaż ma bardzo przykry charakter. Zaręczam ci, że ta biało-różowa głowa, podobna do głowy lalki, nieproporcjonalnie mała w stosunku do olbrzymiej postaci, nie jest bynajmniej pusta! Kardynał — to prawdziwy zuch! Chodzi z wysoko podniesionem czołem i nigdy nie udaje hipokryty. Odrazu widać, że w młodości był żołnierzem. Nie boi się niczego, niczem nie gorszy, nie wznosi, jak święto-

szek, co chwila rąk ku niebu. Muszę przyznać, że go lubię. Nie przypomina w niczem swego poprzednika, tej rozlazłej gapy, która umiała tylko klepać modlitwy i drżała ze strachu przed każdym kanonikiem. Obecny kardynał nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. Niechby się tylko ktoś ośmielił sprzeciwić jego woli. Byłby w stanie podczas nieszporów wpaść na chór i porozpędzać wszystkich, bijąc pastorałem.

Już od dwóch miesięcy nie pokazuje się w katedrze. Obraził się z powodu przybycia do pałacu delegacji kanoników, którzy żądali różnych reform. Petycja rozpoczynała się od słów: „Eminencjo, kapituła jest zdania".

Don Sebastjan przerwał wściekłym głosem:

„Kapituła nie może mieć żadnego zdania! Kapituła niema rozumu!" I obrócił się do nich plecami, pozostawiając ich ogłuszonych tym wybuchem pasji.

Kardynał miał słuszną rację, traktując ich w ten sposób. Dlaczego ci panowie wtykają swój nos tam, gdzie nie należy, zajmując się drobiazgami jego prywatnego życia? Czy Don Sebastjan wtrąca się do nich? Czyż im wymawia te grzeszki, o których już wróble na dachach świergocą?

— Co kanonicy zarzucają kardynałowi?

— Niepodoba im się, że sprowadził do pałacu donia Visitacion!

— A kto jest ta donia Visitacion?

— Jakto? Wuj nie zna jej jeszcze? W całej katedrze i w całem mieście mówi się tylko o niej. Przecież to siostrzenica Jego Eminencji! Gdy nadejdzie atak przeklętej choroby, zaczyna krzyczeć, wyć, gryźć prawie, ale wystarczy, aby donia Visitacion weszła do komnaty — momentalnie się uspokaja,

przestaje jęczeć, robi się pokorny i cichy, jak jagniątko. Raduje się, usłyszawszy jedno jej pieszczotliwe słowo! Tak, tak, kocha ją bardzo.

— A zatem, łączyłoby ich?... — spytał zaintrygowany Gabrjel.

— Naturalnie, że tak! Czyżby mogło być inaczej? Donia Visitacion wychowywała się od dziecka w „Kolegjum dla szlachetnie urodzonych panien". Don Sebastjan, przybywszy do Toledo, sprowadził ją natychmiast do swego pałacu. Co prawda dla mnie gra nie wartaby była stawki. Jest to duża, blada, chuda dziewczyna; całą jej ozdobą są ładne oczy i ładne włosy.

Mówią, że śpiewa, gra na fortepianie, czyta wiele książek, że umie wszystko, czego się uczy w szkołach dla ludzi bogatych. Prócz tego posiada prawdziwy talent wodzenia kardynała za nos.

— Być może, że mylisz się jednak w swych przypuszczeniach?

— Skądże znowu! Tak twierdzi cała kapituła, a wszyscy kanonicy wierzą w to święcie. Faworyci Jego Eminencji, lizusy, donoszący mu wszystkie plotki, przeczą temu coprawda, ale przeczą tak miękko, że to przeczenie utwierdza nas tylko w naszem przekonaniu.

Ilekroć gadanina obije się o uszy Don Sebastjana, kardynał wybucha wściekłym gniewem.

Perrero umilkł, podrapał się po głowie, jakby namyślał się, co tu jeszcze ważnego powiedzieć.

— Kim jest donia Visitacion dla kardynała, wiem doskonale. Mam dowody, wuju! Wiem, jak oni żyją! Jeden z domowników widział niejednokrotnie jak się całowali. Chociaż, mówiąc prawdę, to raczej

ona go całuje i obejmuje, a don Sebastjan z anielską radością przyjmuje pieszczoty tej kotki. Biedak! Jest już taki stary!

Tato zakończył swoje zwierzenia jakimś sprośnym żartem.

Co pewien czas koło wielkiego fresku, przedstawiającego św. Krzysztofa, spotykał Gabrjel Don Luisa. Rozmawiali, stojąc przed małemi drzwiami, prowadzącemi po spiralnych schodkach do archiwum muzycznego.

Dyrektor chóru trzymał prawie zawsze pod pachą jakiś gruby, zakurzony tom, który pokazywał Gabrjelowi.

— Niosę to do klasztoru — mówił. — Chcę panu sprawić prawdziwą ucztę duchową.

I dwaj przyjaciele zaczynali rozmowę o muzyce. Don Luis, wskazując oczami na małe drzwiczki, wołał:

— Ach, kraje mi się serce na myśl o tych archiwach. Za każdym razem wychodzę stąd, przybity na duchu. Prawdziwi barbarzyńcy przeszli tędy. Wszystkie tomy mają powyrywane, lub pozaginane karty. Brak im winiet i ornamentów. Stara muzyka poszła już w niepamięć Panowie kanonicy nie lubią jej, ani jej nie rozumieją. Żal imby było wydać kilka pesetów, aby wprowadzić ją do programu świąt uroczystych.

Co się tyczy organów, to panom kanonikom chodzi tylko o to, aby na nich grano jaknajwolniej. Muzyka powolna wydaje się im muzyką religijną. Gdyby organiście przyszła fantazja odegrać powolnie kontredansa, to i kontredans zostałby podciągnięty pod miano muzyki religijnej.

Niewiele brakowało, aby oczy artysty napełniły się łzami.

— Czy pan wie, Gabrjelu, że w tych archiwach mieszczą się utwory pierwszorzędnej wartości, zasługujące na to, aby żyć tak długo, jak długo będzie na świecie żyła sztuka? My, Hiszpanie, niewieleśmy dokonali w muzyce świeckiej, ale niech mi pan wierzy, że w muzyce religijnej jesteśmy jednymi z pierwszych. Oczywiście, o ile wogóle istnieje muzyka świecka i muzyka religijna. Jeżeli chodzi o mój sąd, wątpię o tem mocno. Według mego zdania istnieje tylko jedna muzyka i konia z rzędem temu, kto potrafi oznaczyć granicę, gdzie się kończy świecka, a zaczyna religijna. Jest to kwestja, nad którą daremnie głowiła się krytyka od XVI do XVII wieku. Co pewien czas ukazywała się z tego powodu bulla papieska, ale bulle nic nie pomogły, skoro i ojciec święty sam nie był w stanie powiedzieć jasno: „to jest religijne, a to świeckie". Za tymi murami śpią, pokryte grubą powłoką kurzu, dzieła największych muzyków naszego kraju. I może lepiej, że śpią! Nie słyszą przynajmniej tego, co się dzisiaj u nas śpiewa na chórze. Jest tam Cristobal Morales, który był ongiś kapelmistrzem w tej katedrze. Upłynęło od tego czasu trzysta lat. Dwadzieścia lat wcześniej Palestrina rozpoczął reformy muzyki. W Rzymie Cristobal dzielił sławę tego znakomitego mistrza. Portret jego wisi w Watykanie, a jego *Lamentationes*, jego *Psalmy* i *Magnificat* śpią tu od wieków w zapomnieniu. Po Cristobalu idzie Victoria, drugi z tej samej epoki, przezwany przez zawistnych mu współczesnych „małpą Palestriny". Poczytywali jego dzieła, powstałe po powrocie autora z Rzy-

mu, za mierne naśladownictwa. Victoria jednak nie tylko nie był plagjatorem Włocha, lecz pod wieloma względami przewyższył go nawet. Jest tam także toledańczyk, Rivera, o którym dziś już nikt nic nie wie. W naszych archiwach pozostał po nim tom mszy. Jest jeszcze Romero d'Avila, największy znawca maurytańsko-arabskiego śpiewu, i Ramos z Parcja, muzyk XV wieku, który w swym *„De musica tractatus"*, ogłoszonym w Bolonji, obala przestarzały system Guido d'Arzzo i odkrywa „temperament dźwięków". Następnie mamy mnicha Urenia, dodającego nutę „si" do gamy i Javier Garcia, który w wieku ubiegłym reformuje muzykę, kierując się (niech mu to Bóg przebaczy) smakiem włoskim. Mamy także Nebra, organistę Karola III, kompozytora, który na sto lat przed Wagnerem używał już dysonansów w muzyce. Pisząc swoje *Requiem* na pogrzeb donia Barbara de Braganza, przeczuwał widać zdziwienie, z jakiem wykonawcy-muzycy i śpiewacy powitają jego rewolucyjną muzykę, skoro na marginesach nut dopisywał: „Proszę wziąć pod uwagę, że część ta jest napisana bez błędu". Litanje jego zdobyły taką sławę, że zabroniono naśladować je pod groźbą wyklęcia. Groźba bardzo słuszna, gdyż dzisiaj wyklętoby muzyka, któryby zechciał przypomnieć je światu. Ach, Gabryjelu, nasze archiwum jest panteonem wielkich ludzi, lecz panteonem, w którym nikt już zmartwychwstać nie może.

I mówił dalej, zniżając głos: „Kościół nigdy nie kochał muzyki. Trzeba być artystą, aby ją rozumieć i odczuwać".

„Czy pan wie, że ci panowie, którym płacą, aby

śpiewali na chórze, nie mają żadnych kwalifikacyj muzycznych? Kiedy widzę, jak pan, Gabrjelu, uśmiecha się na myśl o sprawach religji, zgaduję, co pan chce powiedzieć, i przyznaję panu słuszność. Zajmowałem się szczegółowo historją muzyki kościelnej i krok za krokiem śledziłem tę krzyżową drogę, po której ta nieszczęsna sztuka szła przez wieki całe. Słyszał pan zapewne niejednokrotnie, że muzykę religijną stworzył kościół. Kłamstwo! — muzyka religijna nie istnieje!"

Don Luis i Gabrjel rozmawiali całemi godzinami, przechadzając się po samotnych, cichych nawach. Kościół był pusty. Przed drzwiami zakrystji stali dziadowie kościelni, a kilka kobiet klęczało przed kratą głównego ołtarza. W katedrze panował już zmierzch zimowego wieczoru. Nietoperze zniżyły lot, krążąc między kolumnami.

„Nie, nie, muzyka religijna nie istnieje, co się zaś tyczy muzyki kościelnej, to znajduje się ona w stadjum zupełnej anarchji. Chrystjanizm, stawszy się religją, nie stworzył najprostszej zasady układania kompozycji śpiewu. Przejął poprostu od Żydów ich pieśni. Była to pierwotna i barbarzyńska muzyka. Uszyby nam popuchły, gdybyśmy jej dzisiaj słuchali. Poza Palestyną, w miejscowościach, gdzie Żydów nie było, pierwsi poeci chrześcijańscy, św. Ambroży, Prudencjusz i inni tworzyli nowe hymny i psalmy, adoptując melodje albo ze świata rzymskiego, albo też z muzyki greckiej. Te słowa: „muzyka grecka" dają nam złudzenie pięknych rzeczy — nieprawdaż? Grecy mają tyle arcydzieł w sztukach plastycznych i w poezji, że wszystko co nosi nazwę „greckie", otoczone jest aureolą doskonałości.

A jednak muzyka grecka była poprostu rzemieślniem. Różne rodzaje sztuk miały w dziejach ludzkości różne drogi rozwoju. Podczas kiedy rzeźba, dzięki Fidjaszowi, doszła do apogeum, malarstwo zachowało pewną surową pierwotność, co zresztą rzuca się w oczy w Pompei. Grecy nie potrafili stworzyć pełnego systemu pisania nut, który mógłby wyrazić i ustalić wszystkie zasady muzyki. Każdy naród, wchodzący w skład ich państwa, miał swój świat muzyczny. Niemożność dokładnego wyrażenia na papyrusie tego, co śpiewały instrumenty i głosy, okazało się niezwalczoną przeszkodą na drodze postępu.

Gabrjel potwierdził skinieniem głowy, że zgadza się z twierdzeniami księdza.

„Oto, jaką była pierwotna muzyka chrześcijan — podjął znów Don Luis. — Śpiewy kościelne, podawane przez tradycję z ust do ust, zatracały swoje piękno. Każdy kościół wykonywał je na swoją modłę; w muzyce religijnej panował chaos. Mistycy marzyli o ujednostajnieniu tej muzyki hieratycznej. Święty Grzegorz wydał w XV wieku swój Antyfonarz. Była to zbieranina wszystkich melodyj liturgicznych, upiększonych według zasad kompilatora. Zmieszały się z sobą dwa elementy: element rzymski, poważny i surowy i element grecki, przeładowany dodatkami wschodniemi, przypominający nasze *malaguena* [31]. Nuty wyrażano literami, idąc za przykładem frygijskim i lidyjskim. Zbiór ten nie doszedł do nas w całości ku wielkiemu zmartwieniu tych, którzyby pragnęli nawiązywać dziś do muzyki starożytnej. Ale jeśli można wydać sąd na podstawie pozostałych urywków, to muzyka ta byłaby religijna... byłby to śpiew, podobny do śpiewu Maurów, Chińczyków, lub Greków-schizmatyków, którzy zachowali dawną liturgję. Harfa była podówczas instrumentem kościelnym. Panowanie jej trwało do X wieku, w którym wynaleziono organy, instrument barbarzyński, wprawiany w ruch powietrzem, zamkniętem we wzdętych workach skórzanych.

Guido Arezzo ustalił skalę muzyczną, biorąc za podstawę zbiór św. Grzegorza. Wystarczyło to, by przypisano temu benedyktynowi wynalezienie pięciolinji. Zamiast nut posługiwał się literami. Litery te, odmalowane w trzech kolorach, umieścił w dwóch rzędach.

Po upływie dziesięciu lat nauczono się wreszcie jako tako muzyki, chociaż śpiewacy, pochodzący z różnych miast, nie umieli jednakowo dobrze nut odczytywać. Śpiew ten, jako zbyt mało poważny, raził św. Bernarda, którego charakter był tak surowy, jak ta cała epoka. Św. Bernard był wrogiem sztuki. Pragnął, aby kościoły pozbawione były wszystkich ozdób architektonicznych, co się zaś tyczy muzyki, to muzyka o najpowolniejszem tempie wydawała mu się najlepsza. Był on ojcem *„cantus plenus“*. Lecz już w XIII wieku chrześcijanie zaczęli uważać ów *„cantus plenus“* za zbyt nudny. W owych czasach katedry zastępowały miejsca rozrywek. Były teatrami, centrami życia towarzyskiego i społecznego.

Chodzono do kościołów potrosze dla modlitwy, ale głównie po to, aby się rozerwać, zapomnieć o okropnościach świata: o gwałtach i wojnach. Muzyka świecka weszła znowu w progi kościoła; intono-

wano piosenki świeckie, będące podówczas w modzie.

Cały lud brał udział w tego rodzaju koncertach, ponieważ zaś każdy śpiewał według skali swego głosu i według sposobu, jaki mu najwięcej przypadał do gustu — więc koncerty te tworzyły pierwszą próbę śpiewu zbiorowego. Religja stała się radosna i demokratyczna taka, jaką tybyś ją pragnął widzieć, Gabrjelu. Nie istniała wówczas inkwizycja, nie podejrzewano nikogo o herezję, nie paczono dusz fanatyzmem i strachem. Pospolite instrumenty, smyczkowe i dęte, na których grali chłopi podczas żniw i robotnicy w miastach, wprowadzono do kościoła i organom zaczęła towarzyszyć odtąd gra na skrzypcach, trąbach, fletach, gitarach i teorbanach. W całej prawie Europie liturgję zastąpił *„cantus plenus"*, ale wierni nie chcieli się z tem pogodzić i jęli przeplatać śpiew popularnemi arjami. Podczas wielkich świąt śpiewano hymny na nutę dobrze znanych melodyj, jak: *„Piosnka starego wiarusa"*, *„Daj mi swe usta, Morenico"*, *„Nie wiem, czemu się tak trapię"*, *„Pani, miej litość nademną"*, *„Biada temu, kto cię pojął za żonę"* i t. d."

„Pyta pan, czy Rzym nie protestował? Czy kościół nie przeciwstawił się podobnej anarchji? Nie, ponieważ kościół nie posiadał nigdy kanonów artystycznych. Nie stworzył, jak inne religje, ani swej własnej architektury, ani rzeźby, wyłącznie chrześcijańskiej, a tem mniej, muzyki. Przystosowywał do siebie wszystko połowicznie — z łatwością przyjmował i adoptował to, co było nie tyle jego dziełem, ile dziełem postępu ludzkiego. Wszystkie style: greko-rzymski, bizantyjski, gotycki, renesan-

sowy, weszły w skład jego architektury, ale czysta, oryginalna sztuka chrześcijańska nie istnieje, ani nigdy nie istniała.

Zreformowanie muzyki kościelnej poruczono Palestrinie. Papież przychylił się wówczas do zdania, że należy zachować li tylko *„cantus plenus"*, a nawet i jego odrzucić, gdy zajdzie po temu potrzeba. *„Msza"* papieża Marcelego i kilka innych melodyj, oto skutek tego postanowienia. Nie posunęło to jednak sprawy bynajmniej naprzód. Aby oczyścić muzykę kościelną, trzeba było, aby inicjatywa wielkiego ruchu muzycznego wyszła ze świata świeckiego — ruch ten zapoczątkowali: Włoch, Montevedre, Francuz, Rameau, oraz Niemcy: Sebastjan Bach i Haendel. Jakaż to cudna epoka, Gabrjelu! I jacyż to ludzie nastąpili po niej: Gluck, Haydn, Méhul, Boieldieu, a przedewszystkiem nasz boski Beethoven!

Kierownik chóru umilkł na chwilę, jakby nazwisko jego pół-boga zamknęło mu usta i nakazało pokorę milczenia. Po chwili dodał:

„Cała ta nawałnica sztuki przeszła przez kościół, który swoim zwyczajem, wybrał z niej to, co mu najbardziej przypadło do gustu. Religja katolicka przyswoiła sobie muzykę, pozostającą w harmonji z jej tradycjami. W Hiszpanji, począwszy od Palestriny, karmiono nas utworami, komponowanemi na modłę włoską; muzyka francuska i niemiecka pozostała nam nieznana. Początkowo uprawialiśmy kontrapunkt i fugę, ale po Stabat-Mater Rossini'ego nabraliśmy takiego obrzydzenia do muzyki teatralnej, że nie chcieliśmy jej już dłużej protegować. W Hiszpanji muzyka religijna i opera włoska szły

ręka w rękę — o tym szczególe nic oczywiście panowie kanonicy nie wiedzą. Oburzyliby się, gdyby im podczas mszy zagrano jakąś melodję Beethovena, ponieważ uważają go za autora świeckiego. Z ekstazą mistyczną słuchają natomiast urywków, które obiegły niegdyś wszystkie sceny włoskie.

„A *„cantus plenus"*? — zapyta pan. Dobrze się czuł w naszej katedrze i dlatego zachował się przez wieki całe. Toledo wzięło z niego wszystko najlepsze. Z foljałów naszego archiwum kościelnego wyszły liturgiczne śpiewy wszystkich kościołów Hiszpanji i Ameryki. Biedny *„cantus plenus"*! Tak dawno został już pogrzebany! Nikt nie przychodzi go słuchać ani podczas jutrzni, ani podczas nieszporów. Wierni nie znają liturgji, zapomnieli już o niej. Za to pociągają ich nowenny, tridunny, ćwiczenia extra-liturgiczne... Stary katolicyzm hiszpański, poważny i szlachetny, wzrosły na zdrowym gruncie, ustąpił miejsca lichej bigoterji, pragnącej podlizać się publiczności przez ładne śpiewy, śpiewane w zrozumiałym dla niej języku. Jezuici odgadli ze zwykłym sobie sprytem, że religji trzeba nadać pewną ponętę światową, połączyć operetkę z liturgją. Oto dlaczego ich złocone kościoły, wysłane dywanami, pełne kwiatów, niby buduary, są zawsze pełne, podczas kiedy w katedrach huczy echo grobowej pustki. Nie obwieszczali uroczyście nowych reform, ale zaprowadzili je w praktyce, znosząc w śpiewie słowa łacińskie, nie przypadające do smaku tłumom, i wprowadzając na miejsce tekstów liturgicznych różne ckliwe romanse. Jest to abdykacja kościoła, przyznanie się do niemocy. Obecnie tylko *„Tantum ergo"* śpiewają po łacinie: zupełnie jak w świątyni

protestanckiej. Ale chodźmy, Gabrjelu, gdyż już zamykają katedrę".

Dzwonnik biegał po nawie, poruszając pękiem kluczy, których brzęk wystraszał coraz to liczniejsze rzesze nietoperzy. Dewotki gdzieś znikły. W katedrze pozostał tylko ksiądz i Gabrjel. Stróże nocni, poprzedzani przez psa, udawali się na swój zwykły posterunek. Mieli pozostać zamknięci w katedrze do następnego dnia.

Pewnego popołudnia, gdy Gabrjel wychodził z klasztoru przed bramę ogrodu, zatrzymała go Tomasa.

— Czy wiesz, że mam już nowiny? Zdaje mi się, że odkryłam kryjówkę biednej Sagrario. Nic Ci więcej nie powiem, lecz jest bardzo możliwe, że po upływie czterech dni, zobaczysz ją któregoś ranka w klasztorze.

I rzeczywiście w kilka dni później Tomasa, ciągnąc Gabrjela za rękaw, zaprowadziła go do ogrodu. Gabrjel ujrzał przed sobą kobietę, wspartą o jeden ze słupów, otaczających ogród. Kobieta ta była owinięta w wypłowiałą pelerynę, chustkę miała nasuniętą po same oczy. Na nogach widniało zniszczone, wykrzywione obuwie.

— To ona — rzekła Tomasa.

Gabrjel nie domyśliłby się nigdy, że stoi przed nim jego siostrzenica. Na podstawie opisów Estabana stworzył sobie w wyobraźni obraz młodej dziewczyny, pełnej wdzięku, o różowej cerze i śmiejących się wesoło ustach — teraz patrzał na twarz zwiędłą, kościstą, z wystającemi policzkami, z zapadniętemi oczyma i rzadkiemi brwiami, na twarz,

pełną wyrazu cierpienia, napiętnowaną smutkiem i zmęczeniem.

— Przywitaj się ze swym stryjem, Gabrjelem, moje dziecko — rzekła staruszka. — Mimo wszystkich szaleństw, które w życiu popełnił, jest to prawdziwy anioł. Jemu tylko możesz zawdzięczać, że tu dziś powracasz.

I Tomasa chciała popchnąć lekko Sagrario w stronę Gabrjela. Lecz nieszczęśliwa kobieta odwróciła głowę, wtuliła ją jeszcze głębiej w ramiona i odstąpiła od nich na kilka kroków, tak, jakby nie mogła znieść spojrzenia żadnego ze swych krewnych. Później nakryła twarz połą płaszcza, by ukryć napływające do oczu łzy.

— Wejdziemy do domu, ciotko — rzekł Gabrjel. — Sagrario nie czuje się tu dobrze!

Wstępując na schody klasztoru, przepuścili Sagrario przed sobą. Wchodziła z twarzą szczelnie zasłoniętą, tak iż nic nie widziała. Nogi jej instynktownie odnajdywały stopnie.

— Przybyłyśmy z Madrytu dzisiaj rano — objaśniała Tomasa, wchodząc na górę. — Kazałam jej zaczekać aż do tej pory w pewnym zajeździe, gdyż chciałam, aby się zjawiła w Claverias dopiero pod wieczór. Jest to najlepsza chwila. Estaban zajęty jest na chórze, więc będziesz mógł z nim całą sprawę tam załatwić. Przepędziłam w Madrycie trzy dni. Ach, moje dziecko, moje dziecko, na jakie straszliwości tam się napatrzyłam! W jakimże piekle przebywało to biedactwo! I mówią, że jesteśmy chrześcijanami? Prędzej djabły z nas wcielone! Na szczęście mam znajomych w stolicy. Księża, którzy przebywali dawniej w katedrze, przypomnieli

sobie starą Tomasę. Musiałam użyć całego ich poparcia, musiałam wyłożyć także sporą sumę pieniędzy, aby wydostać nieszczęśliwą ze szponów djabła!

Górny Klasztor był pusty o tej porze. Stanąwszy przed drzwiami rodzicielskiego mieszkania, Sagrario nagle ocknęła się z odrętwienia. Rzuciła się wtył i zaniosła się płaczem, jakby w tym domu miało jej grozić jakieś straszne nieszczęście.

— Wejdź, wejdź — mówiła Tomasa. — Jesteś przecież u siebie. Prędzej czy później musiało się to stać przecież!

I wziąwszy ją za ramię, siłą przeprowadziła przez próg. Znalazłszy się w przedsionku, Sagrario przestała szlochać. Toczyła błędnym wzrokiem na wszystkie strony, jakby w przerażeniu, że ośmieliła się tu wejść. Patrzyła ze zdumieniem na przedmioty i sprzęty, które stały na dawnem miejscu, tak, jakby czas zatrzymał się w biegu. Rzeczywiście, w tym małym świecie, otoczonym cieniem katedry, nic się nie zmieniło. Zmieniła się tylko ona, Sagrario. Wyjechała stąd w pełnym rozkwicie młodości, a dziś powraca stara i chora.

Nastała długa chwila milczenia.

— Twój pokój jest taki, jakim go pozostawiłaś, Sagrario — odezwał się wkońcu Gabrjel ze słodyczą w głosie. — Wejdź tam i zaczekaj aż cię zawołam. Uspokój się i nie płacz! Musisz mi zaufać! Prawie zupełnie mnie nie znasz, lecz ciotka musiała ci powiedzieć, jak bardzo los twój mi na sercu leży. Ojciec twój nadejdzie tu wkrótce. Ukryj się i zachowuj się cicho. Pamiętaj, nie wychodź, dopóki cię nie zawołam.

Kiedy Tomasa i Gabrjel pozostali sami, usły-

szeli poprzez zamknięte drzwi stłumione łkanie młodej kobiety, która, osunąwszy się na łóżko, napróżno usiłowała powstrzymać szloch.

— Biedactwo! — rzekła ze współczuciem Tomasa, której samej się na płacz zbierało. — Jest to dobra dziewczyna, szczerze teraz żałująca za swoje grzechy. Gdyby w chwili, gdy ją opuścił ten gałgan-kadet, ojciec jej ją zabrał, nie zaznałaby takiego poniżenia i nędzy. Co się zaś tyczy jej zdrowia, Gabrjelu, to myślę, że ona ma się gorzej, niż ty. Ach, ci mężczyźni, ci mężczyźni z ich pojęciem honoru! Prawdziwy honor — to miłosierdzie i litość w stosunku do bliźniego, to nie wyrządzanie krzywdy nikomu. Powiedziałam to któregoś dnia memu miłemu zięciaszkowi. Wielmożny pan raczył się rozgniewać, gdy mu oświadczyłam, że jadę do Madrytu, aby odszukać tę małą. Rzekł, że z chwilą, gdy się tu zjawi Sagrario, wszyscy uczciwi i porządni ludzie będą musieli wynieść się z katedry i że nie pozwoli swej córce przestąpić przez próg mieszkania. Moralista ten kradnie jednakże wosk ze świec, stojących na ołtarzu Najświętszej Panny i przywłaszcza sobie pieniądze, złożone przez pobożnych na msze, które naskutek tego nigdy się nie odprawiają.

Po krótkiej przerwie Tomasa zapytała:

— Czy mam zawołać Estabana?

— Zawołaj go, ciotko.

— Dobrze, przyślę ci go, ale ja osobiście nie chcę być świadkiem waszej rozmowy. Znasz mnie dobrze i równie dobrze znasz swego brata. Albo rozpłaczę się bezradnie, albo spoliczkuję go za jego upór. Samemu łatwiej uda ci się go przekonać.

Gabrjel czekał w niepewności pół godziny, patrząc przez okno na pusty dziedziniec klasztoru. Katedra czyniła bardziej ponure wrażenie, niż zwykle. Żadne dziecko nie bawiło się w Claverias. Wreszcie nadszedł Estaban.

— Co się stało, Gabrjelu? Ciotka mówiła mi, że chcesz się widzieć ze mną? Mam nadzieję, że nie czujesz się gorzej?

— Nic nic! Proszę cię, usiądź! Muszę się z tobą rozmówić w cztery oczy.

Drewniana Rózga usiadł, patrząc na brata niepewnym wzrokiem. Przestraszył go poważny, surowy wyraz twarzy Gabrjela. Przytem Gabrjel, jakby pragnąc zebrać myśli, milczał przez pewien czas uporczywie.

— Mówże wreszcie! Powiedz mi, o co ci chodzi? Niepokoisz mnie strasznie!

— Mój bracie— zaczął Gabryjel poważnym głosem, — wiesz przecie, że zawsze szanowałem ciążącą na twem życiu tajemnicę. Powiedziałeś mi: „córka moja umarła“ i dodałeś, że nie chcesz, aby ją wspominano. Do dzisiejszego dnia starałem się, aby najmniejszem przypomnieniem nie rozranić twego serca.

— Tak. Ale do czego zmierzasz właściwie? Poco zacząłeś mówić o rzeczach, które sprawiają mi tyle bólu?

— Nie chmurz tak czoła, Estabanie! Wysłuchaj mnie ze spokojem i postaraj się wyzwolić ze swych uprzedzeń. Bądź mężczyzną i zastosuj się do rozsądnych rad. Ty i ja, mamy zupełnie odrębne przekonania. Nie chodzi mi o przekonania religijne; pozostawmy je na stronie; mówię narazie o sprawach

społecznych. Ty sądzisz nprz., że rodzina jest dziełem Boga i że początek jej wypłynął z nadprzyrodzonego źródła. Ja natomiast myślę, że jest ona instytucją stworzoną przez człowieka, dla potrzeb gatunku. Osobnika, który się wyłamuje z pod prawa rodziny i opuszcza swe miejsce, ty byłbyś gotów potępić bezwzględnie — ja tylko współczuję jego słabości i zgóry odpuszczam mu winy. Różnimy się także w zapatrywaniach na sprawy honoru. Ty masz swój honor kastylijski, honor barbarzyński, okrutny i teatralny zarazem. Przykazania tego honoru nie są dyktowane sercem, stosuje się on bowiem wyłącznie do tego, co świat powie; a swą rzekomą wspaniałością i szlachetnością chce tylko innym imponować. Dla wiarołomnej żony — śmierć, zadana ręką mściwego męża, dla córki, która uciekła—pogarda i zapomnienie. Oto wasza ewangelja! Ja mam inną! Dla żony, gwałcącej swoje obowiązki — zapomnienie i obojętność, dla córki, tej krwi krwi naszej — pobłażliwość, przebaczenie, gotowość pomocy. Tak, Estabanie, przekonania nasze nas dzielą, całe wieki stanęły między nami. Ale ty jesteś wszak moim bratem; kochasz mnie i ja także ciebie kocham. Wiesz przecież, że pragnę twego dobra, wiesz, że kochałem naszych biednych rodziców, tak, jak i ty ich kochałeś. A więc w imię tych wszystkich uczuć oświadczam ci teraz, że tak dłużej trwać nie może, że nie powinieneś zacinać się w swym uporze, zasłaniając się swoją rzekomą godnością, nieczuły na wspomnienie córki. Ty, który jesteś tak dobry, ty, który przygarnąłeś mnie w najstraszniejszej chwili mego życia, nie możesz chyba sypiać spokojnie, gdyż myśl o dziecku mąci sny twoje. Pożywiając się, zapytujesz samego siebie: a może ona w tej chwili umiera z głodu? Nie wiesz także, czy córka twoja nie leży w szpitalu, podczas gdy ty korzystasz z mieszkania, które pozostawili ci nasi rodzice.

— Wszystkie twoje wysiłki, Gabrjelu, nie zdadzą się na nic — odparł Estaban z ponurym wyrazem twarzy. — Nie uzyskasz nic ode mnie! Nie mów mi więcej o tej dziewczynie; zbyt wiele przez nią cierpiałem; złamała całe moje życie! Czy nie zastanowiłeś się nad tem, że rodzina Luna przez wieki całe świeciła przykładem cnoty, że była szanowana przez cały świat? I oto nagle stoczyliśmy się na samo dno upadku, stając się dla wszystkich pośmiewiskiem! Ach, jakże strasznie cierpiałem! Niejednokrotnie, zamknąwszy się w tem mieszkaniu, płakałem z wściekłości, usłyszawszy co szeptano za mojemi plecami. A pozatem, moja nieszczęśliwa żona umarła przecież ze wstydu! Biedna! Zeszła z tego świata, nie chcąc być świadkiem mego bólu, nie chcąc znosić dłużej ludzkiej pogardy. Chcesz, abym teraz o tem wszystkiem zapomniał? Cokolwiekbyś chciał mi jeszcze powiedzieć, Gabrjelu, honor pozostanie dla mnie honorem! Nie ścierpiałbym, aby ludzie mówili o nas: „Lunowie są ludźmi bez czci i bez wstydu“! A mieliby prawo tak mówić, gdybym przygarnął tę upadłą dziewczynę. Dlatego też błagam cię i zaklinam na naszą braterską miłość, nie nalegaj dłużej. Rozkrwawiasz moje rany zupełnie niepotrzebnie, gdyż mnie nie przekonasz.

— Jednakże — podjął znów Gabrjel — religja wasza uczy przecież, że dzieci są darem Boga. Czyż macie przeto prawo odtrącać je i wyklinać, gdy staną się przyczyną waszego cierpienia? Nie, po sto-

kroć nie, Estabanie! Miłość rodzicielska winna być silniejsza, niż przesądy społeczne. Przecież dzięki dzieciom naszym możemy trwać przez wieki całe, przecież to dzieci nasze dają nam nieśmiertelność. Obojętność wobec tych istot, które są naszem dziełem, odmawianie im pomocy w potrzebie — jest pewnego rodzaju samobójstwem.

— Nie przekonasz mnie! — krzyknął Estaban gwałtownie. — Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

— A więc pozwól powiedzieć sobie, że postępowanie twoje jest podłe! Jeżeli już jesteś tak wrażliwy na honor, na ten głupi honor, którego obrazę zmywa się krwią, dlaczego nie starałeś się odszukać tego uwodziciela, który ukradł ci córkę? Dlaczegoś go nie zabił, jak to czynili ojcowie w dawnych melodramatach? Jesteś człowiekiem spokojnym, nie nauczono cię sztuki zabijania bliźnich, podczas gdy ten osobnik ma dobrą praktykę w władaniu bronią. Pozatem, gdybyś, opierając się na tem, co nazywasz swojem prawem, szukał zemsty nie w pojedynku, odbytym według wszelkich reguł, jego potężna rodzina poprzysięgłaby ci zemstę. Wyrzekłeś się więc zemsty tylko przez instynkt samozachowawczy, ze strachu przed katorgą. Oszczędziłeś zbrodniarza, a potępiłeś ofiarę! Tak, powtarzam ci jeszcze raz, jest to nikczemne tchórzostwo!

Drewniana Rózga z uporem potrząsnął głową:

— Nie przekonasz mnie, nie przekonasz mnie! Opuściła mnie, więc i ja ją z kolei opuszczę!

— Gdyby opuściła cię, otrzymawszy błogosławieństwo księdza przed ołtarzem, byłbyś zadowolony i przyjmowałbyś ją z otwartemi ramionami, ilokrotnieby przybyła, aby cię odwiedzić. Ale ona odeszła od ciebie poto, aby ją nikczemnie oszukano, aby poznać się z nędzą i hańbą. Czy istota nieszczęśliwa nie zasługuje według ciebie na większe współczucie, niż istota szczęśliwa? Pomyśl tylko, Estabanie, co było przyczyną upadku tej dziewczyny? Czegoś jej nauczył? Czyś przygotował ją, aby się umiała bronić przed niegodziwością mężczyzn? Twoja żona i ty daliście jej przykład, jak należy szanować bogactwo i urodzenie, upoważniając tego żółtodzioba do bywania w waszym domu, i z dumą przyjmując hołdy, jakie składał waszej córce. Czyż można się dziwić dziewczynie, iż, pokochawszy go, uwierzyła, że znalazła w nim uosobienie wszystkich ludzkich doskonałości? Później, kiedy przyszły nieuniknione następstwa różnic socjalnych, nie była w stanie wyrzec się swej miłości! Jest to jedna z tych natur, które buntują się przeciw tyranji przesądów i bunt swój opłacają kosztem wszelkich możliwych poniżeń. Wkońcu, zwyciężona, musiała upaść. Czyjaż w tem wina? Przedewszystkiem wasza, gdyż nie ostrzegliście jej bowiem, zaślepieni ambicją, pozwoliliście jej śnić nad brzegiem przepaści. Nieszczęśliwa zapłaciła zbyt drogo za waszą ślepotę i za swoją naiwność: stoczyła się w otchłań. Ale teraz chodzi o to, aby ją dźwignąć z upadku. I ty, przedewszystkiem ty, Estabanie, powinieneś podjąć to dzieło sprawiedliwości.

Estaban, siedząc z pochyloną głową, zaprzeczył w milczeniu.

— Bracie mój — rzekł wtedy Gabrjel z powagą w głosie—ponieważ trwasz w swym beznadziejnym uporze, pozostaje mi powiedzieć ci tylko jedno jeszcze: odchodzę od ciebie. Każdy ma swoje skrupu-

ły. Ty boisz się obmowy świata, ja boję się własnego sumienia. Byłbym złodziejem, gdybym jadł twój chleb wówczas, gdy córka twa przymiera głodem, gdybym troszczył się o swoje zdrowie, wtedy, gdy ona, być może, bardziej schorowana ode mnie, nie znajduje nigdzie pomocnej ręki. Jeżeli ona nie powróci, ja stanę się w domu jej ojca intruzem, zabierającym opiekę i dobrobyt, jej należny.

Bracie mój — każdy ma swoją moralność; ty swoją otrzymałeś w spadku — ja moją stworzyłem sam dla siebie.

— W imieniu tej mojej moralności mówię, Estabanie, weź swoją córkę do siebie, albo ja cię będę musiał opuścić. Tak, powrócę do świata, który mnie znów, jak dzikie zwierzę, prześladować zacznie. Znajdę się znów w szpitalu lub więzieniu lub też zdechnę, jak bezdomny pies, w rowie. Nie wiem, co się ze mną jutro stanie, natomiast wiem, że dzisiaj jeszcze stąd odejdę.

Estaban zerwał się na równe nogi i rzekł z gestem, pełnym rozpaczy:

— Czyś ty oszalał, Gabrjelu? Chcesz mnie porzucić i mówisz o tem z takim spokojem? Ależ obecność twoja w moim domu jest jedyną radością mego życia po tylu nieszczęściach, które spadły na mnie. Przyzwyczaiłem się już do twej obecności, do obowiązku pielęgnowania cię i czuwania nad tobą. Jesteś przecież całą moją rodziną! Zanim powróciłeś, żyłem w zupełnej apatji, nie miałem żadnego celu, ani żadnej nadziei. Teraz mam jeden jedyny cel: uzdrowić cię, dodać ci sił. Nie, nie, ty nie odejdziesz, nie możesz odejść. Jeśli mnie opuścisz, pozostanie mi tylko śmierć.

— Uspokój się, Estabanie! Rozmawiajmy, jak mężczyźni, bez krzyków i płaczów. Bierz przykład ze mnie: zachowałem swoją zimną krew. A więc powtarzam ci, jeżeli nie zgodzisz się na moją prośbę, opuszczam cię natychmiast.

— Gdzie ona się znajduje? Dlaczego tak gorąco przemawiasz za nią? Widziałeś ją? Rozmawiałeś z nią? Czy jest w Toledo?

Kiedy biedny ojciec zadawał wszystkie te pytania, oczy jego napełniły się łzami. Gabrjel odczuł, że bezwzględny upór Estabana zaczyna ustępować, zdecydował, że nastąpiła najodpowiedniesza chwila do zakończenia całej sprawy. Nagłym ruchem otworzył naoścież drzwi pokoju, w którym ukryta była Sagrario.

— Chodź tutaj — rzekł — i poproś ojca o przebaczenie.

Drewniana Rózga, ujrzawszy na środku komnaty klęczącą kobietę, stracił zupełnie głowę. Następnie utkwił oczy w twarzy Gabrjela, jakby pytając, co to za jedna? Była tak zmieniona, że nie poznał jej.

Sagrario jęczała: — przebacz, przebacz!

Smutny głos córki obudził wreszcie w sercu ojca tkliwe wspomnienia i bezwiedne współczucie. Wobec podobnej ruiny ludzkiej człowiek nie mógł być już dłużej bezlitosny.

— Niech się stanie! — wymówił przygnębiony — Zabierzesz ją, Gabrjelu! Niech się stanie według twej woli! Skoro tego wymagasz, niech pozostanie tutaj! Ale ja nie chcę na nią patrzeć! Ty będziesz jej dotrzymywał towarzystwa. Tym, który odejdzie, będę ja!

VI.

Turkot maszyny do szycia rozlegał się teraz od rana do wieczora w mieszkaniu Luna. Ten metaliczny odgłos łączył się obecnie z uderzeniami młotka szewca. Ta świecka praca zakłócała pobożną ciszę Górnego Klasztoru.

Kiedy Gabrjel opuszczał posłanie przed wschodem słońca, po nocy źle przespanej, po nocy męczącego kaszlu, zastawał już Sagrario w pierwszym pokoju, zajętą przygotowywaniem maszyny do pracy codziennej.

Drugiego dnia po powrocie do katedry ściągnęła pokrowiec z maszyny i z cichym spokojem oddała się pracy, mając nadzieję, że przestaną się nią zajmować, że przebaczą jej przeszłość. Stara ogrodniczka dostarczała jej roboty. Lekki szelest igły łączył się w tem starożytnem domostwie z akordami fisharmonji kierownika chóru.

Drewniana Rózga nie wyprowadził się z mieszkania, snuł się natomiast po izbach, jak cień. Udając się do katedry, lub do Górnego Klasztoru, pozostawał tam jak mógł najdłużej. Do mieszkania wracał tylko wówczas, kiedy go do tego zmuszała konieczność. W czasie obiadu opuszczał głowę, aby nie patrzeć na córkę, siedzącą na drugim końcu stołu, której w obecności ojca zawsze się na płacz zbierało. Przykre milczenie panowało przy stole. Jeden tylko Don Luis dzięki swemu roztargnieniu nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. Rozmawiał wesoło z Gabrjelem o swoich planach, pełen, jak zawsze, zapału dla muzyki. Artysta miał zwyczaj nie dziwić się niczemu, więc i powrót Sagrario pod dach rodzicielski nie był dlań niespodzianką.

Zaraz po śniadaniu Estaban wychodził śpiesznie, aby powrócić dopiero pod wieczór. Po obiedzie zamykał się w swoim pokoju, pozostawiając Gabrjela i córkę w jadalni. Sagrario puszczała maszynę w ruch, a Don Luis grał na fisharmonji, dopóki zegar nie wydzwonił dziewiątej, a Don Antolin nie przyszedł, aby zamknąć schody, wiodące na wieżę. Poruszał z hałasem pękiem kluczy.

Gabrjela oburzał zacięty upór brata.

— Zamęczasz tę małą! Ojciec nie powinien w ten sposób postępować!

— Cóż robić! Jest to ponad moje siły! Nie mogę się przemóc, aby na nią spojrzeć. Może być zadowolona, że ją wogóle chcę tutaj znosić! Ach, gdybyś wiedział jak mnie ranią ludzkie spojrzenia!

Jednakże powrót Sagrario nie wywołał na Claverias takiego skandalu, jak sądził Estaban. Energiczna postawa ciotki Tomasy nakazywała posłuch i milczenie. Pozatem te proste kobiety wobec brzydoty opuszczonej dziewczyny nie odczuwały już złośliwej zazdrości, jaką niegdyś napełniała je piękność i rzekome zaręczyny Sagrario. Nawet Mariquita, siostrzenica Rózgi Srebrnej, znajdowała satysfakcję miłości własnej, mogąc traktować z pogardliwą wyrozumiałością tę dziewczynę, która niegdyś ściągała na siebie spojrzenia wszystkich mężczyzn, odwiedzających Klasztor Górny. W przeciągu pierwszego tygodnia ciekawość zapanowała wszechwładnie na Claverias. Ale po upływie pewnego czasu kobiety przestały się zbliżać do drzwi mieszkania Luna w celu zerknięcia na pochyloną nad maszyną

Sagrario. Młoda kobieta mogła więc prowadzić w spokoju swoje pracowite życie. Gabrjel bardzo rzadko wychodził z mieszkania. Całe popołudnie spędzał w towarzystwie swej bratanicy, starając się wynagrodzić jej oziębłość ojca. Z żalem uświadomił sobie, że biedna dziewczyna żyła równie samotna i równie wzgardzona w swem ognisku domowem, jak żyła dawniej na szerokim świecie.

Czasami przychodziła w odwiedziny ciotka Tomasa. Starała się swym optymizmem dodać odwagi Sagrario. Ujęło ją zachowanie się siostrzenicy. Tak, tak, niech pracuje, niech pracuje, aby się nie stać ciężarem zawziętemu ojcu, aby dopomóc do utrzymania domu, którego brak tak boleśnie musiała odczuć w życiu. Ale nie jest to jeszcze racja, aby się miała zabijać pracą. Przedewszystkiem spokój i dobry humor! Po dniach złych przyjdą dni dobrze! Ciotka i Gabrjel będą czuwali, aby wszystko było tak, jak być winno. I ciotka Tomasa rozweselała ponurą izbę wybuchami śmiechu i konceptami jowialnej, siedemdziesięcioletniej staruszki.

Czasami znów przyjaciele Gabrjela, opuszczając norę szewca, zaglądali do mieszkania rodziny Luna. Nie mogli się obejść bez towarzystwa Gabrjela. Czuli potrzebę słuchania jego słów, pytania się go o radę. Nawet i szewc, po skończonej pracy, korzystał z chwili czasu i siadał na swym stołku obok maszyny do szycia, przesiąknięty odorem skór, z końcem fartucha założonym za pas, z głową, owiniętą chustkami.

Młoda kobieta wpatrywała się w stryja z zachwytem. Za czasów swego dzieciństwa słyszała nieraz, jak jej rodzice rozmawiali z pełną szacunku

powściągliwością o tym dziwnym krewnym, podróżującym po dalekich krajach. A teraz, kiedy był już tutaj, przedwcześnie podstarzały i chory tak, jak ona, odczuwała tajemniczy wpływ jego słów, które tym ludziom, o niezbyt lotnych umysłach, wydawały się nadziemską muzyką. Dla Sagrario jedyną przyjemnością było słuchanie jego słów, podobnie jak dla tych ludzi prostych, którzy w swej niecierpliwej żądzy dowiedzenia się czegoś nowego, zaniedbywali swoje zajęcia, aby cieszyć się obecnością mistrza. Gabrjel stał się symbolem nowoczesnego życia, które, płynąc tak długo poza katedrą, nie przeniknęło do niej nigdy — aż wreszcie weszło do świętego przybytku ku wielkiemu zdumieniu i zgorszeniu tej garstki biedaków, żyjących jeszcze ciągle życiem XIX wieku. Obecność Sagrario wywołała pewną zmianę w Gabrjelu. Zaczął się więcej udzielać ludziom, zapominając o ostrożności, która w chwili, gdy przestąpił próg katedry, stała się zasadą jego postępowania. Nie zmuszał się już do milczenia i nie próbował zatajać swych myśli. Słuchacze znaleźli w nim teraz mówcę, wykładającego im nowe zasady społeczne, budzącego ich tradycyjny światopogląd i spędzającego im w nocy sen z powiek.

Ustawicznie pytali go o coś, dyskutowali i, chcąc wyjaśnić sobie mgliste idee, radzili się Gabrjela, przyczem miarowy turkot maszyny do szycia był ciągłem akompanjamentem ich rozmów. Ludzie ci, przywykli do regularnych, spokojnych zajęć kościelnych, przerywanych długiemi odpoczynkami, podziwiali nerwową pracę młodej kobiety.

— Wyczerpujesz się moje dziecko — mówił stary organista. — Ja znam taką pracę. Robię także

coś w tym rodzaju: dmę ciągle w miech, ciągle, bez chwili odpoczynku. Gdy trafię na mszę, w której jest dużo muzyki, jedną z tych, które tak lubi Don Luis — przeklinam organy i ich wynalazcę, bo wydaje mi się, że mi ręce poodpadają.

— Ach, praca — zawołał dzwonnik z uniesieniem. — Praca — to kara Boga. Znacie jej początek. Jest to wieczna pokuta, na którą Stwórca skazał naszych rodziców, wyganiając ich z raju. Łańcuchy te musimy wiecznie ciągnąć za sobą.

— Mylisz się — wtrącił szewc. — Zgodnie z tem, co czytałem w dziennikach, praca jest największą cnotą i nagrodą. Nie mów o karze! Lenistwo jest matką występku, a praca matką uczciwości. Nieprawdaż, Don Gabrjelu?

I drobny szewczyna patrzył na mistrza, oczekując odpowiedzi, jak człowiek spragniony, który czeka na łyk wody.

— Obydwaj jesteście w błędzie — oświadczył Gabrjel. — Praca nie jest ani karą, ani nagrodą, lecz twardem prawem, któremu musimy podlegać dla utrzymania siebie i gatunku. Bez pracy życie byłoby niemożliwe.

I głosem, pełnym gorącego zapału, głosem, którym ongiś poruszał tłumy, jął opisywać zgromadzonym w izbie Estabana biedakom, wielkość powszedniej i powszechnej pracy, która każdego dnia przeorywa ziemię, aby ją w końcu pokonać i zmusić do wyżywienia ludzi.

Armja pracy rozprzestrzeniła się po całym świecie. Zaczęła ryć we wnętrzu ziemi i zgłębiać morza. Zaledwie słońce ukaże się na horyzoncie, ko-

min fabryczny wyrzuca smugę dymu, młot rozbija kamienie, pilnik wżera się w metal, pług kraje glebę, rozpalają się piece, pompy wprawiają tłoki w szybszy ruch, topory dźwięczą w lesie, lokomotywa pędzi wśród kłębów pary, winda skrzypi w portach, statek pruje fale i holuje wślad za sobą łódź rybacką, ciągnącą sieci. Robotnik-kamieniarz rozbija olbrzymie skały i, upojony zwycięstwem zapomina, że się zatruł niewidzialnemi atomami połkniętego pytu; każde uderzenie zabiera mu cząstkę życia. Górnik schodzi do piekieł nowoczesnych z jednym tylko przewodnikiem — maleńkim płomykiem lampki i wyrywa z pokładów geologicznych zwęglone drzewa, które ongiś potwornym bestjom przedhistorycznym dostarczały cienia. Zdala od słońca, na dnie ponurych studzien wyzywa śmierć, tak jak ją również wyzywa murarz, który, nie dbając o zawroty głowy, pracuje w przestworzach, stojąc na wiotkiej desce rusztowania. Ptaki patrzą ze zdumieniem na tę istotę, pozbawioną skrzydeł. Robotnik fabryczny, którego bieg postępu zmienił w niewolnika maszyny, pracuje obok niej, jako jeszcze jeden tryb więcej, jako cielesna sprężyna. Musi uważać, aby jego zmęczenie fizyczne nie poddało się muskulaturze stali, nie męczącej się nigdy. Miarowy huk tłoczni i kół zębatych ogłusza go z każdym dniem więcej, a nam dostarcza niezliczonych produktów przemysłu.

I te miljony ludzi, utrzymujących społeczeństwo przy życiu, walczących dla niego z okrutnemi, ślepemi siłami natury i znajdujących w tem codziennem poświęceniu się jedyną misję swego życia — te miljony tworzyły olbrzymią rodzinę płatnych nie-

wolników, żyjących z resztek, które im dawała mniejszość, bezlitośnie zazdrosna o swoje przywileje.

— Ta egoistyczna mniejszość — mówił Gabrjel — sfałszowała prawdę, tłumacząc tłumom wyzyskiwanym, że praca jest cnotą i że jedynem zadaniem człowieka na ziemi jest trudzić się aż do śmierci. Wyznawcy tej moralności, stworzonej przez kapitalistów, powołują się na naukę, twierdząc, że ciało dla utrzymania zdrowia powinno się oddawać nieustannej pracy i że bezczynność jest zgubna. Nie mają jednak chęci przypomnieć drugiej prawdy: że praca nadmierna daleko bardziej niszczy organizm, niż lenistwo.

Niechże sobie mówią, że praca jest smutną koniecznością, ale niech nie twierdzą, że to jest cnota!

Słudzy kościelni kiwali głowami na znak potakiwania. Słowa Gabrjela tworzyły w ich głowach gąszcz idei, podobny do tej roślinności, która pokrywa granitowe skarpy świątyni. Dotychczas znosili swój los z biernem poddaniem, byli lunatykami, żyjącymi na granicy, dzielącej inteligencję od instynktu. Nieoczekiwane słowa tego zwyciężonego bojownika wolności rzucały ich na pełne morze myśli, kazały im poomacku szukać drogi, oświetlonej nikłem dla nich światłem poglądów mistrza.

— Wy — mówił dalej Gabrjel — nie cierpicie z powodu niewolnictwa pracy do tego stopnia, jak cierpią ci, którzy pracują w wielkich ośrodkach współczesnego przemysłu. Kościół nie wymaga od was wielkich wysiłków, służba Boża nie wypacza waszych dusz, pozwala wam jednak przymierać głodem. Jest potworna nierównomierność między pra-

cą tych panów, śpiewających w stallach na chórze, a wami, którzy pracujecie rękami. Nie giniecie z wyczerpania — to prawda! Każdy miejski robotnik drwiłby z waszych, tak mało męczących zajęć. Jednakże nędza nie odstępuje was ani na krok. Dzieci w tym klasztorze są tak samo anemiczne, jak dzieci z przedmieść fabrycznych. Wiem, jak się marnie odżywiacie i ile zarabiacie. Kościół płaci, jak płacił w wiekach ubiegłych, kiedy jeszcze wiara była tak żywa. Kościół sądzi bowiem, że nie zmieniło się jeszcze nic od czasów tej epoki, gdy cała ludność oddawała się z zapałem pracy, mając nadzieję, że zasłuży sobie na nagrodę nieba. Wynagradzana miską strawy i błogosławieństwem biskupa, wznosiła w pocie czoła wspaniałe katedry i kościoły.

I podczas gdy wy, istoty z krwi i ciała, nie mając odpowiedniego pożywienia, oszukujecie żołądki swych żon i dzieci kartoflami i chlebem — tam, na dole drewniane posągi stoją pokryte złotem i perłami. Czy wam nigdy nie przychodzi do głowy myśl zapytać, gdy patrzycie na ten bezmyślny przepych, dlaczego ten martwy przedmiot, nie odczuwający żadnych potrzeb, jest tak straszliwie bogaty, podczas gdy wy żyjecie w nędzy i ciągłej potrzebie?

Słuchacze spojrzeli na siebie ze zdumieniem, jakby te słowa otworzyły im nagle oczy. Po krótkiej chwili wahania i jakby przerażenia na obliczach ich zapalił się płomień wiary.

— To prawda, święta prawda! — powiedział dzwonnik ponurym głosem.

— Tak, to prawda — powtórzył szewc, wkładając w swe słowa całą gorycz swego pracowitego żywota. Uginał się pod jarzmem codziennym wraz

z całą rodziną, która powiększała się z roku na rok i której nie był w stanie wyżywić, nie mając żadnych innych środków, prócz pracy rąk własnych. Sagrario milczała, nie zawsze rozumiejąc, co mówił stryj. Przyjmowała mimo to jednak jego słowa, jak zbawcze prawdy, ponieważ pochodziły od niego i dla uszu młodej kobiety brzmiały, jak najcudowniejsza muzyka.

Popularność Gabrjela stawała się z dnia na dzień większa. Personel katedralny rozpływał się w pochwałach nad jego mądrością. Księża spoglądali nań ciekawym wzrokiem, a kanonik - bibljotekarz, ilokrotnie go spotkał, chciał go zmusić do rozmowy. Lecz rewolucjonista zachowywał chłodną grzeczność i wielką powściągliwość wobec tych, których nazywał „czarnemi sutannami" — obawiał się bowiem ciągle, że, gdyby zrzucił maskę, wyrzuciliby go natychmiast z klasztoru. Tylko jeden z księży, spotkanych w Toledo, młody człowiek o nędznym wyglądzie i w zniszczonej sutannie, budził zaufanie Gabrjela. Jedynym jego dochodem było siedem durów miesięcznie, za które musiał wyżywić także swoją matkę, starą naiwną wieśniaczkę, która odejmowała sobie kęs chleba od ust, aby tylko zapewnić synom przyszłość i karjerę.

— Pomyśl tylko, Gabrjelu — mówił mały księżyna — ileż ofiar potrzeba było, abym teraz zarabiał mniej, niż pierwszy lepszy chłopiec z oberży. Czyż poto z taką pompą wyświęcano mnie na księdza? Czyż po to odprawiłem taką solenną mszę, jakgdyby zaślubiny z Kościołem miały mnie uczynić bogaczem?

Nędza zrobiła go niewolnikiem Don Antolina. Już w drugiej połowie każdego miesiąca zjawiał się prawie codziennie w klasztorze, aby zmiękczyć swemi prośbami Srebrną Rózgę i otrzymać od niego pożyczkę kilku pesetów. Schlebiał Mariquicie, która nie miała odwagi traktować go wyniośle.

— Nieźle się prezentuje — mówiła do kobiet, zebranych na Claverias, z tym zapałem, jaki wzbudzali w niej wszyscy mężczyźni.—Przyjemnie jest patrzeć na niego, jak chodzi z Gabrjelem i słuchać ich, gdy rozmawiają w klasztorze. Mają chód i postawę wielkich panów. Matka dała mu imię Marcin, prawdopodobnie wskutek jego podobieństwa do św. Marcina z obrazu malarza Greco.

Zaskarbienie sobie łask Don Antolina było rzeczą o wiele trudniejszą. Pożyczający musiał dokładać wiele starań, aby ugłaskać skąpca, który wpadał w gniew, gdy mu się nie oddawało zaciągniętych pożyczek. Srebrna Rózga, chcąc nadać sobie więcej powagi, narzucał swą wolę temu człowiekowi, który, jako ksiądz, był przecież mu równy. Pragnął, aby przekonali się na Claverias, że umie przewodzić nietylko motłochowi. Don Martin był dlań zwykłym sługą w sutannie, któremu kazał się zjawiać u siebie każdego popołudnia pod różnemi pretekstami. Odczuwał dziwną satysfakcję, zatrzymując go godzinami całemi przed drzwiami swego mieszkania i zmuszając go do słuchania tego, co mówi.

Gabrjel, współczujący w głębi duszy księdzu, porzucał często siostrzenicę, aby towarzyszyć mu w spacerach po galerjach klasztoru. Przyjaciele przyłączali się do nich: dzwonnik, organista i niższa służba kościelna. Perrero lub szewc zamykali

koło, którego środek stanowił Don Antolin. Ten ostatni był bardzo dumny z tak licznego towarzystwa, gdyż nie przypuszczał, aby to Don Gabrjel miał być atrakcyjną, przyciągającą siłą. Uważając jedynie Gabrjela za równego sobie, zwracał się zawsze tylko do niego, tak, jakgdyby inni obowiązani byli słuchać w milczeniu. Jeśli który z nich otworzył usta, udawał, że nie słyszy, i ciągnął dalej rozmowę z Gabrjelem.

Mariquita, stając na progu mieszkania, owinięta w pelerynę, wodziła za nimi oczyma, dumna, że wuj cieszy się takim posłuchem.

— Wuju, Gabrjelu — mówiła pieszczotliwym głosem, — wejdzcie do mieszkania. Będzie wam wygodniej rozmawiać. Nie zapominajcie przytem, że, chociaż słońce jeszcze nie zaszło, w powietrzu czuć już wilgoć. — Wuj, nie zwracając najmniejszej uwagi na słowa siostrzenicy, spacerował dalej po słonecznej stronie i mówił z zapałem o swym ulubionym temacie: teraźniejszej nędzy katedry i jej byłej potędze.

— Nie wyobrażajcie sobie, że klasztor, w którym mieszkamy, powstał poto, aby być schronem dla skromnych pracowników, jakich obecnie przygarnia. Postokroć nie! Wspaniałomyślny kościół nie wybudowałby mieszkań z wewnętrznemi podwórzami i kolumnami dla Drewnianej Rózgi, dzwonnika, zakrystjana i innych. Górny klasztor, który pierwotnie miał być równie bogaty i równie wspaniały, jak Dolny, został wzniesiony przez słynnego kardynała Cisnero (tu Don Antolin uchylił beretu) dla kanoników. Arcybiskup chciał ich poddać regule klasztornej. Lecz za dawnych czasów ci kanonicy mieli

wiele pieniędzy. Byli to wielcy panowie, którym nie uśmiechała się wcale myśl, że mają żyć w zamknięciu i odosobnieniu.

Wszyscy gremjalnie zaprotestowali. Kardynał chciał ich zmusić, aby zamieszkali w gmachu, specjalnie na ten cel postawionym. Kapituła wysłała skargę do Rzymu. Cisnero, będąc gubernatorem państwa, rozstawił straże we wszystkich portach. Kardynała-emisarjusza uwięziono w chwili, gdy wylądował w Walencji. Mimo to, panowie z kapituły po długim procesie, który zakończył się ich wygraną, zamieszkali poza klasztorem — a Claverias, tak jak je widzicie, z tym płaskim dachem i brzydką barjerą — pozostały niewykończone. Wszystko było prowizoryczne! A jednak w tym właśnie klasztorze mieszkali królowie! Wielki monarcha, Filip II, przepędził tu kilkanaście dni. Jakież to były czasy! Królowie, posiadający wspaniałe pałace, woleli przebywać w tych skromnych izdebkach, byleby tylko, mieszkając w katedrze, czuć się bliżej Boga! Jacy monarchowie — taki naród. Oto dlaczego Hiszpanja była wówczas sławnem i potężnem państwem, oto dlaczego byliśmy panami świata!

Posiadaliśmy pieniądze i potęgę. Żyliśmy szczęśliwi, wiedząc, że po śmierci pójdziemy do raju.

— To prawda — potwierdził dzwonnik. — Były to dobre czasy. Wielu z nas chwyciło za broń w górach, aby ta szczęśliwa epoka powróciła raz jeszcze. Ach, gdyby Don Carlos był zwyciężył! Gdyby nie ci zdrajcy! Czy nie mam racji, Gabrjelu? Ty, który walczyłeś w jednym szeregu ze mną, potwierdzisz chyba moje słowa?

— Cicho bądź, Mariano! — odpowiedział Ga-

brjel z pogardliwym uśmieszkiem. — Sam nie wiesz, co gadasz. Biłeś się i przelewałeś krew za sprawę, o której nie miałeś i nie masz najmniejszego pojęcia. Podczas wojny obydwaj byliśmy ślepcami. Nie rób takiej zdziwionej miny i nie staraj się przeczyć mi. Czegoś pragnął i czegoś się spodziewał, walcząc o zwycięstwo Don Carlosa?

— Ja? Pragnąłem, aby oddano każdemu to, co mu się słusznie należy. Korona należała do rodziny Don Carlosa, nieprawdaż? A więc niech mu ją oddadzą.

— I to już wszystko? — zapytał zimno Gabrjel.

— Nie, to rzecz mniejszej wagi. Przedewszystkiem chciałem, ażeby naród miał dobrego pana, władcę sprawiedliwego, doskonałego katolika, który, nie dbając o parlamenty, rządziłby nami, trzymając w jednym ręku bochenek chleba, a w drugim kij. Dla uczciwych ludzi pierwsze, dla zbrodniarzy drugie. Byłby to król, który nie pozwoliłby bogaczowi szydzić z nędzarza, któryby nie ścierpiał, aby człowiek, pragnący pracować, przymierał głodem. Zdaję mi się, że wyraziłem się dość jasno?

— I jesteś przekonany, że tak było ongiś i że twój król odrodziłby ten stan rzeczy? Wieki, które nam przedstawiają, jako wieki wielkości i dobrobytu, są najgorszym okresem naszej historji, są pierwszą przyczyną upadku Hiszpanji, źródłem zła, tak nas dzisiaj gnębiącego.

— Wstrzymaj się, Gabrjelu — przerwał Don Antolin. — Przyznać muszę, że umiesz bardzo dużo. Czytałeś i podróżowałeś znacznie więcej ode mnie. Lecz teraz muszę powstrzymać potok twej wymowy. Znasz te sprawy bardzo powierzchownie, więc

nie mogę pozwolić, abyś wprowadzał w błąd Mariana i innych. Jak śmiesz twierdzić, że ubiegłe wieki były źródłem zła, które nas gnębi? Prawdziwym winowajcą jest liberalizm, ten szatan bezreligijności, który zapanował w naszych sercach i domach. Hiszpanja, która wątpi o sile swych królów i sile katolicyzmu, jest, jak beznogi kaleka, porzucający swe szczudła i padający na ziemię. Bez tronu i bez ołtarza jesteśmy niczem. A dowodem prawdy tych słów to, co się dzieje u nas od czasu rewolucji.

Utraciliśmy już wszelkie znaczenie, odebrano nam wyspy, a Hiszpanie, najwaleczniejsi żołnierze, zostali pobici na głowę. W skarbie niema ani jednej pesety. Panowie z Madrytu głosują za coraz to nowemi podatkami. Pomimo to długi nas gubią. Czy coś podobnego było możliwe za dawnych lat? Wymień mi choćby jedną epokę!

— Widziano rzeczy bardziej hańbiące — odparł Gabrjel.

— Chyba oszalałeś, mój chłopcze! Podróże wywarły zgubny wpływ na ciebie, sądzę, że przestałeś być zupełnie Hiszpanem. Przeczysz temu, o czem wie cały świat, czego uczą w elementarnych szkółkach. Myślę, że Królowie Katoliccy [32] znaczyli coś niecoś. Aby się o tem dowiedzieć, nie trzeba się zbytnio głowić nad książkami. Wejdź tylko na chór, Gabrjelu, a zobaczysz w dolnym szeregu stall przedstawione wszystkie zwycięstwa, jakie ci pobożni monarchowie odnieśli nad Maurami, dzięki pomocy Boga. Zdobyli Grenadę i wygnali niewiernych, którzy przez sześć wieków trzymali nas w barbarzyństwie. Później nastąpiło odkrycie Ameryki. Któż był zdolny dokonać podobnego czynu? My, nikt inny, tylko my! Zacna

królowa zastawiła swoje klejnoty, byleby tylko odważny Kolumb mógł przedsięwziąć swą podróż. Oto fakty, którym chyba nie zaprzeczysz?! A cesarz Karol V? Co masz mu do zarzucenia? Czy znałeś bardziej niezwykły charakter? Zwyciężył wszystkich królów Europy, pół świata należało do niego; słońce nie zachodziło nigdy w jego państwie. Hiszpanie byli wówczas panami świata. To chyba także nie może podlegać dyskusji? A cóż można powiedzieć, o Filipie II, tym tak zręcznym i tak rozsądnym monarsze, który wszystkim obcym władcom kazał tańczyć na nutę swojej fantazji, niby marjonetkom, pociąganym za sznurek. Wszystko to dla chwały Hiszpanji i triumfu religji. Nie będę się upierał co do jego zwycięstw! Jednakże, gdyby ojciec jego zwyciężył pod Padwą, on zgniótłby nieprzyjaciół pod Saint-Quentin. A co myślisz o bitwie pod Lepanto? Na dole, w zakrystji znajdują się zachowane bandery statku, na którym płynął Don Juan Austrjacki. Czy widziałeś je, Gabrjelu? Na jednej z nich widnieje obraz ukrzyżowanego Chrystusa. Są one tak wielkie, tak wielkie, że, gdy się je zawiesza w triforium, trzeba podnosić końce, aby nie dotykały podłogi.

Wydaje mi się, Gabrjelu, że ci się musiało pomieszać w głowie, skoro starasz się przeczyć niektórym prawdom. Któż to pobił Maurów, aby nie dopuścić do zajęcia przez nich Europy i do pogrążenia wiary chrześcijańskiej? Dokonali tego Hiszpanie! Gdy Turcy mieli się już stać panami mórz, kto ich zatrzymał? — Hiszpanie pod dowództwem Don Juana. Aby odkryć nowy świat, potrzeba było okrętów hiszpańskich — do odbycia podróży naokoło świata — Hiszpanów, prowadzonych przez Magellana.

We wszystkich imprezach i przedsięwzięciach w tym wieku rozkwitu religijnego i dobrobytu my zawsze i tylko my przodujemy.

— Czyż potrzeba mówić o nauce? Wieki te wydały najznakomitszych mężów: sławnych poetów i znakomitych teologów. Nikt im jeszcze do dzisiejszego dnia nie dorównał. Najsławniejsi pisarze tych czasów nosili sukienki duchowne, aby dowieść, że religja jest źródłem wielkości.

Domyślam się już, co mi chcesz odpowiedzieć: po tych sławnych monarchach nastąpili inni, mniej godni szacunku, i zaczęła się epoka upadku. I ja wiem o tem, słyszałem bowiem, co mówi bibljotekarz katedralny i wielu innych uczonych. Ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Co do mnie, to skłonny jestem widzieć w tem wolę Opatrzności, która poddaje próbom nie tylko oddzielne jednostki, ale i całe narody, która poniża je, aby je znów wywyższyć, skoro tylko wejdą z powrotem na dobrą drogę. Zresztą, jeśli był upadek, zapomnijmy o nim jak najprędzej. Żałujmy, że już minęła ta przeszłość, pełna triumfu, świetna epoka Królów Katolickich: Karola V i dwóch Filipów, i śnijmy o niej, życząc Hiszpanji powrotu tych dobrych czasów.

— Pomimo to, prawdą jest, Don Antolinie — podjął ze spokojem Gabrjel — że wieki, o których mówisz, są erą upadku Hiszpanji i że one to przygotowały naszą ruinę. Nie dziwi mnie, że się oburzasz na mnie; powtarzasz tylko to, czego cię nauczono. Wykształceńsi od ciebie niemniej się irytują, gdy tylko ktokolwiek dotknie „złotego wieku". Oto skutki wykształcenia, jakie się odbiera w Hiszpanji. Fałszuje się u nas historję tak, że lepiejby

było nie znać jej wcale. Przeszłość Hiszpanji przedstawiają nam w szkołach według metody dzikusów, którzy sądzą o danym przedmiocie według jego blasku, a nie według jego wartości.

Tak, Hiszpanja była wielka i mogła się stać pierwszym narodem świata dzięki tym pozytywnym zaletom, których nie mogły zniszczyć hazardy wojen, ani polityka. Miało to jednak miejsce w wiekach średnich, a więc przed tą epoką, którą tak chwalisz. Można było wtedy żywić wiele nadziei, które po konsolidacji jedności narodowej nie zrealizowały się jednak. Nasze średnie wieki wydały ludność wykształconą, światlejszą od każdego innego narodu. Nagromadzono materjał, potrzebny do zbudowania wielkiej nacji. Niestety, obcy architekci stawiali ten gmach, którego przepych podziwiacie w pierwszym okresie jego rozkwitu, gmach, po którym zostały już dziś tylko ruiny.

W ferworze dyskusji zapomniał Gabrjel o zwykłej sobie ostrożności. Srebrna Rózga, przypominający inkwizytora, bynajmniej go nie onieśmielał, przeciwnie, Gabrjel chciał go gwałtem przekonać. Mówił przeto otwarcie, nie ukrywając niczego. Don Antolin słuchał go ze zdumieniem, przeszywając go zimnym wzrokiem. Inni słuchali go z uczuciem pewnego zażenowania, które odczuwali wobec tego dowodu bezbożności, tu w tym świętym przybytku Hiszpanji.

Don Martin, jałmużnik z żeńskiego klasztoru, stojąc za plecami swego skąpego protektora, zdradzał oczyma, że sympatyzuje gorąco z poglądami rewolucjonisty.

Gabrjel charakteryzował ten naród rzymsko-

hiszpański, który wytrzymał inwazję Gotów. Zwycięzcy zarazili się wadami i występkami zwyciężonego imperjum rzymskiego. Stracili swoją dzielność i swoją siłę, a umysły ich stępiły się w ciągłych dysputach teologicznych i w intrygach dyplomatycznych, przypominających Bizancjum. W Hiszpanji odrodzenie nie dokonało się dzięki najściu barbarzyńskich hord północy. Kraj nasz zawdzięcza to odrodzenie zwycięskim Arabom, którzy wtargnęli na półwysep od strony południa. Zwyciężyli Rodryka i jego znikczemniałą arystokrację, aczkolwiek była ich tylko nieliczna garstka. Wszystko to kłamstwo, że instynkt narodowości chrześcijańskiej zwrócił się przeciw zdobywcom, że energja duszy hiszpańskiej obudziła się wówczas tam, na skałach Covandonga.

W istocie rzeczy ówczesna Hiszpanja przyjaźnie przyjęła przybyszów z Afryki. Miasta poddały się im bez najmniejszego oporu, jeden oddział kawalerji arabskiej wystarczył, aby otwierano przed nim bramy grodów. Był to raczej pochód cywilizacyjny, niż podbój.

I w ten sposób zaczął się okres immigracji przez cieśninę Gibraltaru. Stąd szła ku nam ta młoda, potężna, żywotna kultura o niesłychanie szybkim postępie, cywilizacja, stworzona przez religijny entuzjazm proroka, przyswajająca sobie wszystko najlepsze z judaizmu i bizantynizmu. Niosła ona ze sobą wielkie tradycje Hindusów, święte nauki Persów i wiele rzeczy, zapożyczonych od tajemniczych Chin. Był to Wschód, wkraczający zwycięsko do Europy, nie jak za czasów Darjusza i Kserksesa przez Grecję, która, pragnąc ocalić swoją niepodległość, odepchnęła go, lecz przez drugi kraniec naszego kontynentu —

przez Hiszpanję, niewolnicę królów-teologów i wojowniczych dostojników kościoła, która z otwartemi ramionami przyjmowała najeźdźców. W przeciągu dwóch lat zajęli prowincje, do odebrania których potrzeba było później siedmiu wieków. Nie była to zbrojna inwazja, ale raczej narodziny nowego społeczeństwa, zapuszczającego wszędzie swoje mocne korzenie. Wolność sumienia, ten węgielny kamień prawdziwej wielkości narodów — była ich główną zasadą. W miastach, które przeszły pod ich władzę, obok kościoła chrześcijańskiego wznosiła się bóżnica żydowska. Meczet nie wchodził w drogę innym świątyniom, znajdującym się w kraju — szanował je, nie okazując zazdrości, ani chęci despotycznego panowania. Między VIII a XV wiekiem powstaje i rozwija się najpiękniejsza i najpotężniejsza cywilizacja wśród wszystkich cywilizacyj wieków średnich. Podczas kiedy narody północne, zdziesiątkowane przez wojny religijne, zmieniły się w jakieś barbarzyńskie hordy, ludność Hiszpanji wzrosła do trzydziestu miljonów. W tej masie ludzkiej mieszały się z sobą wszystkie rasy i wszystkie wierzenia o nieskończonej różnorodności. Powstał ruch społeczny, przypominający nieco dzisiejszy ruch w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Chrześcijanie, Muzułmanie, Arabowie, Syryjczycy, Egipcjanie, Maurytanie, Żydzi hiszpańscy i Żydzi greccy żyli w przykładnej zgodzie obok siebie. Z tego skrzyżowania i mieszaniny powstali później *Mozarabowie, Mudejeras, Maladies i Hebraizantes* [33].

W płodnym związku narodów i ras istniały w zarodku wszystkie wspólne idee i wspólne obyczaje, wszystkie rodzaje sztuk i nauk, wszystkie rzemiosła;

ze zderzenia się z sobą tych elementów zrodziła się nowa energja twórcza. Jedwab, bawełna, papier, cytryny, pomarańcze, granaty, cukier przybywały wraz z cudzoziemcami ze Wschodu, również jak i dywany, materje jedwabne, tiule, damasceńska stal i proch. Im także zawdzięczamy system dziesiętny w arytmetyce, algebrę, chemję, medycynę, kosmologję i poezję rymowaną. Filozofowie greccy, bliscy już zupełnego zapomnienia, znaleźli swe odrodzenie, towarzysząc Arabom w ich zwycięskich podbojach. Arystoteles zapanował wszechwładnie w sławnym uniwersytecie w Kordobie. Wśród Arabów hiszpańskich zrodził się ten zmysł rycerski, ten duch, który przyswoili sobie później ludzie oręża z północy — jakby był on cechą i właściwością narodów chrześcijańskich.

Podczas gdy w barbarzyńskiej Europie Frankowie, Anglo-Normanowie i Germanie gnieździli się w nędznych lepiankach, gdy królowie ich i baronowie czuwali w ponurych fortecach, wzniesionych na szczytach skał, zjadani za żywa przez robactwo i jedzący, jak ludzie przedhistoryczni — Arabowie hiszpańscy budowali przecudne Alcazary i, niby wytworni obywatele starożytnego Rzymu, zbierali się w łaźniach, aby dyskutować o sprawach literatury i wiedzy. Gdy mnich z północy odczuł głód wiedzy, udawał się do uniwersytetów arabskich lub synagog żydowskich Hiszpanji, a królowie chrześcijańscy uważali się zgóry za uzdrowionych, jeśli za złoto byli w stanie zapewnić sobie pomoc lekarza hiszpańskiego.

Nieco później, gdy autochtoni odseparowali się nieco od przybyszów, powstały małe narodowości

chrześcijańskie. Arabowie i dawni Hiszpanie, jeżeli wogóle możliwe jest rozgraniczenie ras po takiem zmieszaniu się krwi, zaczęli toczyć walki rycerskie, okazując sobie jednakże wzajemny szacunek, zawierając na długie lata rozejmy, tak, jakby chcieli opóźnić chwilę ostatecznej separacji. Rząd obywatelskiej swobody i wolności panował wówczas w chrześcijańskich stanach Hiszpanji, która o wiele wcześniej stworzyła swój parlament, niż inne kraje Europy. Miasta hiszpańskie cieszyły się samorządem, same prowadziły swój budżet, radząc się króla, jedynie jako militarnego wodza. Te miasta były małemi republikami, rządzonemi przez wybieralnych urzędników. Milicja była ideałem armji demokratycznej. Duch Kościoła chrześcijańskiego, zbratawszy się z duchem narodu, żył w zgodzie z różnemi religjami, wyznawanemi w kraju. Inteligentne mieszczaństwo stworzyło potężny przemysł, zbudowało w portach najpotężniejszą flotę tej epoki. Wyroby hiszpańskie były najbardziej cenione we wszystkich portach Europy. Mieliśmy miasta tak zaludnione, jak dzisiejsze, nowoczesne stolice. Olbrzymie fabryki tkanin stanowiły jakby całe grody; na całym półwyspie uprawiano ziemię.

Epoka Królów Katolickich nastąpiła wówczas, gdy siły narodu doszły do swego szczytu. Jeśli okres ich panowania nazywa się „wielkim", to tylko dlatego, że siła energji, nagromadzonej przez wieki średnie, dotrwała aż do tych czasów. Jednakże okres ten równie dobrze możnaby nazwać „przeklętym", ponieważ polityka sprowadziła Hiszpanję z dobrej drogi, popchnęła ją na tory fanatyzmu religijnego i zaszczepiła ambicję panowania nad światem.

Hiszpanja wyprzedziła wówczas resztę Europy na dwa lub trzy wieki i była dla świata tem, czem dzisiaj jest Anglja. I gdyby, miast przyjmować udział w awanturniczych wyprawach wojennych, uprawiała nadal politykę tolerancji religijnej, politykę jednoczenia ras, poprzestała na pokojowej pracy przemysłowej i rolniczej, dokąd byśmy dziś zaszli?

Odrodzenie było ruchem raczej hiszpańskim, niż włoskim. Prawda, że we Włoszech zmartwychwstała literatura starożytna i sztuka greko-rzymska, lecz odrodzenie nie ograniczało się do sztuki i literatury. Powołało ono do życia nowe społeczeństwo z jego obyczajami, przemysłem, armją ect. Któż to uczynił, jeśli nie ta Hiszpanja Arabów, Żydów i Chrześcijan? Wielki Kapitan [34] pokazał światu, co to jest nowożytna strategja. Pedro Navarro był nieporównanym inżynierem. Wojska hiszpańskie zaczęły się pierwsze posługiwać bronią palną. Użytek tej broni dał początek piechocie, przez co zdemokratyzowała się wojna.

Hiszpanja odkryła Amerykę...

— I wszystko to jest dla ciebie niczem? — przerwał Don Antolin. — Czyż nie potwierdzasz moich słów? Nigdy Hiszpanja nie była tak wielka i tak potężna, jak w epoce tych królów, którym nienadarmo dano nazwę „katolickich".

— Zgadzam się z tobą, że była to najświetniejsza epoka naszej historji, ostatnia epoka, naprawdę pełna chwały, najjaśniejszy promień, który, gasnąc, rzuciła Hiszpanja.

Ale już w tym czasie, jeszcze przed śmiercią Królów Katolickich, młody i potężny organizm tego na-

rodu dotknęła choroba, organizm, w łonie którego łączyli się Arabowie, Żydzi i chrześcijanie. Masz rację, Don Antolinie, niedarmo nazwano tych królów „katolickimi". Izabelli w jej kobiecym fanatyzmie spieszno było zaprowadzić Inkwizycję.

Zgasło światło wiedzy w meczecie i synagodze; księgi rzucone zostały w zapomniany kąt klasztoru chrześcijańskiego. Nadeszła godzina modlitwy, zamiast godziny nauki. Myśl Hiszpanów usuwa się w cień, drży z zimna i samotności, wreszcie umiera. Odtąd nauka staje się drogą, prowadzącą na stos.

Wkrótce później nastąpiła nowa klęska i hańba — wygnanie z Hiszpanji Żydów, tak nawskroś przejętych duchem naszego kraju, tak miłujących naszą ziemię, że jeszcze dziś Żydzi ci, rozpierzchnięci po brzegach Dunaju i Bosforu, opłakują w starym, kastylijskim języku utraconą ojczyznę:

„Perdimos la bella Sión,
Perdimos también España
Nido de consolación". [35]

Naród, który dał nauce Majmonidesa, który podtrzymywał przemysł i handel Hiszpanji, musiał opuścić królestwo. Hiszpanja, złudzona faktem swej cudownej żywotności, wyobraziła sobie, że nie odczuje z tego powodu najmniejszej straty... i otworzyła sobie żyły, byle tylko zadowolić rodzący się fanatyzm.

Nastąpiło to, co autor nowożytny nazwałby wprowadzeniem obcego ustroju do naszego organizmu narodowego. Austrja zapanowała u nas, a kraj, straciwszy swój narodowy charakter, umierać zaczął powoli.

— Gabrjelu — zaprotestował stary ksiądz — to, co mówisz, jest absurdem. Prawdziwa Hiszpanja zaczęła się od epoki króla-cesarza i zyskała pełnię rozwoju i chwały za Filipa II. Jest to prawdziwa Hiszpanja, która powinna służyć nam za przykład i wzór do naśladowania.

— Nie, prawdziwą Hiszpanją Hiszpanów, bez domieszki obcych wpływów, była ta Hiszpanja, w której chrześcijanie łączyli się z Maurami i z Żydami, w której panowała swoboda wyznania, gdzie rozwijał się przemysł i rolnictwo, gdzie zaprowadzono wolne gminy miejskie. Ta Hiszpanja zginęła bezpowrotnie. Miejsce jej zajęła Hiszpanja teutońska, krzyżacka, flamandzka, prawdziwa kolonja Niemiec, zaciągnięta, jak najemny żołdak, pod cudzoziemskie sztandary, wyczerpująca swe siły w imprezach i hazardach, pozbawionych dla niej jakiegokolwiek interesu, rozlewająca krew i marnotrawiąca złoto dla sprawy świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Zdaję sobie sprawę, że cesarz mógł wywierać urok na ludzi, uwielbiających przeszłość. Karol V był wielkim człowiekiem! Waleczny rycerz, zręczny polityk, człowiek wesoło używający życia, niby pierwszy lepszy stołeczny galant! Lubił pić i uganiać się za kobietami! Nie było w nim jednak nic z Hiszpana. Dziedzictwo po matce cenił tylko, jako źródło dochodów. Od tego czasu Hiszpanja stała się sługą germanizmu. Gotowa była na każde zawołanie powoływać swych ludzi pod broń, pokrywać pożyczki i płacić podatki.

W niespełna sto lat północ pochłonęła całkowicie bujne życie, jakie w ciągu wieków zaszczepiła na naszej ziemi kultura hiszpańsko-arabska. Zginął

samorząd miejski, a ci, którzy chcieli go bronić, złożyli głowy na rusztowaniach w Kastylji i Walencji. Hiszpan porzucił pług i warsztat tkacki, by z bronią w ręku przebiegać świat cały. Milicję gminną zmieniono w pułki i kazano jej bić się w całej Europie niewiadomo w imię czego i dla kogo? Miasta przemysłowe stały się powoli wsiami, kościoły przemieniono na klasztory. Tolerancyjny i popularny ksiądz zamienił się w mnicha, który ze służebniczą skrupulatnością naśladował fanatyzm germański. Ziemia leżała odłogiem, gdyż nie miał jej kto uprawiać. Pracowite mieszczaństwo, porzucając handel, jako zajęcie hańbiące, godne jedynie heretyków, zamieniło się w urzędniczą biurokrację. Najemne wojska Hiszpanji, niezwyciężone i okryte chwałą, obdarte i głodne, zaczęły buntować się przeciwko swojej władzy i zarażać kraj niebezpieczeństwem *hampa*[36]. Jest to zbieranina zawadjaków, żebraków uzbrojonych w broń palną, złodziei, grasujących na gościńcach, zgłodniałych hidalgów, włóczęgów, kwestarzy i różnych innych osobistości, opisywanych później w romansach historycznych.

Przyznaję, że Karol V i jego syn byli wielkimi ludźmi, ale zabili oni ducha Hiszpanji. Ci dwaj Niemcy ukradli nam nietylko naszą narodowość; ograbili nas nadto z ducha religijnego, który przez ciągłe stykanie się z mahometanizmem i judaizmem nabrał tolerancji. Po tolerancji dawnego Kościoła hiszpańskiego, gdy ksiądz żył w zgodzie z *alfaguim* i rabinem, gdy nakładano kary moralne na tych, którzy występowali przeciwko religji niewiernych, nastąpił fanatyzm religijny. Historycy cudzoziemscy uważają, że był on wytworem naszego kraju. To

nieprawda! Fanatyzm ten zaszczepił wśród nas cezaryzm germański. Mnich niemiecki, którego brutalna dewocja i szał teologiczny wywołały reformę w krajach północy, skąd go wkońcu wygnano, schronił się do nas, znajdując tu dobrze przygotowany grunt. Ten obcy siew wydał u nas wkrótce olbrzymi las, las Inkwizycji i fanatyzmu, trwającego aż do dziś dnia. Nowożytni drwale przystąpili do karczowania i wycinania tego lasu, jednakże jest ich niewielu, dlatego też upadają pod brzemieniem trudu. Ramię człowieka okazało się za słabe, aby zwalić czterowiekowe pnie. Tylko ogień, wspaniały, rozpętany żywioł mógłby zniszczyć tę przeklętą roślinność.

Don Antolin otworzył szeroko osłupiałe oczy. Nie oburzał się już. Słowa Gabrjela przygnębiły go.

— Och, moje dziecko, jesteś bardziej cyniczny, niż przypuszczałem. Pomyśl o tem lepiej, w jakiem miejscu się znajdujesz, i uważaj na to, co mówisz. Jesteśmy w prymasowskim kościele Hiszpanji.

Przerażenie księdza jeszcze bardziej podnieciło Gabrjela. Ciągnął dalej:

— Filip II był Niemcem z krwi i kości. Jego milcząca powaga, jego przenikliwa inteligencja nie miały w sobie nic hiszpańskiego; wywodziły się z Flandrji. Obojętność, z jaką przyjmował największe klęski, spadające na kraj, była obojętnością cudzoziemca, którego nic nie wiązało z tą ziemią. „Wolę panować nad trupami, niż nad heretykami" — mawiał. I istotnie Hiszpanie byli wówczas trupami, ponieważ skazano ich na bezmyślność, czy też na skrzętne ukrywanie swoich myśli. Zanikły wszystkie dawne zajęcia i fachy. Poza służeniem kościoło-

wi otwierała się tylko jedna jedyna droga, a drogą tą był wyjazd do Ameryki. Ameryka, zgoła narodowi niepotrzebna, stała się szkatułą, z której tylko król mógł czerpać dowoli. Zaciągano się także do wojska, aby walczyć o odbudowę świętego cesarstwa niemieckiego, o zwycięstwo władzy papieskiej nad władzą imperatora i wytępienie protestantyzmu — a więc o sprawy, nie dotyczące wcale Hiszpanji. Zbrakło rzemieślników, wcielonych do szeregów tej czy innej armji; miasta zapełniły się inwalidami i weteranami, którzy ukazywali swoje zardzewiałe pałasze — jedyne dowody zasług osobistych.

Klasa średnia zanikła. Pozostała tylko szlachta, dumna, że może służyć królom i pospólstwo, które, jak niegdyś w Rzymie, pragnęło tylko chleba i widowisk. Zadowalniało się zupą, rozdawaną po klasztorach i auto da fé, urządzanem przez Inkwizycję.

W końcu nastąpiła kompletna ruina. Po wielkich cezarach, którzy tyle szkody wyrządzili Hiszpanji, przyszli mali cezarowie. Fanatyczny Filip III, chcąc okazać krajowi swoją monarszą łaskę, wygnał *Moriscos* [37]. Zwyrodniały Filip IV pisał wiersze i zalecał się do zakonnic. Podczas panowania zbrodniczego Karola II Kościół stał się panem wszystkiego. Trybunały duchowne miały prawo sądzić nawet królów, lecz sprawiedliwość nie śmiała dotknąć ostatniego z zakrystjanów, nawet gdyby był popełnił największą zbrodnię.

Hiszpanja miała wówczas jedenaście tysięcy klasztorów. W klasztorach tych żyło przeszło sto tysięcy mnichów i czternaście tysięcy mniszek. Do cyfry tej należy dodać jeszcze sto sześćdziesiąt tysięcy księży i niezliczone mrowie służby kościelnej:

urzędników Inkwizycji, dozorców więziennych, oprawców, pisarzy świętego trybunału, zakrystjanów, marszałków, *buleros,* kwestarzy, pustelników, dzieci chóru, śpiewaków, braciszków, nowicjuszów i innych. Zato ludność w niespełna dwieście lat spadła z trzydziestu do siedmiu miljonów. To gwałtowne wyludnienie zostało wywołane przez wygnanie Żydów i Moriscos, przez strach przed Inkwizycją, przez ciągłe wojny, toczone nazewnątrz kraju, przez emigrację do Ameryki w nadziei zbogacenia się bez pracy, przez głód, brak higjeny i opuszczenie wsi. Śliczne czasy, nieprawdaż, Don Antolinie?

Srebrna Rózga słuchał słów Gabrjela z roztargnieniem. Wyrobił sobie już o Gabrjelu dostateczne pojęcie, więc też nie przywiązywał obecnie wagi do jego argumentów.

— Gdyby te czasy były nawet najgorsze — odpowiedział wolno — nie mogły być jednak gorsze, niż obecne. Przynajmniej nikt wówczas nie okradał Kościoła. Każdy, pocieszając się myślą o niebie, zadowalniał się na ziemi tem, co miał. Oddawano cześć Bogu. Ale może ty nie wierzysz w Boga?

Gabrjel pozostawił pytanie bez odpowiedzi i ciągnął dalej:

— Podczas gdy u nas panowała epoka zastoju i barbarzyństwa, Europa szła naprzód w swoim rozwoju. Nasz naród, przodujący ongiś wszystkim narodom cywilizowanym, pozostał daleko w tyle. Królowie, ogłupieni fałszywą dumą narodową, zarażeni dziedzicznem dążeniem cesarzów germańskich, zapragnęli narzucić swą władzę całej Europie. Potęgą ich było siedem miljonów poddanych i kilka nędznie płatnych i nędznie żywionych pułków. Złoto ame-

rykańskie napełniło kieszenie Holendrów, a my w tych wyprawach, godnych Don Quijota, braliśmy cięgi za cięgami. Hiszpanja stawała się coraz bardziej katolicka, coraz biedniejsza i coraz bardziej nieokrzesana i barbarzyńska. Śniła o podboju świata, a miała u siebie olbrzymie wyludnione przestrzenie. Wielka ilość wiosek znikła z powierzchni ziemi, drogi zatarły się. Nikt nie znał dobrze geografji swego kraju, wiedziano natomiast dokładnie, gdzie leży czyściec i piekło. W najurodzajniejszych okolicach wznosiły się nie fermy, lecz opactwa. Na skraju dróg czatowały bandy rozbójników, którzy na wypadek pogoni znajdowali bezpieczne schronienie w klasztorach. Ciemnota była niesłychana, nędza — straszna. Kiedy skończyło się panowanie Austrjaków, Hiszpanja była tak doszczętnie zrujnowana, tak bezsilna, tak bliska podziału między mocarstwa Europy, jak drugie katolickie państwo — Polska. Niezgoda i waśnie królów okazały się naszem zbawieniem.

— Ale — upierał się Srebrna Rózga — jeżeli ta epoka była naprawdę tak straszna, dlaczego się nikt przeciwko niej nie buntował? Dlaczego Hiszpanie nie robili *pronunciamentos,* ani ruchawek, jak dzisiaj?

— A w jakiż sposób mieli je robić? Despotyzm dwóch cesarzów nakazał bezwzględne posłuszeństwo królowi, jako przedstawicielowi Boga na ziemi. Duchowieństwo utwierdzało naród w tem przekonaniu, ponieważ interesy ołtarza i tronu były identyczne. Religja dla ludzi ówczesnych była wszystkiem. Myśląc nieustannie o niebie, godzili się bez szemrania na nędzę ziemską. Zbytnia gorliwość religijna

niemało przyczyniła się do naszego upadku, a nawet o mało co nie zabiła naszej narodowości. Dzisiaj jeszcze odczuwamy boleśnie następstwa tej choroby, która trwała przez wieki całe. Do kogóż, czy czegoż należało się uciec, aby ocalić kraj od śmierci? Zwrócono się do cudzoziemca. Nastała epoka Bourbonów. Nie mieliśmy już nawet swego wojska. Podczas wojny sukcesyjnej Francuzi i Anglicy byli generałami i oficerami; żaden Hiszpan nie umiał nastawić armaty, ani podjąć się dowództwa. Zabrakło odpowiednich kandydatów na ministrów; za czasów Filipa IV i Ferdynanda VI rządzili sami cudzoziemcy. Cudzoziemcy również dźwignęli przemysł z upadku, uprawili ziemię, leżącą odłogiem, odnowili starożytne kanały nawadniające, założyli nowe osady na pustyniach, nawiedzanych jedynie przez bandytów i dzikie zwierzęta. Hiszpanja, która skolonizowała pół świata, sama z kolei została skolonizowana przez europejczyków.

Jedno lekarstwo mogło uzdrowić choroby narodowe, a lekarstwem tem był antiklerykalizm. Ducha antiklerykalnego wnieśli do Hiszpanji także cudzoziemcy. Filip V pragnął znieść Inkwizycję i zakończyć wojnę morską, prowadzoną z muzułmanami, wojnę, która, trwając przez tysiące lat, wyludniła zupełnie brzegi morza Śródziemnego. Lecz mieszkańcy kraju oparli się wszystkim reformom kolonizatorów. Bourbon, widząc, że jego korona jest w niebezpieczeństwie, musiał zrezygnować ze swych zamiarów. Spadkobiercy jego, czując, że wrośli głębiej w grunt miejscowy, ośmielili się prowadzić dalej jego dzieło. Karol III, rozpocząwszy dzieło cywilizacji, uważał za konieczne, ograniczyć przywile-

je i dochody Kościoła. Król ów postanowił troszczyć się bardziej o rzeczy ziemskie, niż niebieskie. Lecz wówczas nastąpiło to, co następuje i obecnie, ilokrotnie rząd chce się wtrącić do interesów duchowieństwa. Biskupi zaprotestowali, skarżąc się w swych listach na prześladowania, jakie ponosi biedny Kościół, wyzuty z dóbr, znieważony w osobie swych przedstawicieli, pogwałcony w swych przywilejach i prawach. Mimo to, kraj się obudził, ciesząc się przez czas pewien z okresu rozkwitu, zanim nie nastąpiła nowa reakcja.

Europą rządzili wówczas królowie-filozofowie, a jednym z nich był Don Carlos III. Echa rewolucji angielskiej drżały jeszcze w powietrzu. Monarchowie pragnęli obudzić w poddanych nie uczucie strachu, lecz uczucie miłości. Walczyli z ciemnotą mas, zaprowadzając reformy siłą.

Niestety, wielką wadą i przekleństwem systemu monarchistycznego jest dziedziczność korony. Człowiek rozumny o dobrych chęciach może mieć syna idjotę i błazna. Po Karolu III wstąpił na tron Karol IV. W roku śmierci Karola III wybuchła rewolucja francuska. Zuchwałość jej przyprawiła o szaleństwo wszystkich królów Europy. Hiszpańscy Bourboni stracili głowę i nigdy już jej później nie mogli odnaleźć. Wobec demagogicznego niebezpieczeństwa zaczęli znów szukać ratunku pod skrzydłami Kościoła. Jezuici, zakonnicy i biskupi stali się doradcami w pałacu.

Mieliśmy rewolucje fałszywe, które obalały ludzi, nie idee. Uczyniliśmy coprawda pewien postęp, ale były to raczej skoki, niż kroki. Szliśmy, jak człowiek, posuwający się naprzód z obawą, który za lada

szmerem rzuca się instynktownie wtył, i powraca tam, skąd wyszedł. Nasze przeobrażenia były raczej zewnętrzne, niż wewnętrzne. Dotychczas mamy jeszcze tę samą duszę, duszę XVI wieku. Niedarmo przez trzy wieki byliśmy niewolnikami Kościoła. Hiszpanie, kiedy zrobią już rewolucję, zerwą się do buntu, zatrzymają się zawsze na progu świątyni. Dlatego też możesz być spokojny o swój kościół prymasowski, Don Antolinie. Czyżby Hiszpanie byli tak pobożni i tak wierzący, jak niegdyś? — zapytasz. Wiesz jednak dobrze, że nie, i masz rację, twierdząc, że dawna chwała Kościoła już nikogo nie obchodzi.

— To prawda — odrzekł Srebrna Rózga. — Wiara zniknęła, nikt nie jest zdolny ponieść ofiary dla dobra Kościoła. Jedynie w godzinie śmierci, kiedy strach się zjawi, niektórzy zaczynają myśleć, jakby nam dopomóc.

— Wiary niema już na świecie. Hiszpan od czasu, gdy zapadł na chorobę religijną, na którą o mało co nie umarł, żyje w całkowitej obojętności. Wypływa ona nietyle z przekonań filozoficznych, ile z lenistwa umysłowego. Hiszpan wie z całą pewnością, że pójdzie do piekła, albo do nieba; wierzy w to, gdyż tak go nauczono i przechodzi przez życie, nie czyniąc żadnego wysiłku, aby zapewnić sobie pobyt w tem, czy innem miejscu po śmierci. Jest człowiekiem, który wypełnia praktyki religijne, lecz wypełnia je z tępą bezmyślnością. Nie jest bezwyznaniowcem, ani wierzącym; przyjmuje to, co jest powszechnie przyjęte, i żyje w jakimś somnambuliźmie umysłowym. Jeżeli przypadkiem przez umysł jego przejdzie błyskawica krytycznego uświadomienia, wrodzone tchórzostwo gasi ją natych-

miast. Inkwizycja ciągle jeszcze istnieje w Hiszpanji. Przestaliśmy się bać stosu, ale boimy się tego, co o nas powiedzą. Nowożytny trybunał inkwizycyjny — to społeczeństwo, zawsze wrogie wszystkiemu, co jest nowe. Z chwilą, kiedy jednostka opuści wydeptaną, ubitą drogę, kiedy odejdzie od pospolitej przeciętności, zaczyna ją ścigać gniew gromady. Jeśli odszczepieniec jest biedny, skażą go na głód, odbierając środki utrzymania. Jeżeli jest niezależny, izoluje się go od społeczeństwa, co jest pewnego rodzaju paleniem in effigie. Należy za wszelką cenę sprawować się przykładnie, szanować to, co uświęcił zwyczaj. To przykazanie jest tak powszechnie przyjęte, że między nami nie może zrodzić się żadna nowa idea, żadna myśl wolna. Nawet uczeni zachowują dla siebie wyniki swych badań, w życiu codziennem zaś poddają się tym samym przesądom, co wszyscy głupcy. Praca rewolucyjna nie wyda u nas żadnego owocu, dopóki będzie trwać podobny stan rzeczy. W istocie, chociaż naród stracił wiarę, charakter jego nie zmienił się wcale. Wiara umarła, lecz jej trup leży na drodze. Tak, Don Antolinie. Kościół jest biedny i opuszczony, gdy go się porównuje z Kościołem w ubiegłych wiekach, ale niema się czego obawiać. Położenie jego już się nie pogorszy. Dopóki ludzie będą się obawiali sądu innych, dopóki będzie ich drażniła każda nowa idea, dopóki drżeć będą przed tem, co powie, lub pomyśli sąsiad, czy kum, można drwić z wszystkich rewolucyj. Woda występuje z brzegów, to prawda, lecz potop nie grozi nikomu.

Don Antolin roześmiał się.

— Nie rozumiem cię zupełnie, kochany Gabrjelu! Oburzałem się przed chwilą na ciebie, sądząc, że pragniesz wybuchu rewolucji, któraby nam zabrała wszystko, co jeszcze pozostało, że myślisz o tej żebraczce, republice i o ograniczeniu naszego budżetu. Ale widzę, że przeszedłeś sam siebie. Ciebie nic już zadowolić nie może. Nie jesteś wrogiem niebezpiecznym, gdyż idziesz zbyt daleko. Powiedz jednak szczerze, czy Hiszpanja wydaje ci się dzisiaj równie dziką i barbarzyńską, jaką była w tych epokach, które po swojemu opisujesz? Co się mnie tyczy, to słyszałem nieraz o postępie w naszym kraju, o kolejach żelaznych i o fabrykach, których kominy, przypominające dzwonnice, radują serca różnych niedowiarków.

— Ba — odparł Gabrjel z wyrazem bezgranicznej wzgardy — naturalnie, że jest pewien postęp. Rewolucje polityczne zbliżyły Hiszpanję do Europy; wir chwycił nas i porwał, jak porwał także narody azjatyckie. Ale my idziemy z biegiem wód leniwie, idziemy bez inicjatywy, nie dzięki własnej żywotności, lecz dzięki sile prądu. Tymczasem inne narody płyną i wyprzedzają nas ustawicznie.

Czem przyczyniliśmy się do postępu? Nasze drogi żelazne, nieliczne, mające niewystarczającą obsługę, zbudowali cudzoziemcy, którzy są też ich właścicielami. Trawa dalej porasta między szynami, co dowodzi, że tkwimy w tej samej bierności i kwietyźmie, jak za czasów, kiedy znaliśmy tylko wozy i dyliżanse. Najważniejsza gałęź przemysłu, kopalnie, są w rękach cudzoziemców, a przynajmniej cudzoziemcy rządzą niemi, dzięki swym kapitałom. Wytwórczość krajowa wegetuje w cieniu protekcjonizmu, który wywołuje drożyznę artykułów. Brak

kapitału daje się ogólnie we znaki. Po wsiach zakopują podawnemu garnki, napełnione srebrem. W miastach, jak ongiś, sroży się lichwa. Najśmielsi odważają się kupować papiery publiczne; rząd zaś rabuje w dalszym ciągu dochody państwa, pewien, że znajdzie zawsze chętnych wierzycieli. Pyszni się też z tego kredytu, uważając go za dowód dobrobytu narodowego.

Hiszpanja posiada dwa miljony hektarów ziemi nieuprawnej, dwadzieścia sześć miljonów nieużytków, a tylko miljon hektarów ziemi nawodnionej. Troska o uprawę ziemi jałowej objawia się ciągle jeszcze w fanatyzmie, który sądzi, że więcej skutków odniesie modlitwa do nieba o deszcz, niż wszystkie wysiłki ludzkie. Rzeki płyną do morza przez wsie, spalone suszą, a zimą, kiedy wystąpią z brzegów, nie użyźniają ziemi, lecz grożą jej zalewem. Mamy poddostatkiem kamieni na budowę kościołów i klasztorów, nie mamy ich tylko na wznoszenie rezerwuarów, tam i grobli. Wznosi się dzwonnice, a wycina drzewa, sprowadzające deszcz.

W rolnictwie znacznie gorszą jeszcze rzeczą, niż brak wody, jest nieumiejętność i rutyna. Rolnicy patrzą z niedowierzaniem na każdy wynalazek. „Dawniej było jak najlepiej. Moi przodkowie w ten sposób uprawiali ziemię, ja będę ją więc uprawiał podobnie". Nieuctwo uważają wszyscy za chwałę narodową i, jak narazie, niema na to lekarstwa. W innych krajach uniwersytety i szkoły wyższe wytwarzają reformatorów, bojowników postępu; nasze ośrodki naukowe mnożą natomiast pseudo-inteligentny proletarjat, troszczący się jedynie o zarobki, marzący o urzędach publicznych. Kształcą się (jeżeli to wogóle można nazwać kształceniem) nie dlatego, żeby coś wiedzieć, lecz dlatego, aby zdobyć dyplom, który jest potrzebny do łatwiejszego zarabiania na kawałek chleba. Uczą się tylko tego, czego od nich będzie mógł wymagać profesor — dalej ciekawość ich nie sięga. Prawie wszyscy członkowie ciała uniwersyteckiego są lekarzami i adwokatami, zajmującymi się praktyką. Codziennie przez godzinę powtarzają na katedrach swoich to, co mówili już w latach ubiegłych. Jak fonografy! A odbywszy naukową powinność, powracają do swych klijentów i chorych.

Wiedza hiszpańska jest wiedzą z drugiej ręki, żywcem tłumaczoną z francuskiego. Znana jest przytem maleńkiej garstce ludzi, którzy odczuwają potrzebę czytania. Reszta ludzi, uważających się za oświeconych, nie posiada innych książek, jak podręczniki, zachowane z lat dziecinnych. O triumfach myśli ludzkiej dowiadują się tylko z dzienników.

Rodzice, pragnąc zapewnić swym synom przyszłość, oddają ich do publicznych zakładów naukowych, zaledwie malcy nauczą się czytać. Nie istnieje u nas student-człowiek, student, który osiągnął pełnię intelektualnego rozwoju. Uniwersytety zapełnia niedowarzona młodzież, a kolegja — dzieci w krótkich spodenkach.

Hiszpan goli się po raz pierwszy, kiedy jest już licencjatem. Dzieci otrzymują chrzest nauki w wieku, w którym w innych krajach bawią się jeszcze w najlepsze w gry dziecinne. Po kilku latach stają się inteligencją, na którą spada obowiązek rządzenia krajem — inteligencją, która ma ze swego gro-

na dać nam jutro prawodawców i ministrów. Czyż to nie jest śmieszne?

Gabrjel nie śmiał się jednak. Srebrna Rózga i inni przytakiwali jego słowom. Krytyka czasów teraźniejszych zawsze cieszyła starego księdza.

— Jakim ty człowiekiem jesteś u licha? — rzekł do Gabrjela. — W szaleństwie swem gotów byłbyś napaść na cały świat.

— Kraj nasz jest strasznie wyczerpany, Don Antolinie. Niezliczona liczba miast znikła z powierzchni ziemi. Zagranicą zachowuje się z pietyzmem ruiny, jako kamienne karty, zapisane przez historję. W naszym kraju, gdzie kwitły wszystkie sztuki: romańska, bizantyjska, arabska, mudejarska, gotycka i renesans — trawy i dzikie krzewy porastają pamiątki przeszłości. Myślami ciągle jeszcze w niej tkwimy, jednakże pogardzamy jej relikwiami.

Opuszczony kraj! Hiszpanja — to nie naród, lecz zakurzone, nieuporządkowane muzeum, którego starożytności podziwiają turyści Europy. Nawet ruiny są tu zrujnowane.

Oczy Don Martina, młodego kapłana, wpatrzone w Gabrjela, wyrażały w tej chwili zachwyt, z jakim przyjmował jego mowę. Inni słuchacze stali spokojnie z opuszczonemi głowami, nie rozumiejąc dobrze, o co chodzi. Jedynie Don Antolin uśmiechał się pobłażliwie, uważając, że poglądy Gabrjela, doprowadzone do absurdu, stały się bardzo zabawne. Wieczór zapadał, słońce skryło się za dachami klasztoru. Siostrzenica księdza z progu mieszkania wołała na rozmawiających.

— Zaraz przyjdę, moje dziecko — rzekł Don

Antolin. — Muszę tylko odpowiedzieć kilka słów temu panu.

Człowieku boży... nie powinienem cię tak nazywać, gdyż jesteś pogrążony w grzechach i znajdujesz, że wszystko u nas jest złe. Kościół hiszpański zubożał. To jest drobnostka dla ciebie, skoro mówisz o tem z takim spokojem. Czegóż pragniesz? Czego potrzeba według ciebie, abyśmy mogli ozdrowieć? Powiedz nam tajemnicę swego lekarstwa, gdyż musimy się rozejść. Zimno przenika do szpiku kości.

— Tajemnicę mego lekarstwa? Tylko postęp ludzkości może nas uzdrowić. Wszystkie narody przeszły przez te same stopnie rozwoju: z początku rządził miecz, potem wiara, wkońcu nauka. Nad nami sprawowali władzę rycerze i księża, ale na progu życia nowoczesnego zatrzymaliśmy się bezwolni i bezsilni — nie schwyciliśmy w ręce steru nauki, jedynej przewodniczki, zdolnej nas prowadzić naprzód. To się stało przyczyną naszego dzisiejszego smutnego stanu. Jedna, jedyna Hiszpanja nie korzysta dziś ze światła nauki, śledząc tylko jej blady, nikły refleks, padający z zagranicy. Gorączka wiary wyniszczyła nasze siły. Jesteśmy, jak ludzie, dotknięci ciężką chorobą w młodzieńczym wieku, ludzie, którzy na zawsze pozostają anemiczni, niezdolni do nabrania sił. Skazani są też na starość przedwczesną.

— Och, nauka! — przerwał Srebrna Rózga. — Wiem, wiem! O niej śpiewają ciągle wrogowie Kościoła. Najlepsza ze wszystkich nauk — to miłość Boga i dzieł Jego. Dobranoc.

— Dobranoc, Don Antolinie!

VII.

Od tego dnia Gabrjel unikał starannie zebrań w Klasztorze. Żałował tego wszystkiego, co wypowiedział, i postanowił nie prowadzić już sporów z don Antolinem. Widział teraz jasno, na co naraził się, zdradzając tak lekkomyślnie swoje poglądy. Obawiał się, że go wydalą z katedry i skażą znów na awanturniczą tułaczkę po świecie. Był zły na siebie. Wyrzucał sobie swoje postępowanie. I na cóż właściwie zda się wstrząsanie pojęciami tych biedaków?... Czyż zaważyłoby nawet w ludzkim pochodzie naprzód nawrócenie kilku istot, przywiązanych do tradycji, jak ślimaki do skały? Pozatem jego brat, Estaban, został napewno powiadomiony już o tej rozmowie przez starego księdza.

— Ma heretyckie poglądy — mówił Srebrna Rózga — i ośmiela się wygłaszać je w naszym świętym przybytku z taką pewnością, jakgdyby znajdował się w jednym ze swoich piekielnych zagranicznych klubów. Gdzież on się nasłuchał tych szatańskich bredni? Nigdy nie słyszałem od nikogo podobnych herezyj!... Powiedz mu jednak, że gotów jestem wybaczyć mu wszystko, ponieważ znam go od dziecka i nie zapomniałem, że był niegdyś chlubą naszego Seminarjum. Zdaję sobie wreszcie sprawę, że słaby jest i chory, i że nieludzkim czynem byłoby wyrzucenie go teraz z katedry. Lecz podobne skandale nie mogą mieć tu miejsca nadal! Nie będę się silił, aby zmieniać jego poglądy. Niech zachowa jednak te potworności dla siebie. Jeśli już nie dba o dobro własnej duszy, niechże choć nie gorszy zepsuciem innych, wygłaszając wobec ludzi podobne potworności. Słyszane rzeczy? — meetingi w kościele prymasowskim! Tego już za wiele! Wreszcie należałoby, aby twój brat pamiętał, że zarówno ty, jaki on, jecie chleb Kościoła i że nieuczciwością jest sarkać na tego, kto nas żywi i odziewa!

Odtąd Gabrjel unikał starannie przyjaciół i wielbicieli z Claverias. Przestał nawet chodzić do szewca, a gdy tylko ujrzał towarzyszy, krążących wpobliżu galerji, opuszczał natychmiast Sagrarję i krył się na poddaszu kapelmistrza.

Te chwile, spędzane razem, sprawiały kapelmistrzowi ogromną radość: mógł grać swobodnie Gabrjelowi mnóstwo najnowszych utworów.

Gdy Gabrjela zaczynały dusić ataki kaszlu, don Luis przestawał grać i zaczynał mówić długo — o muzyce.

— Gabrjelu — rzekł pewnego popołudnia — znasz kawał świata i dużo rzeczy rozumiesz, musiało cię więc chyba uderzyć to, co i mnie: Hiszpanja jest krajem smutnym. To nie znaczy jednak, aby Hiszpanie byli melancholikami: ich smutek jest smutkiem odludków i brutalnych dzikusów. Nastrój swój doprowadzają zwykle do ostateczności. Albo zanoszą się spazmatycznie od śmiechu, pokazując wszystkie zęby, albo, płacząc, wyją. Nie znają uśmiechów łagodnych, pogodnej wesołości, odróżniającej człowieka od bydlęcia. Dusze ich ponure są, jak ciemne jaskinie, po których namiętności wszelkie tłuką się, niby rozpasane, dzikie zwierzęta, pragnące wyrwać się z klatki.

— Tak, masz rację — odpowiedział Gabrjel — Hiszpanja jest smutna. Choć nie nosi już czarnych,

pokutnych szat i różańca na rękojeści miecza, jak w dawnych wiekach, nie mniej jednak pozostała jej żałoba wewnętrzna i dusza wiecznie ponura, pełna niepojętych tajemnic. Trzy wieki nieludzkich udręczeń Inkwizycji zostawiły jej w krwi sadyzm palenia na stosie. Tak, my nie możemy już beztrosko się weselić.

— Muzyka najlepiej odzwierciadla charakter narodu — rzekł don Luis. — Niemcy tańczą wesołego, zmysłowego walca z kuflem piwa w ręku, śpiewając „Gaudeamus igitur" — hymn studencki, wysławiający beztroskie, materjalne życie. Francuzi paplą dużo i bezustannie, co chwila wybuchając śmiechem, tańczą, fikając bezładnie nogami w powietrzu i sami wyśmiewają swoje małpie ruchy. Anglicy upodobnili balet do gimnastyki, zaznaczając tem swoją zdrową, silną postawę życiową. Każdy z tych narodów w chwili, gdy uczuwa łagodny nastrój smutku, usypia swoją duszę i przemawia do wyobraźni, śpiewając pieśni, romanse, ballady. Nasze tańce narodowe mają w sobie coś z pierwotnego kapłaństwa — przypominają zmysłową gwałtowność namaszczonego tancerza, szaleńczą zawrotość kapłanki, z oczyma błędnemi i pianą na ustach padającej wkońcu u stóp ołtarza. A śpiewy nasze? Piękne, noszące znamiona różnych cywilizacyj, ileż posiadają upojenia i rozpaczy! Obnażają duszę chorego narodu, którego najulubieńszą rozrywką jest widok krwi ludzkiej i przedśmiertnych podrzutów zwierząt na arenie cyrkowej.

Wesołość hiszpańska, radość andaluzyjska — wszystko to trzech groszy nie warte! Pewnej nocy byłem w Madrycie na zabawie andaluzyjskiej — to

znaczy na najbardziej typowej hiszpańskiej zabawie. Chcieliśmy się uraczyć i rozweselić. „Wina, jeszcze raz wina!" I im gęściej krążyły kielichy, tem mocniej ściągały się brwi, twarze stawały się bardziej ponure, ruchy surowsze. — *„Olé! Olé* Dla nas cała radość życia!" — Ale radości tej nie było widać. Mężczyźni obrzucali się pełnemi złości spojrzeniami, kobiety tupały nogami, klaskały w dłonie, patrząc przed siebie ogłupiałym i tępym wzrokiem. Tancerki wiły się w skrętach wężowych, przygryzając wargi i rzucając spojrzenia ostre, pogardliwe — nieprzystępne i wyniosłe, jak bajadery, odprawiające swój rytuał religijny. Od czasu do czasu w sennym monotonnym gwarze podnosił się śpiew, cierpki, ostry, jak krzyk człowieka, padającego z rozdartą piersią. A słowa? Ponure są, jak cela więzienna; niekiedy piękne pięknością skargi więźnia, śpiewającego przed kratą swej ciemnicy. Są w nich uderzenia sztyletu, zadane zdradzieckiej kochance, zmyta krwią zniewaga, którą wyrządzono matce, skargi i przekleństwa, rzucane na głowę sędziego, skazującego na galery *caballeros de calanés y faja* [38]), smutek skazańca, który posyła pożegnanie słońcu, ostatni raz oglądanemu przed egzekucją: poezja pogrzebowa i szubieniczna, ściskająca serce i tłumiąca w zarodku najmniejszy odruch wesołości. Nawet płomienne zwykle hymny na cześć kobiety pozbawione są u nas tchnienia siły męskiej i ognia namiętności. I oto muzyka, która ma być dla narodu środkiem do wypowiadania nadmiaru uczucia, muzyka, która będzie służyła mu „ku rozweseleniu" być może jeszcze przez wieki. Tak, jesteśmy smutnym narodem. Mamy ten smutek zaszczepiony

już w krwi. Nie znamy pieśni bez groźby i płaczu; a śpiew nasz wydaje się nam tem piękniejszy, im więcej w nim westchnień, jęków bolesnych i rzężenia agonji.

— To prawda — odrzekł Gabrjel — i nie może już być inaczej. Naród hiszpański niewolniczo, z zamkniętemi oczyma wierzył w swoich królów i kapłanów — i urobił się na ich obraz i podobieństwo. Wesołość jego przypomina niską i niekrzesaną wesołość mnicha; jego romanse hultajskie są opowiadaniami, powstałemi w refektarzu podczas godzin trawienia. Śmiejemy się zawsze z tych samych powodów: — z groteskowego ubóstwa; z wszy, z lśniącego nocnika, jedynego sprzętu biednego hidalga, z przebiegłości zgłodniałego człowieka, który usiłuje ukraść towarzyszowi resztę sucharów, ze zręczności złodziejów, obcinających sakiewki zakwefionym damom, śpieszącym do kościołów; ze sprytu kobiety, która pomimo, że jej pilnuje zazdrosny mąż, potrafi być bardziej występną, niż damy dzisiejsze, żyjące w zupełnej swobodzie. Smutek Hiszpana jest dziełem naszych królów, tych złowrogich, chorobliwych władców, którzy marzyli o utworzeniu wszechświatowego królestwa, podczas gdy ich własny naród przymierał głodem. Widząc, że rzeczywistość kłóci się jaskrawo z ich planami, stawali się hipochondrykami i fanatykami, tłumacząc swe niepowodzenia karą Boga — i, aby Go ubłagać, wpadali w dewocję okrutną. Kiedy Filip II dowiedział się o straszliwej klęsce Niezwyciężonej Armady, o śmierci tylu tysięcy ludzi, która pogrążyła w żałobę połowę Hiszpanji, nie przejął się tem ani na chwilę. „Posłałem ich na walkę z ludźmi, nie

z żywiołami“ — powiedział — i kończył najspokojniej przerwane modlitwy w kaplicy Escurialu. Ponura i złowroga groza smutku tych monarchów uciska do dziś dnia nasz naród. Nic dziwnego, że na przestrzeni wieków kolor czarny był najulubieńszą barwą dworu hiszpańskiego. Ciemne i zimne aleje rezydencyj królewskich, wysadzane ponuremi drzewami, były i są dotychczas ulubionem miejscem przechadzek królów. Wszystkie ich miejskie pałace mają brunatne dachy, spłaszczone wieże, ozdobione chorągiewkami, i aleje smutne, jak ogrody klasztorne.

Gabrjel zapomniał o wszelkiej ostrożności w tym małym pokoiku, gdzie jedynym jego słuchaczem był kapelmistrz — tu mógł przynajmniej mówić bez obawy.

— Usposobienie smutne — ciągnął, — jest to kara natury, która się mści za despotyzm hiszpańskich władców. Jeśli nawet jaki król przyniósł ze sobą na świat pewien smak artystyczny, jak naprzykład Ferdynand VI, to, zamiast cieszyć się radością życia, musiał zanudzać się na śmierć, słuchając aryj, które żeńskim sopranem piszczał Farinelli. Ci, którzy byli zbyt tępi, ażeby odczuwać jakiekolwiek piękno, spędzali życie w lasach, okalających Madryt, goniąc z fuzją w ręku za jeleniem i nudząc się niemiłosiernie podczas przerw w polowaniach. Smutek katolicyzmu przeniknął naszych królów aż do szpiku kości. Podczas gdy cała ludzkość, rozzuchwalona zmysłowem tchnieniem Renesansu, podziwiała boskie kształty Apolla i oddawała hołdy Wenerze, którą pług wieśniaka wydobył z ziemi, dla monarchji hiszpańskiej najwyższym ideałem piękna był królujący

w starych katedrach omszały, poczerniały Chrystus z sinemi wargami, o ciele wyschłem i kościstem, z pokurczonemi, zbroczonemi krwią nogami. Krew ta wiele usług oddała religji w chwilach załamania wiary, wtedy, gdy duch upadał, a wiarę w dogmat należało poprzeć orężem! Podczas gdy w Wersalu szemrały fontanny pośród marmurowych posągów nimf, a dworzanie Ludwika XIV w barwnych strojach, rozpustni, jak poganie, krążyli, niby rój motyli, koło wytwornych dam o klasycznych kształtach, dwór hiszpański, cały w czerni, z różańcem u pasa, ustrojony w zieloną wstęgę Inkwizycji, uczestniczył w autodafé — a król szczycił się, że pali heretyków i jest alguazilem.

Niestety, jesteśmy narodem, którym włada smutek. Ponury smutek tych czarnych wieków żyje w nas jeszcze. Zastanawiałem się często nad życiem tych, których natura wyposażyła w umysły krytyczne. Inkwizycja szpiegowała każde słowo i starała się przejrzeć nawet myśli ludzkie. Za jedyny cel życia uważano zdobycie nieba — a cel ten z dniem każdym stawał się coraz dalszy i trudniejszy do osiągnięcia. Ażeby zbawić duszę, należało przedewszystkiem bogactwa swe oddać na rzecz Kościoła — najwyższą bowiem i najbardziej zalecaną formą życia było ubóstwo. Po zrzeczeniu się swoich dóbr materjalnych trzeba było modlić się co godzinę, codzień być w kościele, należeć do stowarzyszenia religijnego, biczować się w krypcie, wreszcie wysłuchiwać z pokorą głosu „Brata grzechu śmiertelnego", który co godzinę przerywał sen, przypominając, że śmierć jest bliska. Do tego wiecznego strachu dołączała się jeszcze ciągła nie-

pewność zbawienia, przekonanie, że można za jeden grzeszek dostać się do piekła, niemożność przebłagania tego Boga groźnego i mściwego; a poza okropnością cierpień fizycznych — paniczny strach przed stosem, strach, który upodlał nawet najszlachetniejszych i i najinteligentniejszych ludzi.

W tem świetle wydaje się jasne cyniczne wyznanie kanonika Llorenta, tłumaczące, dlaczego został sekretarzem Inkwizycji: „Zaczęto piec ludzi, więc, aby nie zostać upieczonym, należało samemu stanąć po stronie tych, którzy pieką". Ludzie inteligentni nie mieli innego wyjścia. Czyż zdołaliby się oprzeć i zbuntować? Król, pan absolutny ludzi i ich majątków, był tylko pokornym sługą sług Kościoła — biskupów, zakonników i zaufanych Świętego Officium. Wszyscy monarchowie Hiszpanji, oprócz pierwszych Burbonów, byli sługami Kościoła. W żadnem państwie nie było takiej jednomyślności między tronem a ołtarzem, jak u nas. Religja mogła doskonale obyć się bez królów, ale królestwo bez religji nie utrzymałoby się napewno.

Zwycięski wojownik, conquistador, który zakłada sobie państwo, obywa się narazie bez księdza; szacunek, jaki wzbudza wśród poddanych sława jego oręża, wystarcza mu w zupełności, aby mógł bezpiecznie władać krajem. Ale w miarę zbliżania się śmierci zaczyna coraz bardziej myśleć o swoich spadkobiercach — następcach, którzy nie umieli otoczyć się takim, jak on, uwielbieniem, sławą i znaczeniem — wtedy za pośrednictwem księdza bierze sobie za tajemniczego sprzymierzeńca Boga, który będzie czuwał nad zachowaniem koro-

ny w jego rodzie. Założyciele dynastyj panują „z łaski siły", a ich następcy „z łaski Boga".

Gabrjel umilkł na chwilę — dusił się. Jego wątłemi piersiami wstrząsał tak gwałtowny kaszel, że kapelmistrz przeraził się nie na żarty.

— Nie niepokój się, don Luisie — powiedział, opanowawszy się, — takie ataki miewam codziennie. — Jestem chory i nie powinienem tak dużo mówić; ale to jest silniejsze ode mnie. Gniewają mnie te wszystkie absurdy religji i monarchji, zakorzenione nietylko u nas, ale na całym świecie.

— Co do mnie — rzekł kapelmistrz — nie interesuję się zupełnie polityką. Jest mi wszystko jedno — monarchja, czy republika. Moją jedyną ojczyzną jest sztuka. Nie wiem, jaką rolę odgrywa monarchja w tych innych krajach, które zwiedzałeś, wiem tylko, że u nas już dawno umarła. Tolerujemy ją, jak wiele innych zabytków przeszłości, ale ona już nie wzbudza żadnego entuzjazmu i z pewnością nikt nie byłby w stanie poświęcić się dla niej. Sądzę, że nawet ci ludzie, którzy całe życie spędzają u jej boku i których interesy zatem są organicznie związane z interesami tronu, wyrażają więcej gorliwości i przywiązania w słowach, niż go mają w sercu.

— Istotnie jest tak — odpowiedział Gabrjel. — Ostatnim kochanym i poważanym królem był Ferdynand VII. Jaki lud — taki władca! Od tego czasu naród oświecił się, wyemancypował — ale nasi królowie nie wzięli udziału w tym pochodzie naprzód; przeciwnie, zdaje się, że cofnęli się nawet wstecz, zrywając coraz bardziej z antyklerykalnemi, reformatorskiemi poczynaniami pierwszych Burbonów.

Gdyby dzisiaj nauczyciele, wychowujący młodego księcia, postawili sobie za zadanie: „Chcemy zrobić z niego Karola III" — oburzyłyby się na to nawet mury pałacowe. Polityka austrjacka zmartwychwstała tak, jak odrastają pasorzytnicze rośliny, daremnie pielone. Jeżeli w siedzibie naszych królów przytacza się kiedy przykłady przeszłości — przywołuje się na pamięć zawsze czasy cesarzy austrjackich, ale zapomniano już zupełnie o władcach, którzy zadali moralny cios Inkwizycji, którzy wygnali jezuitów.

Każdy prawie poranek spędzał Gabrjel u swej siostrzenicy. Ukołysany rytmicznym turkotem maszyny, wpatrywał się w wychodzący z pod skaczącej igły materjał, który rozsiewał wokoło specyficzny zapach świeżej tkaniny.

Gdy od czasu do czasu, poprawiając nitkę, podnosiła głowę i wzrok jej spotykał się z wzrokiem Gabrjela — twarz jej ożywiała się słabym uśmiechem. W tem odosobnieniu, w jakie ją wtrącił gniew ojca, czuli instynktowną potrzebę zbliżenia się, jak ludzie, którym zagraża to samo niebezpieczeństwo. Zbliżyła ich do siebie choroba. Gabrjel miał serdeczne współczucie dla nieszczęśliwej, widząc, w jakim stanie świat zwrócił ją domowemu ognisku, które porzuciła niegdyś. Cierpiała niekiedy okropnie. Uśmiech ukazywał jej zepsute zęby; skóra jej tak biała i delikatna ongi, pokryta

teraz była szkarłatnemi plamami. Lecz, mimo wszystko, młodość w swej wiośnianej sile kwitła nadal pośród tej ruiny i nadawała blasku jej oczom i uśmiechowi.

Czasami Gabrjel, dusząc się podczas bezsennych nocy atakami kaszlu, z piersią i głową oblaną zimnym potem, słyszał ze swego łóżka ciche jęki i skargi, które jego siostrzenica napróżno starała się zagłuszyć; chciała bowiem, aby nikt w domu nie wiedział o jej męce.

— Co ci było wczoraj wieczorem? — pytał zwykle nazajutrz rano. — Czemu skarżyłaś się?

I Sagrario z pewnem wahaniem przyznawała się wkońcu:

— Łamie mnie po kościach! Straszliwy ból chwyta mnie w chwili, gdy wchodzę do łóżka. Mam wrażenie, że rozszarpują mnie na kawałki. A ty, stryju, jakże się czujesz? Słyszałam przez całą noc twój kaszel. Dusisz się formalnie!

I każde z nich, zapominając o swych własnych cierpieniach, litowało się nad niedolą drugiego. Wytworzyło się między nimi serdeczne współczucie; a to, co uczuwali ku sobie, nie było pociągiem zmysłowym, ale przywiązaniem braterskiem, zrodzonem przez nieszczęście.

Często Sagrario wysyłała swego stryja z domu. Martwiła się, widząc, jak siedzi przy niej nieporuszenie, kaszle ciężko i wpatruje się w nią z uwielbieniem.

— Ależ idźże już sobie! — mówiła, siląc się na wesołość. — Działa mi to na nerwy, gdy widzę, że siedzisz tu ciągle, spokojny, niewzruszony, jak posąg, dotrzymując mi towarzystwa, choć uczuwasz tak wielką potrzebę ruchu i czynu! Idź do swoich towarzyszy! Przeklinają mnie z pewnością w tej chwili, myśląc, że to ja cię zatrzymuję. Przejdź się trochę, proszę cię, mój stryju! Porozmawiaj o tych sprawach, które cię tak bardzo zajmują, a których ci biedacy słuchają z otwartemi ustami. Ale uważaj, żebyś się nie zaziębił i nie zmęczył zanadto.

Te rady, często powtarzane, sprawiły, że Gabrjel powoli zapominał o swem postanowieniu zachowania ostrożności. Reszty dokonali wielbiciele jego z Claverias, którzy czatowali na niego i skwapliwie wykorzystywali każdą sposobność pomówienia z nim. Miejsce zebrań zostało jednak zmienione.

— Najlepiej spotykajmy się na wieży — powiedział pewnego dnia dzwonnik — Srebrna Rózga jest wściekły na nas, zagroził nawet szewcowi, że wyrzuci go z klasztoru, jeżeli będziemy w dalszym ciągu zbierali się u niego. Ale dla mnie będzie pobłażliwszy, zna mnie tak dawno. Zresztą, jeśli on rządzi klasztorem, ja rządzę moją wieżą; niechno się tylko ośmieli przyjść nas szpiegować i strofować! Zrzucę ze schodów tego szatańskiego skąpca!

I znów Gabrjel zaczął przychodzić do dzwonnika. Ściany mieszkania, niegdyś bielone wapnem, pokrywały teraz pożółkłe rysunki, przedstawiające poszczególne epizody wojny Karlistów. Tu rewolucjonista spotykał wszystkich swoich dawnych słuchaczy wraz z don Martinem, jałmużniikem klasztornym, który wchodził ukradkiem, obawiając się spotkania z Srebrną Rózgą — i szewcem, który praco-

wał nocami, aby wynagrodzić czas, tracony we dnie na słuchanie Gabrjela. Człowiek ten, bardziej od innych dziki i skryty, był z całego otoczenia najzuchwalszy, gdy przemawiał; przenosił się z zawrotną szybkością myśli od jednej idei do drugiej i przyswajał sobie odrazu najdalej idące koncepcje.

— Jestem tem, czem i ty, Gabrjelu! — mówił gwałtownie. — Jesteś anarchistą? I ja nim jestem! Chcesz, aby biedak żył, bogaty narówni ze wszystkimi pracował, aby każdy mógł zbierać owoce swojej pracy, żeby wszyscy wspólnie sobie pomagali? — Przecież to samo identycznie mówiłem, gdyśmy przebiegali świat z bronią na ramieniu i *boiną* na głowie! Co się tyczy religji, której ongiś byliśmy fanatycznymi wyznawcami — nie troszczę się o nią teraz! Pod twoim wpływem uświadomiłem sobie, że to są bzdury, wytworzone przez ludzi chytrych poto, aby biedacy godzili się dobrowolnie ze swym nieszczęśliwym losem ziemskim w nadziei dostąpienia łaski nieba. Trzeba przyznać, że nie jest to źle obrachowane! — bo przecież ci wszyscy, którzy po śmierci nie znajdą nieba, nie przyjdą zpowrotem na ziemię skarżyć się na swoją krzywdę.

Pewnego dnia Gabrjel wyraził życzenie zwiedzenia klatki z dzwonami. Było to na wiosnę; rozpoczynała się pora upałów, niebo miało barwę świetlistego lazuru.

— Nie widziałem *Gorda* od czasów mojego dzieciństwa. Chodźmy — chciałbym ostatni raz przed śmiercią rzucić okiem na całe Toledo.

I w towarzystwie swoich uczniów wszedł powoli na górę krętemi wąskiemi schodkami. W górze wil-

gotny wiatr przedostawał się przez olbrzymie kraty, otaczające dzwony. Z środka sklepienia zwisał słynny Gorda, którego olbrzymia misa bronzowa miała jeden bok popękany całkowicie. Serce dzwonu, które uderzeniami swemi robiło te rysy, wisiało spokojne, ogromne, jak utrącony słup kolumny, pokryte wyżłobieniami; drugie — mniejsze mieściło się wyżej, we wnętrzu dzwonu. Czarne, ordynarne dachy katedry rozciągały się u stóp Gabrjela. Naprzeciwko, na wzgórku wznosił się Alcazar — wyższy i rozleglejszy, niż gmach świątyni, jakgdyby przejął postawę od imperatora, który go fundował, od tego Cezara katolicyzmu, zapaśnika wiary, który, mimo swego fanatyzmu, usiłował utrzymać Kościół w zależności od siebie. Budowle miasta grupowały się około świątyni. Domy mieszkalne tonęły w powodzi wież, kopuł i absyd. Gdziekolwiek Gabrjel obrócił oczy, wszędzie wzrok jego spotykał kościoły, kaplice, klasztory, dawne szpitale. Religja zawojowała przemysłowe niegdyś Toledo i gniotła swoją skamieniałą skorupą umarłe miasto. Na niektórych dzwonnicach powiewały małe czerwone chorągiewki, ozdobione śnieżnemi kielichami — oznaczało to, że świeżo wyświęcony ksiądz odprawia tu swą pierwszą mszę.

— Zawsze, kiedykolwiek tu jestem, widzę te chorągwie — mówił don Martin, przysiadłszy na belce obok Gabrjela. — Proces wyświęcania się na księży nie ustaje ani na chwilę, a większość nowicjuszów wybiera karjerę duchowną dlatego, że, widząc dzisiejszy triumf Kościoła, spodziewa się dla siebie świetnej przyszłości. Biedni ludzie! I mnie także wśród śpiewu i mów uroczystych prowadzono przed ołtarz, jakgdybym święcił dzień triumfu. Dym ka-

dzideł mglił mi oczy. Rodzina moja płakała ze wzruszenia — widziano we mnie sługę Bożego. Ale nazajutrz po święcie, gdy światło gromnic i żar kadzielnic zgaśnie, gdy kościół wróci do swego codziennego wyglądu — rozpoczyna się życie nędzne i trzeba dobrze kręcić głową, aby zarobić na kawałek chleba! Siedem durów na miesiąc!

Gabrjel potakiwał smutnie głową.

— Tak, wy jesteście pierwszemi ofiarami — powiedział. — Czasy wielkich fortun kościelnych minęły już. Nieszczęśliwi chłopcy, wdziewający sutannę w nadziei zdobycia mitry, robią na mnie wrażenie tych emigrantów, co to, udając się w dalekie kraje, osławione przez całe wieki eksploatacyj — przyjechawszy, zastają ziemię bardziej spustoszone i wynędzniałe, niż w ich własnych stronach rodzinnych.

— Masz rację, Gabrjelu. Jednak Kościół — karmicielka ma jeszcze w swoich piersiach wystarczającą ilość mleka, ażeby wyżywić swe dzieci. Ale tylko niektóre dostać się do nich zdołają. Piją też na umór — omal nie pękną, podczas, gdy inne umierają z pragnienia. Można się uśmiać, gdy słyszy się zdanie, że w Kościele panuje równość i idea demokracji! Nigdzie w historji nie spotykamy równie bezwzględnych i bezlitosnych rządów despotycznych!

W dawnych czasach papieże i biskupi byli wybierani przez ogół wiernych i jeśli na złe używali swojej władzy — zrzucano ich z urzędu. Ale dzisiaj w Kościele istnieje arystokracja, rozpoczynająca się od kanoników wzwyż — i ten, któremu udało się sięgnąć po mitrę, przed nikim już nie zdaje rachunku. W stosunkach świeckich usuwają urzędników, zmu-

szają do dymisji ministrów, pozbawiają szarży wojskowych, detronizują nawet królów. Ale przed kimże odpowiadać mają za swoją działalność papieże i biskupi, skoro są wyświęceni i mają kontakt z Duchem Świętym? Jeżeli odwołasz się do sprawiedliwości, skierują cię do trybunałów, których sędziowie należą do tej samej elity arystokracji duchownej...

Don Martin umilkł na chwilę, jak gdyby zbierał swoje wspomnienia, później znów zaczął:

— A to ubóstwo Kościoła w Hiszpanji — są to bezczelne kpiny! Ta bieda jest pojęciem względnem. Oczywiście duchowieństwo hiszpańskie nie ma już dziś w swem ręku połowy wszystkich bogactw narodu, jak to było dawniej; ale właśnie u nas Kościół jest bardziej honorowany, niż gdzieindziej, i państwo daje mu ogromną część swych dochodów. Pochłania on z naszego budżetu czterdzieści jeden miljonów; a ta cyfra, która wydaje mu się nic nie znaczącą, jest w istocie olbrzymia w kraju, gdzie się przeznacza dziewięć miljonów na oświatę publiczną i jeden miljon na zapomogi publiczne!

Na utrzymanie dobrych stosunków z Bogiem Hiszpanie wydają pięć razy więcej, niż na naukę. Zresztą ta cyfra czterdziestu jednego miljona jest oznaczona poto, aby omylić tylko podejrzliwość ludzką; należy bowiem wziąć pod uwagę jeszcze zapomogi i pensje duchownych. W ministerstwie spraw wewnętrznych Kościół ma swój stały budżet na misje zagraniczne; w ministerstwie spraw wojskowych i marynarki — na kapelanów wojskowych; w ministerstwie oświaty i sprawiedliwości — także na coś. Poto, aby Kościół mógł zachować przepych Pontyfikatu Rzymskiego, my musimy utrzymywać

jego ambasadora. Otrzymuje stałe zapomogi na reparacje kościołów, na kolonizowanie Fernando Poo, na różne potrzeby nieprzewidziane, i wreszcie sam już nie wiem, na ile innych celów dodatkowych. Pozatem trzebaby określić ściśle sumę, którą naród hiszpański dobrowolnie daje Kościołowi. Bulla, oznajmiająca świętą krucjatę, przynosiła rocznie przeszło dwa i pół miljona dochodu. A datki, składane dobrowolnie przez wiernych na majątki kościelne, a zyski, które zakony religijne ciągną z ich świętego przemysłu — to chyba niezły kawał grosza! Dalej stałe zapomogi rad miejskich i rady głównej — tworzą sumę znaczną! Jednem słowem Kościół, który bezustannie mówi o swojej biedzie, pochłania państwu i poszczególnym ludziom przeszło trzysta miljonów rocznie — prawie dwa razy tyle, co obrona krajowa; i to nie przeszkadza, że w zakrystjach narzeka się na złe czasy.

Tak jest, trzysta miljonów! Obliczyłem to dobrze. A ja, duchowny, zarabiam miesięcznie siedem durów; większość wikarjuszów otrzymuje gorsze pensje, niż prosty robotnik; tysiące księży musi biegać od zakrystji do zakrystji, aby odprawić mszę i zarobić w ten sposób na kawałek powszedniego chleba. Na cóż więc idą te wszystkie pieniądze? — Na arystokrację kościelną, podczas gdy my jesteśmy tylko prostą czeladzią! Cóż to za szantaż, Gabrjelu! Wyrzekamy się miłości i rodziny, uciekamy od uciech świeckich, oblekamy się w szaty żałobne — i za tyle ofiar zarabiamy mniej, niż ci, którzy tłuką kamienie na szosach! Nie męczy nas nasza praca, to prawda, nie grozi nam upadek z rusztowania, ale nędza nasza jest większa, niż nędza wielu robotników. A przyznać się do swego ubóstwa, ani prosić o wsparcie nie możemy przecież, nie pozwala na to nasza suknia, której oddać winniśmy należny szacunek. Gdy w Hiszpanji nastąpił kres panowania Kościoła, wszystkie konsekwencje spadły na nas, maluczkich. Kapłan jest biedny, katedra także jest biedna, ale książęta Kościoła otrzymują w dalszym ciągu swoje tysiąc durów rocznie i śpiewają spokojnie antyfony, nie potrzebując martwić się o łyżkę strawy...

Było już południe. Dzwonnik gdzieś zniknął. Nagle rozległ się zgrzyt łańcuchów na blokach i huk gromu wstrząsnął całą wieżą. Mury drżały. Powietrze nawet zdawało się wibrować w przestworzu.

Gorda huczał, ogłuszając stojących wpobliżu. W chwilę potem od strony sąsiedniego Alcazaru zabrzmiał bojowy dźwięk bębnów i trąb.

— Wiecznie ta sama historja — rzekł Gabrjel z uśmiechem. — Dużo hałasu, mało pracy!

Zbliżał się dzień święta Bożego Ciała. Monotonne życie w katedrze toczyło się bez żadnych zmian. Czasami tylko w Górnym Klasztorze rozmawiano o zdrowiu Jego Eminencji. Przeróżne przejścia, jakie kardynał miał z kapitułą, wtrąciły go w chorobę i przykuły do łóżka. Mówiono nawet, że miał już silny atak i że życie jego było w niebezpieczeństwie.

— Jest chory na serce — utrzymywał Tato, wiedzący zwykle o każdym ruchu prałata. — Donia Vi-

sitacion, widząc, że z don Sebastjanem jest tak źle, rozpacza, jak Magdalena, i przeklina kanoników.

Pewnego poranka Drewniana Rózga, siedząc przy stole, zaczął mówić o tem, jak to niegdyś w dawnych czasach obchodzono w Toledo święto Bożego Ciała. Rozżalił się tak, że zapomniał o milczeniu, jakie nakazywał sobie zawsze w obecności córki.

— Nie poznasz dawnego Bożego Ciała — mówił do Gabrjela. — Z dawnego przepychu pozostał tylko zwyczaj rozścielania wspaniałych dywanów przed katedrą. Nie ustawiają teraz przed Drzwiami Przebaczenia „Olbrzymów" i nikt już nie dba o uroczysty wygląd procesji.

Kapelmistrz niemniej lamentował:

— A msza, panie Estaban! Taka nędzna msza na takie wielkie święto! Cztery instrumenty, wynajęte na mieście, kilka kawałków Rossiniego — byle nie za długich, aby nie kosztowały czasem zbyt drogo. W takich warunkach należałoby już lepiej zadowolnić się zwykłemi organami.

Stary zwyczaj wymaga, aby w wilję dnia wieczorem grała przed katedrą orkiestra akademji wojskowej. Całe Toledo zwykle schodzi się, aby usłyszeć tę serenadę, jest to bowiem niecodzienne zdarzenie w życiu monotonnem miasta. Przybywa także z Madrytu i z okolic wielu cudzoziemców, aby ujrzeć walkę byków, urządzaną zwykle nazajutrz.

Dzwonnik zaprosił swych przyjaciół, aby posłuchali muzyki w głównej fasadzie galerji grecko-rzymskiej. Gdy pogaszono lampy w Claverias i don Antolin zamknął bramę od ulicy, Gabrjel i inni prześlizgnęli się ostrożnie do Mariano; nawet Sagrario na usilne prośby stryja towarzyszyła im. Była także

z mężem żona szewca, niosąc, jak zwykle, niemowlę, uwieszone u obwisłych piersi. Usiedli wszyscy przed kamienną balustradą i potrzyli na dół na plac.

Ratusz był przystrojony girlandami świateł, które odbijały od granitu katedry, jak łuna pożaru. Między drzewami widać było grupy małych dziewczynek w bieli, z pękami kwiatów. Za niemi postępowali kadeci z rękami na rękojeściach szabel, zręczni i smukli w szerokich tureckich szarawarach. Pałac arcybiskupi był zamknięty.

Ponad czerwonym blaskiem świateł placu wzrok gubił się w nieskończonej głębi granatowego letniego nieba, usianego miljonami gwiazd.

Muzyka ucichła, zagaszono światła, lecz mieszkańcy katedry nie mieli chęci powrócić do swych siedzib. Było im tutaj tak dobrze! Ludzie ci, przywykli do odosobnionego i cichego życia w Claverias, cieszyli się, patrząc na swobodną przestrzeń i na Toledo, leżące u ich stóp.

Sagrario, która od chwili powrotu nie wychodziła z Górnego Klasztoru, z zachwytem wpatrywała się w niebo.

— Ileż tu gwiazd — wyszeptała z rozmarzonym wyrazem twarzy.

— Niebo jest, jak pole — powiedział dzwonnik. — Im piękniejsza pogoda, tem lepiej wschodzą kłosy gwiazd.

Zapanowało milczenie, które przerwał Mariano, zapytując:

— Co to jest niebo? Co się kryje tam za błękitami w górze?

O tej porze plac był już zupełnie pusty i ciemny, oświetlony jedynie słabem światłem gwiazd.

Z olbrzymiego, błękitnego firmamentu spływała cisza, której majestat przenikał te proste dusze. Nieskończoność przyprawiła zebranych o zawrót głowy.

— Nie jesteście w stanie — rzekł Gabrjel — stworzyć sobie pojęcia nieskończoności. Nauczono was pierwotnej legendy o stworzeniu świata, legendy, wymyślonej przez kilku ignorantów, Żydów, pochodzących z zapadłego kąta Azji. Według tej nauki, świat ma być dziełem osobowego Boga, podobnego do człowieka. Ten robotnik-olbrzym stworzył podobno wszystko w przeciągu sześciu dni. Lecz o ileż rzeczywistość jest bardziej godna podziwu, o ile wiedza przechodzi pięknością bajki Biblji. Ziemia, tak według nas wielka, jest tylko atomem we wszechświecie.

Słońce, które w porównaniu z ziemią wydaje się nam olbrzymie, jest tylko pyłkiem, zagubionym w nieskończoności. Planety, zwane przez nas gwiazdami, są to słońca, podobne do naszego słońca, otoczone satelitami, jak nasza ziemia. Dzięki odległości nie możemy ich zobaczyć. Ileż ich jest? W miarę udoskonalenia instrumentów optycznych i coraz głębszego przenikania niebieskich otchłani odkrywamy ich coraz więcej. Poza odkrytemi światami ukazują się światy nowe. Globy, toczące się w przestrzeni, są niezliczone, zbite i zgęszczone jak cząsteczki dymu lub chmur, a jednocześnie oddzielone olbrzymiemi przestrzeniami. Jedne z nich to światy, zamieszkałe, jak nasz świat, na innych dawniej kwitnęło życie — dziś już zamarły i krążą w przestrzeni, oczekując ewolucji życia, inne wreszcie dopiero rodzić się zaczynają. Droga mleczna jest pyłem gwiazd, tworzących dla naszych oczu jedną masę, a tymczasem między jedną gwiazdą, a drugą znajdują się olbrzymie przestrzenie, wśród których mogłoby się poruszać swobodnie trzy tysiące naszych słońc.

— Więc — zapytał nieśmiało stary organista, wskazując na katedrę — czegóż nas uczy Kościół?

— Niczego — odpowiedział Gabrjel.

— A my, ludzie, czem jesteśmy? — zapytał *perrero.*

— Niczem!

— A państwo, prawo, obyczaje społeczne? — dorzucił dzwonnik.

— Niczem, tylko niczem!

Sagrario utkwiła w stryju oczy.

— A Bóg? — zapytała głosem, pełnym słodyczy. — Gdzie jest Bóg?

Gabrjel stał oparty o balustradę galerji. Sylwetka jego odcinała się wyraźnie od tła, usianego gwiazdami.

— Bóg — odpowiedział — to my i wszystko, co nas otacza, to życie, które zdaje się ciągle zamierać, a przecież dzięki swoim cudownym przemianom ciągle się odradza, to ten bezmiar, przerażający nas i przekraczający granicę naszej świadomości, to materja, którą ożywia siła, nierozłączna od jej substancji. Słowem Bóg — to świat i człowiek! Lecz jeśli spytacie mnie o Boga osobowego, mściwego i kapryśnego, który, jak uczy religja, stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, tego Boga, który, wywiódłszy świat z nicości, stał się stróżem naszych dusz, opiekunem naszych czynów, Boga, który posłał na świat swego syna, aby nas odkupił —

to odpowiem wam, że napróżno będziecie go szukali w głębiach nieskończoności.

Jest on tylko wymysłem naszego mózgu. Gdy go ludzie sobie stworzyli, ziemia już od miljonów lat istniała.

VIII.

Pierwszą osobą, którą spotkał Gabrjel rankiem w dzień Bożego Ciała, był Don Antolin, który przeglądał i liczył kartki w swych książeczkach.

— Mamy dzisiaj wielkie święto — powiedział Gabrjel, chcąc sprawić księdzu przyjemność. — Będzie pan miał niezłe dochody. Przyjedzie zapewne wielu cudzoziemców.

Don Antolin spojrzał badawczo na Gabrjela, jakby się chciał przekonać o szczerości jego słów i intencyj. Lecz upewniwszy się, że Gabrjel nie drwi, odpowiedział z zadowoleniem.

— Tak, dzień dzisiejszy zapowiada się dobrze. Znajdzie się zapewne wiele osób, pragnących obejrzeć nasze skarby. Ach, moje dziecko, jakże nam potrzeba pieniędzy! Ty, który cieszysz się z naszych nieszczęść, powinieneś być zadowolony. Znajdujemy się w tak rozpaczliwem położeniu, że musimy robić nadludzkie wysiłki, aby pokryć swoje nędzne wydatki.

I Don Antolin zamilkł, nie spuszczając ani na chwilę Gabrjela z oczu. Na twarzy jego malowała się gra różnych uczuć, jakgdyby uderzyła go niezwykła jakaś myśl, a on sam zastanawiał się, czy ma ją za-

afirmować, czy odrzucić. Wreszcie oblicze jego rozpogodziło się.

— Gabrjelu — rzekł łagodnym, a zarazem jakby rozkazującym głosem — powiedziałeś mi któregoś dnia, że pragnąłbyś zarabiać, aby ulżyć ciężkiej doli swego brata. Dzisiaj nastręcza się sposobność zarobku. Czy nie chciałbyś pomagać przy ciągnieniu wozu z Najświętszym Sakramentem?

Gabrjel chciał już dać odpowiednią nauczkę złośliwemu księdzu, w którego słowach tkwiła widoczna ironja, gdy nagle zapragnął, aby Srebrna Rózga miał swoją chwilę triumfu — i postanowił przyjąć propozycję. Przytem Gabrjel czułby się naprawdę szczęśliwy, gdyby mógł przynieść do domu kilka zarobionych groszy. Jego obecność zaciążyła przecież na budżecie Estabana. Skromna pensja jego brata przestała obecnie wystarczać. Estaban musiał żywić chorego, który sam jeden jadł tyle, co reszta rodziny. Srebrna Rózga wiedział, że jedyna nadzieja uzdrowienia polegała na racjonalnem odżywianiu i, pełen troskliwej dobroci, nie zbliżał się nigdy do brata z pustemi rękami. W ostatnich dniach każdego miesiąca Estaban musiał się udawać z prośbą o pomoc do Srebrnej Rózgi i godzić się na jego lichwiarskie warunki. Skrupuły, wypływające z ambicji i miłości własnej, znikały wobec nadziei zarobienia kilku pesetów.

— Nie, nie, jestem pewien, że tego nie zrobisz — zaczął znów Don Antolin drwiącym tonem. — Jesteś zbyt „zielony“ na to, twoja godność zostałaby narażona na szwank, gdybyś musiał nieść Sakrament po ulicach Toledo.

— Jest pan w błędzie — odparł Gabrjel. — Jeśli

chodzi tylko o to, aby chcieć, to ja chcę! Lecz czy człowiek chory tak, jak ja, będzie mógł sprostać zadaniu?

— Niech cię o to głowa nie boli — odparł ksiądz z przekonaniem. — Dwunastu mocnych chłopów będzie pchało wóz. Ty jesteś potrzebny do zaokrąglenia liczby. Każę im, aby cię traktowali z pewnemi względami.

— A więc zgoda! Możesz liczyć na mnie, Don Antolinie! Gdy się nadarzy sposobność, zawsze rad będę zarobić. W tej chwili idę do katedry.

Na szybką decyzję Gabrjela wpłynęła chęć wyjścia na miasto tak, aby nie być przez nikogo widzianym, przejścia się po ulicach Toledo, zwłaszcza, że od czasu zamknięcia się w katedrze, nie był jeszcze na mieście ani razu. Przytem uderzała go paradoksalność tej sytuacji; ateista, druzgocący wszystkie dogmaty religijne, będzie niósł Sakrament na oczach pobożnego, katolickiego tłumu. Niewątpliwie Srebrna Rózga będzie się również cieszył, upatrując zwycięstwo religji w tem, że nawet jej wrogowie niosą Sakrament na swych ramionach.

Ale on, Gabrjel, patrzył na to inaczej. Pod Eucharystycznym wozem będzie reprezentował zwątpienie i negację, ukryte pod zewnętrzną wspaniałością ceremonji, pełnej przepychu, lecz pozbawionej wiary i przekonania. Czyż nie jest to w pewnej mierze symbolem?

Gdy Gabrjel wszedł do katedry, nabożeństwo kapituły było skończone, rozpoczynała się msza. Lud, stłoczony u drzwi zakrystji, szeroko komentował ważne wydarzenie, które zakłóciło święto. Jego Eminencja nie zjawi się na chórze i nie weźmie udziału

w procesji. Mówiono, że prałat był chory; ale służba katedralna uśmiechała się znacząco, wiedząc, że w przeddzień wieczorem chory odbył długi spacer aż do pustelni Nuestra Senora de la Cabeza [39]. Natomiast prawdą było tylko to, że kardynał nie chciał widzieć na oczy kanoników i pragnął wyrazić im swoją pogardę, nie ukazując się na ich czele podczas uroczystości.

Gabrjel przebiegł. przez nawy. Napływ wiernych był dziś znacznie większy, niż każdego innego dnia — a jednak katedra zdawała się być ciągle pusta. Kilka zakonnic w spiczastych, wykrochmalonych kornetach klęczało między chórem a głównym ołtarzem. Pilnowały one uczennic, ubranych w czarne sukienki. Czerwone lub niebieskie wstążeczki przy sukniach oznaczały szkołę, do której uczęszczały. Kilku łysych i otyłych oficerów Akademji wojskowej słuchało mszy, stojąc z czapkami, założonemi na rękojeściach szabel. W tym tłumie ludzkim widać było pensjonarki z kolegjum panien szlacheckiego pochodzenia — młode dziewczątka, prawie dzieci, oraz kobiety w całym przepychu swego rozwoju, patrząc wokół błyszczącemi, jak rozżarzone węgle, oczami. Miały one na sobie czarne, jedwabne suknie i koronkowe mantylki, nasunięte aż po grzebienie, wpięte we włosy. Twarze ich, jak przystało na damy z arystokracji, były mocno uróżowane. Pełne były wyzywającej kokieterji tak, jakby zstąpiły z obrazów Goya'i.

Gabrjel ujrzał swego siostrzeńca, Tato, ubranego jak magnat florencki, w szkarłatną suknię. Uderzał kijem o bruk, aby odpędzić psy. Tato kłócił się z grupą pastuchów. Byli to ludzie ogorzali od słoń-

ca, poskręcani, jak łodygi, w brunatnych płaszczach, sandałach i kamaszach. Kobiety były ubrane w czerwone chustki i pomięte, pocerowane suknie, które wysłużyły się już kilku pokoleniom. Przybyli tutaj ze swych rodzinnych gór, aby zobaczyć święto Bożego Ciała.

Szli teraz wzdłuż naw, pełni zdumienia, przerażeni odgłosem własnych kroków. Ilekroć organy odezwały się głośniej, drżeli całem ciałem, jakby w obawie, aby ich nie wypędzono z tego wspaniałego pałacu, pełnego baśniowych czarów.

Kobiety pokazywały palcami na kolorowe szyby witraży, na rozety portalu, miechy organów i złoconych rycerzy, zdobiących zegar. Stały nieruchomo w osłupieniu, z otwartemi ustami. Perrero, ubrany w czerwony kostjum, wydawał im się księciem i, wzruszeni wspaniałością jego postaci, nie rozumieli, co do nich mówi.

Gabrjel spojrzał przez kraty na chór. Wszystkie miejsca w górnych i dolnych stallach były zajęte. Obok kanoników i beneficjantów znajdowali się tu także księża z kaplicy królewskiej i prebendarze z kaplicy mozarebskiej, z tych dwóch małych kościołków, żyjących swem własnem życiem i cieszących się tradycyjną autonomją wewnątrz katedry.

W pośrodku chóru ujrzał Gabrjel swego przyjaciela, kapelmistrza, wybijającego takt małą, hebanową laseczką. Wokół niego zgrupowali się muzykanci i śpiewacy, których głosy i instrumenty zagłuszały dźwięki organów. Zrezygnowany Don Luis dyrygował jednak dalej.

Na głównym ołtarzu stała *custodia,* dzieło mistrza Villalpando. Była to kapliczka gotycka — połyskująca złotem w blaskach drżących płomieni woskowych świec, kapliczka tak misterna i tak delikatnie wykonana, że za każdym poruszeniem górne jej części drżały, jak kłosy snopów na wietrze.

Powoli przybywali różni dostojnicy, zaproszeni do wzięcia udziału w procesji: panowie z magistratu, ubrani na czarno, profesorowie Akademji w paradnych mundurach, obwieszonych orderami, oficerowie gwardji w mundurach, przypominających mundury z początku XIX stulecia. Między nawami, kołysząc się i skacząc, przechodziły dzieci, ubrane za anioły, anioły à la pompadour, w kaftanikach z brokateli, w czerwonych bucikach, koronkowych żabotach i w czapeczkach z piórami na białych perukach. Skrzydełka z mosiądzu były przyczepione do ramion. Kościół prymasowski, chcąc godnie uczcić święto, nie skąpił tradycyjnych kostjumów. Liberja galowa, którą przybrała służba kościelna, pochodziła z XVIII wieku. Dwaj mężczyźni, przeznaczeni do ciągnienia rydwanu, mieli upudrowane i ufryzowane włosy, czarne spodnie i czarne fraki. Zakrystjanie i stróże kościelni paradowali w białych sztywnych kołnierzach i białych perukach. Ciała tych wszystkich biedaków okrywała brokatela i aksamit.

Główny ołtarz był ozdobiony bezcennemi dywanami, Tanto monta [40] sławnemi suknami królów katolickich, pełnemi emblematów i herbów. Kardynał Cisneros podarował je katedrze. Biskup, odprawiający mszę, i djakoni, którzy mu asystowali, ociekali potem pod starożytnemi, ciężkiemi ornatami i kapami. Były one równie ciężkie i równie niewygodne, jak zbroje.

Zbliżała się godzina rozpoczęcia procesji. Katedra zaczynała się ożywiać, Drzwi zakrystji otwierały się i zamykały z głuchym odgłosem, służba kościelna przechodziła z miejsca na miejsce.

Gdy się skończyła msza, organy zagrzmiały jakiegoś ogłuszającego marsza, coś w rodzaju tańca czerwonoskórych. Tymczasem gotowano się do procesji. Biły dzwony. Orkiestra Akademji wojskowej przestała grać. Słychać było komendę oficerów i suche uderzenia kolb. — To oddział kadetów spuszczał broń do nogi.

Don Antolin ze swą srebną laską i w nieprzemakalnym płaszczu biegał po wszystkich kątach, zbierając służbę kościelną. Spocony i czerwony, zbliżył się do Gabrjela.

— Idź na swoje miejsce. Już czas.

I zaprowadził go przed główny ołtarz, tam, gdzie stała custodia. Gabrjel i dziewięciu innych mężczyzn weszło pod wóz, podnosząc materję, którą przybrane były jego boki. Znalazłszy się we wnętrzu tej klatki, musieli się zgarbić. Ich zadanie polegało na popychaniu wozu, który posuwał się na ukrytych pod materją kołach. Nazewnątrz z przodu i ztyłu wozu szło po dwóch ludzi, w białych perukach i czarnych frakach, kierując dyszlami na krętych, wąskich uliczkach miasta. Gabrjela umieszczono w pierwszym rzędzie — miał uprzedzać towarzyszy, kiedy należy ruszać, a kiedy zatrzymywać się. Wspaniała custodia wznosiła się na platformie. Między nią i wozem znajdowało się próżne miejsce. Przez ten otwór mógł Gabrjel widzieć, co się dzieje nazewnątrz.

— Uwaga! Ruszamy! — rzekł Gabrjel, patrząc na dany sygnał.

I święty wóz potoczył się wolno po pochyłych deskach podłogi, ułożonej na stopniach ołtarza. Za kratą trzeba było wóz zatrzymać. Tłum upadł na kolana. Don Antolin i stróże kościelni zrobili wolne przejście, przez które przeszli kanonicy w długich, czerwonych sukniach, biskup — wikarjusz w złotej mitrze i inni dygnitarze w białych, niczem nie ozdobionych lnianych mitrach. Oni również uklękli przed custodią. Organy zamilkły, a kapłani przy ochrypłym akompanjamencie puzonów zaintonowali hymn na adorację Najświętszego Sakramentu.

Po skończeniu hymnu znów zagrały organy, a wóz z Eucharystją potoczył się dalej. Wokół custodji snuły się białe pasma kadzideł. Custodia drżała od podstawy po sam szczyt. Drżenie to wprawiało w ruch maleńkie, srebrzyste dzwoneczki, zawieszone na gotyckich ornamentach.

Gabrjel szedł z oczyma, utkwionemi w kierowniku. Po piętach deptali mu ludzie, popychający ten wóz, tak podobny do wozów bóstw Indostanu.

Wyszedłszy z katedry przez Puerta Liana, jedyne drzwi, których próg był na poziomie ulicy, mógł Gabrjel objąć wzrokiem całą procesję. Widział kawalerzystów gwardji narodowej, otwierających pochód, doboszów miejskich w czerwieni, dalej krzyże parafjalne, zgrupowane bezładnie dokoła olbrzymiego, ciężkiego krzyża katedry. Środek ulicy był pusty. Po jej bokach ciągnął się nieskończony szereg alumnów i wojskowych ze świecami w rękach. Djakoni poruszali kadzielnicami, obok nich kroczyły rokokowe aniołki, niosące również drogocenne ka-

dzielnice, a dalej szli kanonierzy w wspaniałych kapach historycznych. Obok Najświętszego Sakramentu widać było największych dostojników miasta. Zamykał pochód bataljon kadetów z bronią na ramieniu. Kadeci mieli odkryte krótko-ostrzyżone głowy i szli, kołysząc się lekko.

Na balkonach widniały dywany i materje z Manilla. Na ulicach, między domami, porozwieszano różnokolorowe płachty. Bruk wysypano grubym pokładem piasku, aby wóz z Najświętszym Sakramentem mógł się toczyć łatwiej po ostrych kamieniach.

Tam, gdzie ulice podnosiły się ku górze, custodia posuwała się bardzo wolno. Ludzie, ukryci wewnątrz, oblani strumieniami potu, oddychali ciężko. Uroczystą ciszę pochodu zakłócały rozkazy kanonika, który szedł na czele procesji w czerwonem ubraniu, z pałką w ręku i strofował bez przerwy ludzi, kierujących wozem.

Gabrjel kaszlał. Przytłoczone plecy bolały go bardzo. Mimo wszystko był zadowolony, że wyszedł na ulicę. Ten spacer po drodze publicznej był dla niego prawdziwą rozkoszą. On, który widział największe stolice Europy, zachwycał się teraz wąskiemi uliczkami starego grodu. Śmiał się, myśląc, coby powiedział tłum, pobożnie klęczący, gdyby się dowiedział, kim jest ten człowiek, którego oczy widać z pod custodji. Oficerowie w białych spodniach z czerwonemi wypustkami, z mieczami u boku, eskortujący wóz, wiedzieli z pewnością o istnieniu Gabrjela. Wielu z nich słyszało o nim i zachowało w pamięci jego imię, jako wroga społeczeństwa i państwa. A ów bezbożnik, którego odepchnął cały świat, ten, który schronił się w katedrze, niby ptak

pod jej sklepieniem, prowadził teraz wóz z Najświętszym Sakramentem po ulicach pobożnego miasta.

Custodia powróciła do kościoła prymasowskiego po południu. Po odśpiewaniu ostatnich hymnów księża zrzucili ze siebie pospiesznie ceremonjalne stroje i, nie przywitawszy się nawet z sobą, zaczęli pospiesznie opuszczać kościół. Wielkie święto zmieniło ich zwykły tryb życia. Mieli obiadować później, niż zwykle. Kościół, tak pełen gwaru w godzinach rannych, wyludniał się gwałtownie, zapadając w cień i w ciszę.

Estaban rozgniewał się bardzo, zobaczywszy Gabrjela, wychodzącego z pod wozu z Sakramentem.

— Zabijesz się... podobna praca jest ponad twoje siły. Cóż za kaprys strzelił ci do głowy? — Gabrjel uśmiechnął się. — Tak, był to kaprys, ale nie żałował bynajmniej tego, co się stało. Przeszedł przez całe miasto, nie będąc widziany, a zarobił na dwa dni życia.

Drewniana Rózga rozrzewnił się.

— Drogi bracie, czyż wymagam od ciebie, abyś pracował zarobkowo? — pragnę tylko, żebyś był zdrów i żył spokojnie.

I, jak gdyby chcąc odpłacić Gabrjelowi za jego poświęcenie, zrobił ze siebie ofiarę, która wzruszyła brata. Uśmiechnął się do córki, wszedłszy na Claverias, i rozmawiał z nią podczas śniadania.

Po południu Górny klasztor był prawie pusty. Don Antolin zszedł ze swemi kwitarjuszami na dół, ciesząc się, że tylu cudzoziemców nań oczekuje. Tato i dzwonnik, ubrani odświętnie, wymknęli się z katedry przez schody Wieży, aby być obecnymi na

walce byków. Sagrario, spędzająca dzień bezczynnie z powodu święta, bawiła u szewca. Podczas kiedy mąż pokazywał olbrzymów żołnierzom i wieśniakom, siostrzenica Gabrjela pomagała jego żonie reperować łachmany zbyt licznej rodziny.

Kiedy kapelmistrz i Estaban udali się na chór, Gabrjel wyszedł do Górnego klasztoru, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Wtem zjawił się Don Antolin, pobladły ze wzruszenia, trzymając pęk kluczy w ręku.

— Jego Eminencja przybył do nas — rzekł do Gabrjela przerywanym głosem. — Przeszedł właśnie pod arkadami. Chce popołudniu odpocząć w ogrodzie. Także kaprys! Mówią, że jest dzisiaj w zabójczym humorze!

Pozostawszy sam na galerji, Gabrjel ukrył się za jedną z kolumn, aby obserwować z oddali tego strasznego księcia Kościoła, którego widzieć miał poraz pierwszy.

Niebawem ukazał się kardynał w towarzystwie dwóch domowników. Był olbrzymiego wzrostu i, mimo podeszłego wieku, trzymał się prosto. Złoty krzyż zwisał na czarnej sutannie, ozdobionej czerwonemi obszywkami. Opierał się na lasce — z marsową miną, a złote frędzle kapelusza spadały na nagi kark o różowej, pokrytej siwym włosem, skórze.

Świdrował na wszystkie strony małemi, przenikliwemi oczyma, jakby chciał przekonać się, czy nie popełniono jakiegoś uchybienia i przekroczenia ogólnie obowiązujących przepisów. W tym wypadku mógłby wybuchnąć gniewem i ulżyć swemu złemu humorowi.

Kardynał znikł na klatce schodowej Tenorio. Po-

przedzał go Don Antolin, który, otworzywszy kratę, czekał na rozkazy, drżąc ze strachu. Potem zapanowała cisza na Claverias.

Gabrjel, wsparty o barjerę, widział kardynała, wchodzącego do Dolnego klasztoru. Jego Eminencja, przeszedłszy przez dwie galerje, stanął u ogrodowej furtki. Tu milczącym gestem wstrzymał towarzyszących mu ludzi i sam przez środkową aleję skierował się ku małej altance. Tomasa, oparta o pokrytą bluszczem ścianę, drzemała, trzymając na kolanach nawpół zrobioną pończochę. Szmer kroków obudził ją. Zobaczywszy kardynała, zawołała ze zdziwieniem.

— Jego Eminencja tutaj?...

— Chciałem cię odwiedzić — odpowiedział kardynał z dobrodusznym uśmiechem, siadając na krześle. — Czy tylko ty masz zawsze mnie odwiedzać? Teraz moja kolej, przyszedłem do ciebie! — Zagłębił rękę w fałdy sutanny, wydobył złotą papierośnicę, wyjął papierosa i zapalił go. Wyciągnął nogi z satysfakcją człowieka, który przyzwyczaił się narzucać swoją wolę ludziom, marszcząc nieustannie brwi i robiąc surowy wyraz twarzy, i który na chwilę może zapomnieć o swojej powadze.

— Czy Jego Eminencja nie był chory? Chciałam właśnie pójść do pałacu, aby od Donia Visitacion dowiedzieć się nowin.

— Cicho bądź, głupia! Nigdy nie czułem się lepiej, niż dzisiaj rano. Afront, który zrobiłem tym ludziom, nie przyjmując udziału w dzisiejszej uroczystości, wprowadził mnie w doskonały humor. Nie chciałem się z nimi stykać. Przyszedłem odwiedzić ciebie, aby lepiej zamanifestować swoje intencje.

Będą wiedzieli, że czuję się dobrze, że moja choroba była tylko pretekstem. Arcybiskup nie przyszedł na chór, aby nie spotkać się z kanonikami, których unika nie przez dumę, lecz przez poczucie godności. Nie zawahał się jednak opuścić swego pałacu, aby złożyć wizytę swej starej przyjaciółce, ogrodniczce.

I ów wielki człowiek, wzbudzający wszędzie postrach, cieszył się teraz, jak dziecko, myśląc o przykrości, jaką ta jego wizyta sprawi członkom kapituły.

— Nie sądź jednak, Tomaso, że tylko taki był powód moich odwiedzin. Nudziłem się bardzo. Visitacion zajęta jest swemi przyjaciółkami z Madrytu. Chwycił mnie paroksyzm gniewu, jak zawsze, gdy pomyślę o przyszłości. Chciałem cię zobaczyć — przytem przypomniałem sobie, że ogród katedralny tchnie taką świeżością. Za tym parkanem upał jest straszny. Ach, Tomaso, jak ty dobrze wyglądasz! Trzymasz się daleko lepiej, niż ja. Nie zestarzałaś się, jak ten grzesznik, który teraz z tobą rozmawia. Nie masz trosk, spędzających ci sen z powiek. Włosy twoje są czarne, zęby zdrowe, nie masz, jak ja, sztucznej szczęki w ustach. Pomimo to, Tomaso, jesteś równie stara, jak ja.

Dobroć Stwórcy względem nas jest niezmierzona, to prawda, jednakże niewiele lat pozostaje nam jeszcze do życia. Och, gdybym mógł powrócić do tych czasów, gdy w krótkiej, czerwonej sutannie przychodziłem do twego ojca, zakrystjana, lub przemocą wydzierałem ci z rąk śniadanie. Pamiętasz, Tomaso?

Dwoje staruszków zapominało zupełnie o różnicy dzielącego ich stanowiska społecznego i, pełni bra-

terstwa istot, zmierzających już ku śmierci, wskrzeszali wspomnienia dzieciństwa. Wokół nich nic się nie zmieniło — ani ogród, ani klasztor, ani katedra, Kardynał, rozejrzawszy się po otaczających go przedmiotach, mógł myśleć, że jest jeszcze monaquillem z przed pięćdziesięciu lat. Myśl jego, niesiona przez niebieskie kółka tytuniowego dymu, płynęła w dal, ku przeszłości...

— Pamiętasz, jak ojciec twój wyśmiewał się ze mnie? Czem chciałbyś zostać? — zapytywał mnie. A ja odpowiadałem z uporem: — arcybiskupem toledańskim. Wtedy zaczynał żartować i mówił: — Ten mały jest Sykstusem V! — Kiedy zostałem biskupem, przypomniałem sobie jego drwiny. Żałowałem bardzo, że umarł. Byłby napewno płakał z radości, widząc, że mały chłopiec z chóru przywdział mitrę biskupią. Lubiłem zawsze twoją rodzinę. Jesteście dzielni ludzie! Dzięki wam nieraz unikałem głodu.

— Proszę nie mówić takich rzeczy, Eminencjo. To ja powinnam dziękować ci za twoją dobroć i prostotę. Zajmujesz przecież pierwsze miejsce po papieżu!

I staruszka dodała z entuzjazmem:

— Zresztą trzeba przyznać, że Jego Eminencja nic na tem nie straci. Takich przyjaciół, jak ja, często się nie spotyka. Otaczają cię sami pochlebcy i łotrzy, tak zresztą, jak wszystkich wielkich tego świata. Gdybyś był biednym proboszczem wiejskim, który odprawia skromną mszę i jada jeszcze skromniejszy obiad, niktby o ciebie nie dbał; tylko Tomasa pozostałaby taka sama, gotowa na wszystkie usługi. Lubię cię dlatego, że jesteś prosty i miły.

Gdybyś był równie dumny i wyniosły, jak tylu innych biskupów, pocałowałabym twój sygnet i nie chciałabym mieć więcej nic z tobą do czynienia. Kardynał niech siedzi w swym pałacu, a ogrodniczka — w ogrodzie.

Arcybiskup odpowiedział uśmiechem na szczere wyznanie staruszki:

— Dla mnie byłeś zawsze Don Sebastianem. Kiedyś mi zapowiedział, że nie wolno nazywać cię Eminencją i zwracać się do ciebie z tytułami, jakich używają inni, zrobiłeś mi większą przyjemność, niż gdybyś mi podarował płaszcz Dziewicy z Sanktuarjum. Te tytuły męczyłyby mnie. Miałabym ochotę krzyknąć: „Dajcie mi spokój z tą Jego Eminencją! przecież, gdy był chłopcem, ciągnęłam go za włosy". Miałeś wtedy prawdziwie rozbójnicze skłonności. Ujrzawszy w mem ręku kawałek chleba, brzoskwinię, lub inny przysmak — wyrywałeś mi je gwałtem.

— Dopiero, gdy odebrałeś pierwsze święcenia, zaczęłam się odnosić do ciebie z szacunkiem. Nie mogłam tykać księdzu, tak jak się tyka pierwszemu lepszemu chłopcu z chóru.

Dwoje starców pogrążyło się w milczeniu. Oczy ich z rozrzewnieniem błądziły po ogrodzie, tak jakby każde drzewo i każde sklepienie łuku nasuwało im jakieś wspomnienie.

— Wiesz, co mi teraz przyszło na myśl? — rzekła nagle Tomasa. — Przypomniałam sobie ów dzień, gdyśmy się widzieli wówczas w tym ogrodzie. Ubiegło już dużo czasu od tej chwili, przynajmniej pięćdziesiąt lat. Byłam z moją biedną starszą siostrą, tą, która wyszła za ogrodnika Lunę. Mój przyszły mąż znajdował się tutaj, w klasztorze. Nagle ujrzałam,

jak do altany wchodzi piękny żołnierz z galonami wachmistrza. Ostrogi dźwięczały głośno. Na głowie miał kask z kitą, jaki mają żydzi z Monumento. To byłeś ty, Don Sebastjanie! Przybywszy do Toledo, aby odwiedzić wuja, nie mogłeś odjechać, nie zobaczywszy się z przyjaciółką, Tomasą. Byłeś wówczas ślicznym chłopcem. Nie mówię tego, aby ci schlebiać. Wyglądałeś na zdobywcę kobiet. Pamiętam, że powiedziałeś kilka pochlebnych słów o mojej urodzie. Wspomnienia te nie sprawiają ci przykrości — nieprawdaż? Były to galanterje ze strony żołnierza. Czegóż to wówczas nie wygadywałeś, Don Sebastjanie. Po twojem odejściu, szwagier zauważył: „porzucił na zawsze sutannę. Wujowi nie uda się zrobić z niego kapłana".

Kardynał uśmiechnął się z dumą na wspomnienie eleganckiego podoficera dragonów.

— Było to szaleństwo młodości — zauważył. — W Hiszpanji istnieją tylko trzy możliwości: służba wojskowa, Kościół lub sukienka zakonna. Krew kipiała mi w żyłach i dlatego wybrałem karjerę wojskową. Miałem jednak nieszczęście, że wówczas był pokój. Widoki na awans były znikome. Aby nie zatruwać wujowi ostatnich lat jego życia, posłuchałem się jego rady i powróciłem do Kościoła. Wszędzie i zawsze można służyć Bogu i ojczyźnie. Ale wierz mi, że, nosząc na sobie purpurę kardynała, nieraz myślę z zazdrością o dragonie, któregoś wówczas widziała. Szczęśliwe to były czasy. Szabla ma zawsze dla mnie urok. Kiedy widzę przechodzących kadetów, wydaje mi się, że z chęcią oddałbym pastorał i mitrę za kepi i miecz. Prawdopodobnie byłbym lepszym od nich żołnierzem! Ach, gdybym żył

w epoce, gdy prałaci walczyli z Maurami. Zasłużyłbym sobie na przydomek „wielkiego".

I Don Sebastian wyciągnął ramiona, dumny z tej resztki sił, która mu pozostała.

— Był pan zawsze mężczyzną — rzekła ogrodniczka. — Przypominałam o tem nieraz tym księżynom, ośmielającym się krytykować kardynała:

— Nie drażnijcie Jego Eminencji, gdyż jest on zdolny wejść któregoś dnia na chór i rozpędzić was na cztery wiatry — zarówno przyjaciół, jak i wrogów.

— Istotnie, chciałem niejednokrotnie postąpić w ten sposób — rzekł kardynał z błyskiem energji w oczach. — Lecz wstrzymałem się przez wzgląd na moje stanowisko i suknię kapłańską. Winienem być pasterzem stada, a nie okrutnym wilkiem, przerażającym jagnięta. Jednakże przychodzą chwile, gdy tracę cierpliwość i panowanie nad sobą. Niech Bóg mi wybaczy mój gniew, ale niewiele brakuje, bym podniósł laskę i skarcił te zbuntowane owieczki, mające w katedrze swoją owczarnię.

Don Sebastjan ożywił się, mówiąc o swej walce z kapitułą. Wspomnienie o tak wrogo dlań usposobionych podwładnych zakłóciło jego spokój. Zwierzanie się ze swych zmartwień przed starą przyjaciółką sprawiało mu ulgę.

— Nie masz pojęcia, Tomaso, ile musiałem wycierpieć przez tych ludzi. Pragnąłem poddać ich autorytetowi swej władzy, ponieważ byłem i jestem ich zwierzchnikiem, ponieważ winni mi są posłuszeństwo w imię dyscypliny, bez której zginie Kościół i religja. Oni jednak nie słuchają mnie. Niechętnie wypełniają moje rozkazy, a kiedy chcę im

narzucić moją wolę, byle księżyna stawia się hardo, odwołuje się do duchownego trybunału, lub do papieża. Czy jestem, czy nie jestem ich zwierzchnikiem? Czy pasterz pyta się o zdanie swoich owieczek? Czy się ich radzi, skoro je chce wyprowadzić na drogę właściwą? Męczą mnie i zniechęcają do siebie ciągłemi skargami i kłótniami.

Na palcach można policzyć uczciwych ludzi; wszystko to warchoły i tchórze. W mojej obecności schylają czoła, uśmiechają się słodko, pieją hymny na cześć Jego Eminencji, ale, gdy tylko odwrócę się plecami, zamieniają się w kąsające żmije, w skorpjony, których żądło zagraża wszystkiemu. Ach, Tomaso, zlituj się nade mną! Na myśl o ich niegodziwości krew mnie zalewa!

— Nie trzeba się tak przejmować! Jesteś ponad nimi, nakażesz im posłuch!

— Oczywiście, że ich poskromię, przecież oni mnie nie pokonają. Tylko tegoby brakowało! W gruncie rzeczy intrygi tych plotkarzy niewiele mnie wzruszają. Wiem, że wkońcu ugnę tych wszystkich nędzników do mych stóp. Jakie oni mają jednak języki, Tomaso! Wyplatują niestworzone rzeczy o istocie, którą kocham najbardziej ze wszystkich. Oto, co mnie rani!

Tu zbliżył się do ogrodniczki i rzekł szeptem:

— Znasz moją przeszłość lepiej, niż ktokolwiek. Opowiedziałem ci ją, ponieważ żywię do ciebie bezgraniczne zaufanie. Nie jesteś głupia i, czego nie wiesz, tego się domyślasz. Mówiłem ci, kim jest dla mnie Donia Visitacion, wiesz również, co ci nędznicy mówią o niej. Nie udawaj, wiesz o tem dobrze. Wszyscy, nietylko w katedrze, ale nawet w mieście

wiedzą o tych oszczerstwach, a wielu im wierzy. Ja natomiast muszę milczeć, gdyż ta sukienka nie pozwala mi powiedzieć prawdy.

I skurczonemi palcami jął miąć sutannę, jakby pragnął ją porwać na kawałki. Nastała chwila ciszy. Don Sebastjan wbił w ziemię surowy wzrok, zacisnął pięści, jakby chciał rzucić się na niewidzialnego wroga. Od czasu do czasu chwytały go zwykłe bóle. Z piersi wyrywały się bolesne westchnienia.

— Dlaczego myślisz o tych przykrych rzeczach? — zapytała ogrodniczka. — Szkodzisz tylko swemu zdrowiu. Jeśli poto tu przyszedłeś, lepiej było pozostać w domu!

— Nie, rozmowa z tobą sprawia mi ulgę. Pocieszam się, zwierzając się przed tobą z moich trosk. Kiedy pozostanę sam w pałacu, wpadam w rozpacz. Wściekłość mnie dławi. Obawiam się, aby domownicy nie zobaczyli mnie w takim stanie. Śmieliby się ze mnie! Pragnę, aby biedna Visitacion nie dowiedziała się o niczem. A tak niezręcznie gram komedję. Nie umiem udawać wesołego, kiedy jestem smutny i zły. Całe piekło jest w moich piersiach. Nie móc wyznać, że jestem mężczyzną, że, jako istota z ciała i krwi, byłem słaby, że mam przy sobie owoc mego błędu i że, mimo wszystkich oszczerstw, jakie mnie ścigają, nie chcę się z nim rozłączyć. Każdy postępuje zgodnie ze swemi zasadami — ja chcę być uczciwy, mimo moich grzechów. Mógłbym zapomnieć o córce, porzucić ją, jak tylu ojców porzuca swoje dzieci! Jestem człowiekiem i szczycę się tem, człowiekiem, pełnym wad i cnót, jak wszyscy ludzie. Uczucie ojcowskie jest silnie rozwinięte we mnie. Raczej stracę mitrę, niż porzucę córkę. Z tej

tak już odległej przeszłości, z najszczęśliwszego okresu mego życia pozostała mi tylko Visitacion. Jest żywym portretem ukochanej zmarłej. Ubóstwiam ją. To moje wątłe szczęście szarpią kalumnje tych łajdaków. Czyż nie należałoby nauczyć ich rozumu?

I poddając się czarowi wspomnień o tej idylli, z czasów episkopatu w Andaluzji, opowiedział raz jeszcze Tomasie o stosunku, wiążącym go z pewną kobietą, stroniącą od świata. Zbliżył ich do siebie mistycyzm; lecz natura prędko upomniała się o swoje prawa i mistyczna przyjaźń zamieniła się w namiętność cielesną. Byli sobie wierni, kochali się, zachowując wszystkie ostrożności, aby nie zdradzić się ze swoją miłością. Wreszcie kochanka umarła, pozostawiwszy mu córeczkę. Plotki, krążące po kapitule z powodu obecności tej córki w pałacu arcybiskupim, wyprowadzały Don Sebastjana z granic cierpliwości.

— Myślą, że jest moją kochanką — mówił z gniewem. — Moja biedna Visitacion, tak czysta i taka dobra dla wszystkich, jest według tych nędzników kobietą upadłą. Kochanka, którą odebrałem dla rozpusty z kolegjum szlachetnie urodzonych panien! Tak jakbym w moim wieku, będąc poważnie chory, mógł myśleć jeszcze o takich rzeczach. Och, niegodziwcy, łotry! Popełniają zbrodnię, aby zemścić się na mnie za swoje drobne przykrości.

— Niech sobie mówią. Bóg, który jest w niebie, widzi nas wszystkich.

— Wiem o tem, ale to mi nie może powrócić spokoju. Ty, Tomaso, która sama jesteś matką, wiesz, co to jest miłość rodzicielska. Boli nas nietylko to, co im się złego robi, lecz i te złe słowa, któ-

re się o nich mówi. — Och, jak ja cierpię! Od dziecka marzyłem, aby stać się tym, kim jestem. Patrząc na tron na chórze, myślałem, jak pięknie byłoby zasiąść tam w purpurze księcia Kościoła. Tak się też stało. Jestem arcybiskupem, jestem kardynałem, nie powinienem już niczego chcieć. Niestety, szczęście ucieka od nas, jak ów słup ognisty przed Hebrajczykami. Zdaje się nam często, że już, już zbliżamy się doń, tymczasem jest ono nieuchwytne. Jestem obecnie tysiąc razy bardziej nieszczęśliwy, niż byłem wówczas, kiedy wywalczałem sobie stanowisko i kiedy uważałem się za najnieszczęśliwszego z ludzi. Młodość moja przeminęła już dawno. Nie mogę się bronić na tych wyżynach, na które się wzniosłem, i gdzie ścigają mnie spojrzenia wszystkich.

Miej litość nade mną, Tomaso, gdyż jestem godzien litości! Być ojcem i ukrywać się ze swem ojcostwem, jak ze zbrodnią! Kochać swoją córkę miłością, która wzrasta w miarę, gdy się zbliżam do śmierci, i widzieć, że to czyste uczucie biorą za obrzydliwą namiętność!

Straszne oczy Don Sebastjana, te oczy, które napełniały trwogą całą diecezję, napełniły się łzami.

— Mam jeszcze inne troski — ciągnął dalej. — Obawiam się przyszłości. Po mojej śmierci córka moja otrzyma wszystko, co posiadam; stanie się bardzo bogata. Wrogowie moi nazywają mnie skąpcem. Nie jestem skąpy, tylko przewidujący i oszczędny. Chciałbym zabezpieczyć byt tej, którą kocham. Zebrało się dość wiele: pastwiska w Estramadurze, winnice w La Mancha, różne nieruchomości, a przedewszystkiem papiery procentowe, wiele papierów procentowych. Jako dobry Hiszpan, lubię pomagać

memi pieniędzmi rządowi pod warunkiem, żeby pieniądze te przynosiły mi dobry dochód. Nie umiem dokładnie obliczyć mego majątku; być może, że posiadam dwadzieścia miljonów reali, a może i więcej.

Wszystko to są moje oszczędności, powiększone przez szczęśliwe operacje. Nie mogę uskarżać się na los. Przytem Bóg mi pomagał. Majątek ten całkowicie będzie należał do Visitacion. Moją jedyną radością byłoby wydanie jej zamąż za jakiego uczciwego człowieka. Ona jednak nie zgadza się rozstać ze mną. Jest zbyt religijna — i to mnie napełnia niepokojem. Nie dziw się, Tomaso, że ja, dostojnik Kościoła, obawiam się tej pobożności. Lubię, kiedy kobieta ma uczucie religijne, nieznoszę jednak bigotek, którym jest dobrze tylko w kościele. Kobieta powinna żyć, kochać i zostać matką. Miałem zawsze złe pojęcie o zakonnicach.

— Nic w tem dziwnego, że kocha Kościół — rzekła ogrodniczka. — Wychowana w tem środowisku, niema żadnych światowych upodobań. Nie niepokój się, Don Sebastjanie.

— Nie obawiam się o dzień dzisiejszy. Mieszka przy mnie i czuwam nad nią. Ale mogę umrzeć jutro, i moja Visitacion, pozostawszy sama ze swemi miljonami, może sobie nie dać rady w życiu. W dodatku ta skłonność do dewocji. Spryciarze umieją to wykorzystać. Widziałem w swem życiu wiele, należę do stanu duchownego i wiem, jak się to robi. Istnieją dzisiaj kongregacje religijne, których zadaniem jest polowanie na spadki, naturalnie ku większej chwale Pana. Drżę na myśl, że moja biedna córka mogłaby wpaść w ich sidła. Jestem katolikiem starej daty, katolikiem kastylijskim, stroniącym od

różnych nowoczesnych, cudzoziemskich nowinek. Byłoby mi przykro na myśl, że przez całe życie oszczędzałem po to, aby moim majątkiem podzielili się jezuici lub jakieś siostry w wielkich kapturach, nie umiejące nawet mówić po hiszpańsku. Nie chcę, by z memi pieniędzmi stało się to, co z pieniędzmi przysłowiowego zakrystjana [41]. Walka z temi kanaljami sprawia mi wiele przykrości, lecz prócz tego cierpię jeszcze z powodu słabości charakteru mojej córki.

Umilkł, pogrążywszy się w czarne rozmyślania. Po chwili odezwał się znów tonem imperatywnym:

— Zobaczymy, kto będzie górą! Ale ty, która znasz mnie tak dobrze, powiedz, czy rzeczywiście jestem tak zły, jak mówią moi nieprzyjaciele? Czy zasłużyłem na karę, jaką mi Bóg zesłał? Jesteś zacną, czystą i szlachetną kobietą. Instynktem serca odczuwasz te rzeczy lepiej, niż doktorowie teologji.

— Pan jest zły, Don Sebastjanie? Nigdy, przenigdy! Jesteś takim mężczyzną, jak inni. Wart jesteś przytem daleko więcej, niż inni, ponieważ nie masz w sobie fałszu, ani hipokryzji.

— Tak, masz rację, jestem mężczyzną. Jestem mężczyzną, podobnym do innych mężczyzn. Ci z pośród nas, którzy stają na wyżynach, jak święci, ustawieni na fasadach kościołów, podziwiani zdaleka, wydają się piękni. Zbliska są brzydcy brzydotą kamieni, stoczonych przez czas. Możemy wydawać się świętymi tylko zdaleka — nasze otoczenie będzie jednak zawsze wiedziało, że jesteśmy ludźmi z krwi i ciała. Niebrak oczywiście wśród kleru i takich, którzy zdołali się wyzwolić z namiętności ludzkich. Ale nie wiemy przecież, czy tej małej liczby wybrańców nie gnębi demon pychy, czy nie marzą oni o tem, aby kosztem ascetycznego życia zdobyć pośmiertną sławę i zasłużyć sobie na posągi. Przytem ksiądz, który zdołał poskromić swój temperament, prawie zawsze robi się sknerą. Ja nie przez chciwość zbierałem pieniądze — chciałem, aby moja córka stała się bogata.

Nastała znów chwila ciszy. Don Sebastjan pogrążył się w zadumę. Po chwili zaczął znowu:

— Myślę jednakże, że, gdy wybije ostatnia godzina, Bóg mnie nie odtrąci. Jego nieskończone miłosierdzie większe jest przecież, niż wszystkie małostki naszego życia. Jakaż jest moja zbrodnia? Kochałem ją tak, jak mój ojciec kochał moją matkę i miałem z nią dziecko, tak jak je miało wielu świętych i apostołów. Celibat kapłanów jest wynalazkiem ludzkim, regułą, nakazaną przez sobory, podczas gdy ciało i jego wymagania są dziełem Boga. Myśl, że zbliżam się do śmierci, przeraża mnie; nieraz w nocy drżę i wątpię. Jednak służyłem Stwórcy, jak mogłem. Gdybym żył w dawnych czasach, broniłbym Go mieczem, walczyłbym z heretykami. Dzisiaj jestem księdzem i walczę dla Niego z bezbożnością mego wieku. Tak. Bóg przebaczy mi i przyjmie mnie do swojej chwały. Powiedz mi, Tomaso, ty, która pod twardą skorupą masz serce anioła — czy stanie się tak, jak ja mówię?

Ogrodniczka uśmiechnęła się, a słowa jej przerwały ciszę zachodzącego dnia.

— Uspokój się, Don Sebastjanie. Znałam w tej katedrze wielu kandydatów na świętych, ale wszyscy oni byli mniej warci od ciebie. Porzucali swoje potomstwo, aby zasłużyć sobie na zbawienie, po-

święcali swoje rodziny, aby ocalić to, co nazywali czystością duszy.

Możesz mi wierzyć: prawdziwych świętych tutaj niema, są tylko ludzie, tylko ludzie. Nie należy żałować, że się poszło za porywem serca. Bóg stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje i nie nadarmo dał nam uczucia rodzinne. Reszta, jak celibat, czy czystość cielesna, jest wymyślona przez księży dla odróżnienia siebie od innych ludzi. Ale ty, Don Sebastjanie, bądź człowiekiem, a im bardziej nim będziesz, tem się lepszym staniesz i chętniej przyjmie cię Bóg do swojej chwały!

IX.

W kilka dni po święcie Bożego Ciała don Antolin zbliżył się do Gabrjela i z uśmiechem na ustach przemówił do niego tonem łaskawie protekcjonalnym:

— Myślałem o tobie całą noc. Współczuję ci bardzo, że jesteś stale bezczynny. To ta bezczynność właśnie podsunęła ci z pewnością idee wywrotowe.

...A więc — zakończył Srebrna Rózga — może zgodziłbyś się codzień po południu schodzić wraz ze mną do katedry i pokazywać zwiedzającym Skarbiec i inne ciekawe rzeczy. Przychodzi tam wielu cudzoziemców, których pytań nie jestem w stanie zrozumieć. Ty z pewnością rozumiesz ich mowę — mówisz po francusku, po angielsku — znasz wiele języków. Gdy cudzoziemcy dowiedzą się, że mamy kogoś, kto może się z nimi rozmówić — Katedra zarobi na tem wiele. Oddasz nam wielkie usługi — i sam nic na tem nie stracisz. Będziesz miał w każ-

dym razie pewną rozmaitość... A co do wynagrodzenia...

Don Antolin podrapał się z zakłopotaniem po głowie:

— Postaram się wygrzebać coś z funduszy katedralnych. Jeżeli to nawet nie będzie narazie możliwe — załatwi się to później trochę.

I, utkwiwszy niepewny wzrok w Gabrjelu, don Antolin wyczekiwał odpowiedzi. Gabrjel zgodził się — był przecież gościem Kościoła, obowiązywała go więc pewna wdzięczność.

Odtąd Gabrjel codziennie w porze nieszporów opowiadał cudzoziemcom historje zabytków katedry.

Grupy turystów, zaopatrzone przez don Antolina w małe zielone, czerwone lub białe papierki, czekały, aby podziwiać osobliwości katedry. Srebrna Rózga widział we wszystkich zwiedzających lordów lub książąt — dziwił go też niekiedy widok ich skromnych ubiorów. Według niego tylko wielcy tego świata mogli sobie pozwolić na przyjemność podróżowania. Otwierał też ze zdumienia i niedowierzania szeroko oczy, gdy Gabrjel upewniał go, że wielu z nich było szewcami z Londynu, lub kupcami z Paryża, którzy urządzili sobie podczas urlopu przyjemną wycieczkę do starożytnego kraju Maurów.

Pięciu kanoników w komżach, każdy z kluczem w ręku, posuwało się wzdłuż naw — byli to stróże Skarbca. Każdy z nich otwierał zamek, powierzony jego pieczy; drzwi uchylały się ciężko na zawiasach, i ukazywała się oczom ciekawych kaplica, zapełniona wiekowemi skarbami. Za olbrzymiemi, niby

w muzeach, witrynami widać było starożytne bogactwa katedry: masywne srebrne posągi, olbrzymie kule, ozdobione wytwornemi figurkami — wszystko to zrobione z drogich kruszców; puzderka z kości słoniowej, misternie rzeźbionej, zasłony cudne i złote monstrancje, wielkie pozłacane misy o wytłaczanych scenach mitologicznych, z których tryskała pogańska wesołość na ten ponury zakątek chrześcijańskiej świątyni. Na kapach, na mitrach, na sukniach N. Marji Panny klejnoty lśniły całą gamą przepysznych barw. Były tam djamenty tak wielkie, że nasuwały się podejrzenia co do ich prawdziwości, szmaragdy tak ogromne, jak jaja kurze, ametysty, topazy i perły — przedewszystkiem perły, których setki, tysiące spływały na podobieństwo kulek gradu z sukien Matki Bożej.

Cudzoziemcy zdumiewali się tem nadzwyczajnem bogactwem; ale na Gabrjelu, dla którego był to widok codzienny, Skarbiec nie wywierał już żadnego wrażenia.

Klejnoty te podlegały procesowi starzenia się wraz z katedrą — znikał powoli ich pierwotny blask. Djamenty straciły swoje ognie, złoto — połysk, srebro poczerniało, perły stawały się matowe, martwe. Dym świec i atmosfera grobowa położyły na wszystkiem swoją smutną patynę.

Po obejrzeniu skarbca zwiedzano *Ochavo* — rodzaj panteonu relikwij, gdzie pokazywano w srebrnych i złotych urnach grozę budzące ludzkie szczątki, trupie czaszki o ohydnym uśmiechu olbrzymich zębów, wyschnięte piszczele, spróchniałe i stoczone przez robaki kręgosłupy.

Gabrjel tłumaczył cudzoziemcom słowo po słowie objaśnienia don Antolina i z ironiczną powagą powtarzał je po dwadzieścia razy, podczas gdy ogłupiali kanonicy, którzy oprowadzali wycieczki, trzymali się nauboczu, aby uniknąć pytań.

Pewnego dnia jakiś flegmatyczny Anglik zapytał tłumacza:

— Czy niema tu przypadkiem pióra ze skrzydła Michała Archanioła?

— Z przykrością powiedzieć muszę, że nie — rzekł Gabrjel równie poważnie, jak Anglik. — Ale ta relikwja znajduje się z pewnością w innej katedrze. My nie możemy przecież mieć wszystkiego!

W sali kapituły, gdzie styl arabski łączył się z gotyckim, zwiedzający podziwiali malowane na murze dwa rzędy portretów, przedstawiających arcybiskupów Toledo — każdego z mitrą na głowie i pastorałem w ręku. Gabrjel zwracał głównie uwagę zebranych na don Cerebruno, średniowiecznego prałata, nazwanego tak dla jego wielkiej głowy.

Ale najwyższy podziw cudzoziemcy okazywali na widok Ubieralni. Była to komnata, zastawiona obszernemi skrzyniami i szafami ze starego drzewa, nad któremi wisiały wielkie obrazy, pokryte kurzem i pełne dziur — kopje dzieł malarzy flamandzkich.

Stały tu rzędem stare fotele katedralne: niektóre w stylu hiszpańskim — surowe, o kątach prostych, obrzeżone postrzępioną frendzlą; inne w stylu greckim — z wygiętemi łukowato nóżkami, inkrustowane bogato kością słoniową.

Kapy i ornaty leżały ułożone starannie podług barw — ze stułami, odłożonemi nabok, aby można było podziwiać ich wspaniałe hafty. Dzięki cudownej harmonji kolorów, cały świat kształtów zdawał

się żyć na tych kilku łokciach tkaniny. Zdumiewający artyzm dawnych hafciarzy nadawał jedwabiom żywość malowideł. Artyście wystarczał wąski pasek stuły lub kołnierz kapy, aby pomieścić na nim sceny stworzenia świata lub męki Chrystusowej. Jedna kapa była jakby ogrodem krwawych goździków, na innych były wyhaftowane kosze róż, lub fantastyczne kwiaty o wyrazistych pręcikach i płatkach błyszczących, jak z emalji.

Zakrystjanie wyciągali z głębi szaf słynne obrusy na ołtarze, ułożone porządnie na deseczkach, podobne raczej do grubych ksiąg w oprawach płóciennych lub drewnianych. Na każde uroczyste święto przeznaczony był specjalny obrus. Na świętego Jana — wesoły, śmiejący się, jak kwiat werweny, z złotemi jagniątkami i pucułowatemi aniołkami, igrającemi z kiściami czarnych winogron. Na najstarszych haftach o tonach wyblakłych i łagodnych ogrody były zielonawe, fontanny błękitne, a zwierzęta, które z nich piły wodę, miały barwę wypełzłej czerwieni.

Turystów wprawiało w podziw to ogromne bogactwo materyj, stanowiących własność katedry, która, posiadając niegdyś miljonowe dochody, zatrudniała całą armję hafciarzy, skupowała z Walencji i Sewilli najcieńsze płótna, by na nich złotemi i barwnemi nićmi haftować sceny z Nowego i Starego Testamentu i obrazy katuszy męczenników. — Słynne legendy Kościoła uwieczniano igłą na płótnie w owej epoce, gdy nie można ich było jeszcze unieśmiertelnić w druku.

Wieczorami Gabrjel, zmęczony chodzeniem po kościele, wracał do Górnego Klasztoru. Początkowo

oglądanie nowych twarzy, stykanie się z nowymi ludźmi sprawiało mu przyjemność. Lecz po upływie pewnego czasu zaczęło mu się wydawać, że wszyscy ci ludzie są do siebie podobni. Wiecznie te same Angielki ze swoją rezerwą i chłodnym wyrazem twarzy, zawsze te same pytania, przeciągłe „och!“ — konwencjonalnego zachwytu i aroganckie odwracanie się plecami, kiedy już nic więcej nie było do obejrzenia.

Kiedy Gabrjel po całodziennem oglądaniu bogactw powracał do klasztoru, nędza Claverias wydawała mu się jeszcze więcej odpychająca. Miał wrażenie, że szewc jest coraz bardziej żółty i coraz smutniejszy w swej izbie na poddaszu. Żona jego, nieszczęśliwa ofiara macierzyństwa, stała się jeszcze bardziej wątła i wynędzniała z głodu. Karmiła biedne, chude niemowlę wyschłą piersią, w której nie było ani kropli mleka.

Dni dziecka były policzone według słów Sagrario. Sagrario porzuciła obecnie swoją maszynę do szycia, aby większą część dnia spędzać u szewcowej. Zacna dziewczyna zajmowała się gospodarstwem, podczas gdy nieszczęśliwa matka siedziała na krześle, wpatrując się pełnemi łez oczyma w maleństwo, leżące na jej kolanach. Kiedy niemowlę budziło się z odrętwienia, podnosząc z trudem chwiejącą się na cieniutkiej szyjce główkę, matka, pragnąc je uspokoić, podnosiła je do piersi, ale biedactwo przekonywało się szybko o bezużyteczności swych wysiłków i odwracało się od obwisłej piersi, z której mogło wyssać zaledwie kilka kropel mleka.

Gabrjel spojrzał na dziecko z uwagą. Ciałko było podobne do szkieletu, skrofuliczne plamy pokry-

wały słomianego koloru skórę. Potrząsnął głową z niedowierzaniem, gdy sąsiedzi, zgrupowani koło dziecka, wyliczali najróżnorodniejsze choroby, którym, według ich zdania, mógł podlegać mały pacjent. Doradzali matce różne lekarstwa: nalewki roślinne, plastry i maści, a nawet przykładanie cudownych obrazków do piersi, kreślenie siedmiu krzyżyków na pępku i zmówienie tyluż „Ojcze nasz".

— Jego chorobą jest głód — mówił Gabrjel do siostrzenicy. — Nic więcej — tylko głód!

I uszczuplając swoje własne porcje, nosił do szewca mleko, które kupowano dla niego. Lecz osłabiony żołądek dziecka nie mógł strawić tego zbyt tłustego pokarmu. Wówczas zawsze przedsiębiorcza i energiczna Tomasa przyprowadziła z miasta kobietę, aby karmiła niemowlę. Jednak po dwóch dniach, zanim mogło się zacząć polepszenie, kobieta przestała przychodzić. Może być, że brzydziła się przykładać swoją pierś do tego brunatnego ciałka, sprawiającego wrażenie trupa. Daremnie szukała ogrodniczka innej mamki. Trudno było znaleźć wspaniałomyślną kobietę, któraby dawała za małem wynagrodzeniem, ze swych piersi mleko. Tymczasem niemowlę konało. Wszystkie kobiety z Claverias odwiedzały codziennie rodzinę szewca.

Nawet Don Antolin zaglądał przez uchylone drzwi:

— No, i cóż tam słychać? Ciągle tak samo? Niech się dzieje wola Boska!

I Don Antolin odchodził, nie przypominając szewcowi o należnym długu, ponieważ litował się nad ojcem ze względu na stan dziecka.

Azul de la Virgen oburzał się na to maleństwo, które zakłóciło spokój klasztoru i przeszkadzało teraz w beztroskiem trawieniu dobrze odkarmionemu słudze Kościoła. Co za idjotyzm, aby tu, na Claverias, wpuścić szewca z gromadą brudnych, pokrytych strupami dzieci! Co miesiąc jedno umiera i roznosi chorobę po całym klasztorze. Poza tem, jakie prawo mają ci łachmaniarze do mieszkania w katedrze, skoro nie sprawują żadnego urzędu i nie pobierają pensji? Podobne robactwo powinno pozostawać za progiem domu Bożego!

Teściową jego oburzały te słowa:

— Milcz, złodzieju! Milcz, albo ci na łbie talerz rozbiję! Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga! Gdyby był inny porządek na świecie, to właśnie biedni zamieszkiwaliby katedrę. Zamiast pleść takie bzdury, dałbyś lepiej tym biedakom cośkolwiek z tego, coś ukradł Najświętszej Pannie!

Na to oburzony do żywego zakrystjan wzruszał ramionami i odpowiadał:

— Jeśli nie mają co do gęby włożyć, niech nie robią dzieci!

Azul de la Virgen miał tylko jedną córkę, ponieważ sądził, że nie ma prawa pozwolić sobie na więcej dzieci; dlatego też mógł odkładać na kawałek chleba na stare lata.

Pełna litości Tomasa rozmawiała o dziecku szewca z kanonikami, kiedy po skończonem nabożeństwie przechadzali się po ogrodzie. Słuchali jej z roztargnieniem, trzymając ręce w kieszeniach.

— Cóż robić?! Trzeba się poddać woli Opatrzności!

I dawali jej — jeden dziesięć centymów, drugi reala, inny nawet całą pesetę. Ogrodniczka poszła nawet do pałacu arcybiskupiego, lecz don Sebastjan, który miał atak, nie chciał jej przyjąć i posłał tylko przez domownika dwie pesety.

— W gruncie rzeczy nie są oni źli — mówiła Tomasa, przynosząc uzbierane pieniądze nieszczęśliwej matce. — Ale każdy z nich żyje tylko dla siebie i nie dba o bliźniego. Nikt nie chce zdjąć z ramion płaszcza, aby nim drugiego okryć.

W domu szewca jadano obecnie trochę lepiej. Skrofuliczna dziatwa korzystała z choroby niemowlęcia, które z dnia na dzień stawało się słabsze i, leżąc na łonie matki całemi godzinami, oddychało w sposób niedostrzegalny dla oka.

Wreszcie umarło. Wszyscy mieszkańcy Claverias odwiedzili rodziców. Na poddaszu słychać było narzekania i płacz matki tak rozdzierający, jak ryk rannego zwierzęcia. Przed drzwiami, otoczony sąsiadami, płakał ojciec.

— Umarł, jak ptak — mówił, przerywając łkaniem opowiadanie. — Matka trzymała go na kolanach, ja właśnie byłem zajęty pracą. — „Antonio, Antonio! — zawołała nagle. — Zobacz, co mu jest. Porusza ustami i wykrzywia się okropnie". Przybiegłem. Miał twarz sczerniałą, jakby okrytą woalem, i otwierał maleńkie swoje usteczka... Skrzywił się jeszcze dwa razy, potem oczki zaszły mgłą... szyjka pomarszczyła się... i usnął, zupełnie, jak mała ptaszyna...

Płakał, powtarzając ciągle to porównanie dziecka z ptakiem, zabitym przez chłód zimowy.

Dzwonnik spojrzał ponuro na Gabrjela:

— Ty. który wiesz wszystko, powiedz, czy to prawda, że umarł z głodu?

Tato, pełen buntowniczych myśli, wybuchnął:

— Niema sprawiedliwości na świecie! Trzeba zrobić porządek! Pomyśleć tylko, że dziecko umiera z głodu w domu, w którym złoto płynie strumieniami.

Kiedy małą trumienkę odniesiono już na cmentarz, matka zaczęła szaleć z rozpaczy, tłukąc głową o mur klasztorny.

— Och, moje dziecko, mój malutki Antonio!

Podczas nocy czuwały przy niej Sagrario i inne kobiety.

Cierpienie przyprawiało ją o obłęd. Chciała za swoje nieszczęście uczynić kogokolwiek odpowiedzialnym, groziła najwyższym dostojnikom z Claverias.

— To wina Srebrnej Rózgi! — krzyczała nieszczęśliwa. — Wyzyskuje nas uprawiana przez niego lichwa. Nie dał jednego grosza dla mego biedactwa. A ta Mariquita—czupiradło?! Nie zajrzała nawet do nas! To upadła dziewczyna, wierzcie mi! Myśli tylko o strojach, aby móc się podobać kadetom!

— Milcz, jeszcze cię kto podsłucha! — prosili przerażeni sąsiedzi. Inni oburzali się na ich tchórzostwo.

— Tem lepiej, niech don Antolin i jego siostrzenica słyszą! A cóż to szkodzi?

Ludzie ci wpadali w gniew na myśl o skąpstwie don Antolina i wielkopańskich tonach jego siostrzenicy. Można być biednym, a jednak nie obawiać się tej pary!

— Bóg raczy wiedzieć, co robią wuj i siostrzenica, gdy pozostaną sami.

Sennym światem katedry wstrząsnął bunt—a było to bezwiedne dzieło Gabrjela.

Wszystkie jego słowa wryły się głęboko w dusze wielu mężczyzn, a nawet i kobiet na Claverias, rodząc w umysłach mętne, nieświadome idee.

Biedakom tym wystarczała świadomość, że poniżający stan niewolnictwa, w jakim żyli dotychczas, nie będzie trwał wiecznie, że i oni będą mieli prawo do lepszego bytu i że obowiązkiem człowieka jest zwalczanie niesprawiedliwości i tyranji.

Don Antolin, który znał doskonale owczarnię, powierzoną swej pieczy, poczuł odrazu, że coś się święci. Otaczała go wroga atmosfera. Dłużnicy odpowiadali mu hardo, uważając, że mają zupełne prawo do wyzwolenia się z pod sknerstwa wierzyciela. Nikt się nie kwapił z bezzwłocznem wykonywaniem jego rozkazów; on sam czuł, że drwią z niego i wygrażają mu poza plecami. Pewnego razu, kiedy zwrócił Tomaszowi uwagę z powodu spóźnionego powrotu do katedry, już po zamknięciu bram i po ułożeniu się don Antolina do snu, Tato odpowiedział mu obelżywie, że kupił sobie nóż i radby go spłukać krwią pewnego księdza, wyzyskiwacza nędzarzy. Srebrna Rózga osłupiał, nogi zatrzęsły się pod nim, a oczy zaszły mgłą.

Stary kapłan musiał ciągle wysłuchiwać skarg swojej siostrzenicy.

— Nic sobie nie robią ze mnie, pogardzają mną — skarżyła się rozżalona. Sąsiadki przestały przychodzić, aby jej pomagać w gospodarstwie. Odpowiadano jej opryskliwie: „Kto chce mieć sługę, niech jej płaci". — Och, wielki to już czas, wuju, żebyś nakazał im uszanowanie dla władzy i zrobił z nimi porządek — mówiła.

Ale dziewczyna ta, tak pewna siebie w domu wuja, traciła odwagę, ilekroć przestąpiła próg mieszkania. Wszystkie kobiety z Claverias obrażały ją teraz, jakby się chciały zemścić za to, że się jej tak długo wysługiwały.

— Patrzcie na nią—wołała szewcowa do swych sąsiadek — jak to czupiradło się stroi. Jej wuj, ten prawdziwy wampir, wysysa krew nędzarzy, żeby siostrzenica miała się za co stroić.

Cierpliwość don Antolina wyczerpała się, kiedy usłyszał o podejrzeniach, jakie rzucano nań z powodu Mariquity. Poszedł do kardynała na skargę. Jego eminencja, który nie uspokoił się jeszcze po ostatnim ataku furji, wpadł w jeszcze większą wściekłość, słuchając opowiadania Srebrnej Rózgi.

— Poco opowiadać te wszystkie historje? Od czegóż don Antolin ma władzę? Czyż to baba kryje się pod tą sutanną? Pierwszego, który naruszy porządek, trzeba wyrzucić za drzwi. Trzeba także pokazać mocną pięść. I niech don Antolin nie zanudza dłużej arcybiskupa podobnemi bredniami, gdyż może sam wylecieć!

Po tej rozmowie don Antolin uczuł przypływ energji i poprzysiągł sobie, że nie pójdzie już więcej na skargę do kardynała. Postanowił zamanifestować swą władzę najsłabszym — tym, którzy, jak

uważał, są sprawcami wrzenia: wyrzuci szewca, ponieważ szewc nie miał żadnego prawa mieszkać w klasztorze. Niestety, zamiar ten wyszedł wkrótce najaw, dzięki Mariquicie, która, zachwycona energją wuja, nie omieszkała zdradzić tajemnicy kilku sąsiadkom. Wieść została przyjęta z takiem oburzeniem, że don Antolin nie śmiał wprowadzić w czyn swego zamysłu. Tato rzucał nań groźne spojrzenia, a Srebrna Rózga tłumaczył je na swój sposób: „pamiętaj o mym nożu". Lecz najbardziej przerażało don Antolina milczenie dzwonnika.

Nawet poczciwy Estaban protestował, mówiąc łagodnie do don Antolina:

— Czy to prawda, że chcecie wyrzucić szewca? Uczynilibyście źle, bardzo źle! Przecież jest to nędzarz, a jego żona urodziła się w klasztorze. Okrucieństwo nigdy nie prowadzi do celu, don Antolinie!

I stary ksiądz, nie znajdując żadnego oparcia wśród tej wrogiej atmosfery ogólnej, odkładał z dnia na dzień wykonanie swych surowych postanowień. Kłócił się tylko z siostrzenicą, zarzucając mu brak woli.

Kanonik-skarbnik, do którego zwrócił się o pomoc, nie chciał sobie zakłócać błogiego spokoju przez mieszanie się do spraw niższego personelu katedry. „To należy przecież tylko do Srebrnej Rózgi, może on karać i wyrzucać z Claverias, kogo mu się żywnie podoba i nie obawiać się przytem niczego".

Wkońcu don Antolin, przerażony odpowiedzialnością, wynikającą z przedsięwzięcia surowych środków, udał się z prośbą o pomoc do Gabrjela.

— Dopomóż mi, drogi Gabrjelu — mówił żałośnie. — Jeśli nie zaprowadzisz porządku, wszystko

źle się skończy. Drwią sobie ze mnie, znieważają moją siostrzenicę; doprowadzili mnie już do ostateczności. Pewnego pięknego poranku wyrzucę na ulicę połowę mieszkańców Claverias. Jego Eminencja upoważnił mnie do tego. Boże, sam nie wiem, co się stało! Mam wrażenie, że czart krąży po Górnym Klasztorze! Jakże ci ludzie się zmienili!

Gabrjel odgadł ukrytą myśl don Antolina: „Szatan, to on, Gabrjel". Srebrna Rózga ma rację. Bezwiednie, nie pragnąc tego bynajmniej, Gabrjel zanarchizował katedrę. Schronił się tu poto, aby zapomniano o nim na świecie, ale duch buntu wszedł wraz z nim i poruszył wszystko.

Jak podróżnicy, którzy w czasie epidemji, przechodząc pozornie zdrowi przez granicę, kryją zarazki we włosach i fałdach ubrania i sieją śmierć wszędzie, dokąd się udadzą, tak i Gabrjel siał — nie śmierć, lecz bunt.

Protest upośledzonych, ten protest, który od stulecia rozbrzmiewa nad światem, wtargnął wraz z nim po raz pierwszy do tej ruiny, pochodzącej z XVI wieku i zachowanej do naszych czasów. Ludzie ci, podobni do uśpionych z bajki, nieruchomi, jak posągi, zaczynali się wreszcie budzić. Przebudzenie było gwałtowne. Rumienili się ze wstydu na myśl, że ubóstwiali tak długo stare przesądy, a to uczucie wstydu kazało im bez zastrzeżeń przyjmować każdą nowość. Nie zastanawiali się zupełnie nad skutkami, jakie stąd mogą wypłynąć. Była to wiara ludu, który z chwilą wejścia na drogę postępu akceptuje wszystko, broni wszystkiego pod tym jednym, jedynym warunkiem, że będzie to zmianą, pogardliwem odwróceniem się od zasad przodków.

Tchórzliwe cofnięcie się Srebrnej Rózgi było pierwszem zwycięstwem śmiałków, którzy otaczali Gabrjela. Przestali się kryć ze swemi zebraniami u dzwonnika. Po południu zbierali się w klasztorze, rozmawiając o śmiałych ideach, jakie podsuwał im Gabrjel. Świętość tego miejsca bynajmniej ich nie onieśmielała. Siadali z poważnemi minami wokół swego mistrza, podczas gdy po galerji, położonej naprzeciwko, przechadzał się don Antolin, ponury, jak cień. Czytał brewjarz, rzucając smutne spojrzenia na grupę zebranych. Nawet jałmużnik, z którym łączyły go bliskie stosunki, ośmielał się porzucać go, aby słuchać rewolucjonisty.

Don Antolin z przenikliwością księdza przewidywał, ile to zła narobił brat Estabana. Ale egoizm brał górę nad refleksją i rozumowaniem. „Mówią? Cóż z tego? Zawrócą sobie trochę w głowach, lecz, w gruncie rzeczy, są to tylko słowa... dym. Dopóki nie domagają się pieniędzy..."

Gabrjel więcej, niż don Antolin, zaniepokoił się wpływem, jaki wywarły jego mowy. Żałował teraz chwili, w której po raz pierwszy zaczął mówić o swej przeszłości i ideałach. Pragnął, schroniwszy się w katedrze, zatracić swoją osobowość, zniknąć w zapomnieniu i ciszy, a oto w głębi tego schronienia przekorny los kazał zmartwychwstać agitatorowi, aby zakłócić ciszę otoczenia. Entuzjazm neofitów stał się niebezpieczny. Brat, nie zdając sobie nawet sprawy z całej doniosłości tego niebezpieczeństwa, ostrzegał go:

— Zawracasz głowy tym biedakom. Miej się na baczności. Są to ludzie dzielni, ale brutalni. Niebezpiecznie jest uświadamiać ludzi, którzy całe swoje

życie przepędzili w nieświadomości. To tak, jakby mnie, przyzwyczajonego do skromnego posiłku, zaproszono do arcybiskupiego stołu. Obżarłbym się, upił, ale na drugi dzień miałbym straszne boleści.

Gabrjel uznawał słuszność tych rad, ale nie mógł się już cofnąć. Owładnął nim dawny zapał agitatora. Sprawiało mu radość zapoznawanie tych prostych umysłów z światłemi doktrynami, które myśl ludzka budowała przez wieki. Z zapałem opisywał przyszłość ludzkości. Jak apostoł chrześcijański, wysławiający szczęście raju, mówił z mistyczną ekstazą o szczęściu ludzkości, które nastąpi po przewrocie rewolucyjnym, zmieniającym cały ustrój socjalny. Wszyscy ludzie zaczną się uważać za braci, znikną stany, ustanie współzawodnictwo i walka o byt. Komunizm zapewni dobrobyt powszechny; dzięki wolności pracy wzrośnie produkcja, z produktów wspólnych każdy otrzyma część konieczną dla zaspokojenia swoich potrzeb; wszystko będzie dla wszystkich, wszystkim będzie dobrze.

Tylko co do teraźniejszości Gabrjel nie miał złudzeń. Ludzkość naszych czasów podobna jest do skażonej gleby, w której psuje się najlepsze ziarno, wydając owoc zatruty.

Należy czekać na moment, gdy rewolucja, zaczęta przed wiekiem, dopełni się w umysłach. Wówczas będzie możliwe, a nawet łatwe zmodyfikowanie podstaw społecznego porządku. On sam miał głęboką wiarę w przyszłość, ale postęp wymaga przecież wielu, wielu lat. W czasach przedhistorycznych człowiek był tylko zwierzęciem dwunożnem, noszącem widoczne ślady swego zwierzęcego pochodzenia. Powoli nastąpił rozdział między istotą inte-

ligentną, a zwierzęciem, jednak rozdział nie do tego stopnia doskonały, aby w pierwszej nie pozostało nic z namiętności i pierwotnych zwierzęcych instynktów. Człowiek dzisiejszy tak się ma do człowieka przyszłości jak antropoidy do bestji pierwotnej. Umysł oświeci się, egoizm zniknie, a teraźniejszą nędzę i zło zastąpi radosna równość.

Mimo entuzjazmu, z jakim mówił Gabrjel, było widoczne, że jego słuchacze mało dbali o te odległe miraże. Dobrobyt, obiecywany przez marzyciela ludzkości przyszłej, chcieli mieć dla siebie i to zaraz — niezwłocznie. Charakteryzowała ich niecierpliwość dziecka, któremu pokazują łakocie zdaleka. Nie wzruszała ich ofiara, ani powolna praca, podjęta w imię postępu. Z nauk Gabrjela wyciągali tylko przekonanie o własnej nędzy i świadomość, że mają równe prawa do szczęścia, jak ci uprzywilejowani, których dotychczas, dzięki swej ignorancji, otaczali szacunkiem. Pomimo to nie przeczyli nigdy, nie wypowiadali ukrytych myśli, lecz Gabrjel wyczuwał pod tem milczeniem tę samą niewiarę i wrogość, jak ongiś w Barcelonie, gdy towarzysze odpowiadali ironicznemi gestami na jego teorje i potępienie rewolucyjnych gwałtów. Płomienni neofici stronili od swego mistrza; słuchali go jeszcze z należnym szacunkiem, lecz odczuwali również potrzebę odsunięcia się na stronę, aby po swojemu komentować jego nauki. Dzwonnik, szewc i Tato udawali się nocami na wieżę, nie zapraszając Gabrjela. Dawali upust swej nienawiści do dnia teraźniejszego, tam, wobec tych pożółkłych malowideł, przedstawiających epizody z wojen Karlistów.

Żalili się ustawicznie na nierówność socjalną. Od-

kąd zdali sobie dokładnie sprawę ze swego położenia, stali się jeszcze bardziej nieszczęśliwi. Szewc ze łzami w oczach wspominał swoje dziecko, zmarłe z głodu, i skarżył się na nędzę swojej rodziny, tak licznej, że nie mogła jej wyżywić jego praca. Organista mówił o swej nędznej starości, która przyszła po ciężko przepracowanem życiu. Otrzymywał sześć reali dziennie i nie miał żadnych nadziei na jutro. Tato, czupurny, jak kogut, radził poderżnąć gardła wszystkim kanonikom na chórze i spalić katedrę. Ponury i surowy dzwonnik powtarzał jednostajnym i gromkim głosem, idąc za biegiem swych myśli:

— I pomyśleć, że tam w kościele leży tyle bogactw, zebranych przez pychę i nie przynoszących nikomu korzyści. Złodzieje! rozbójnicy!

Gabrjel przepędzał teraz całe dni obok Sagrario. Srebrna Rózga, widząc go ciągle w jej towarzystwie, był zadowolony, ponieważ przypuszczał, że Gabrjel rozszedł się ze swymi uczniami. Pewnego dnia don Antolin podszedł do niego z protekcjonalnym uśmiechem:

— Kochany Gabrjelu, dostaniesz nagrodę za dobre sprawowanie wcześniej, niż przypuszczasz. Mówiłem ci już, że znajdę coś dla ciebie, jeżeli mi pomożesz pokazywać Skarbiec. Otóż i znalazłem! Począwszy od przyszłego tygodnia, każdego dnia będą ci wpadać do kieszeni dwie pesety, błyszczące, jak słońce. Czy jesteś na tyle zdrów, abyś mógł przepędzać noce w katedrze? Najstarszy ze stróżów, były

żandarm, czuje się już zmęczony i chce wracać do siebie na wieś. Zdaje się, że nabrał wstrętu do swojej pracy, odkąd zdechł jego pies. Drugi stróż nie jest zbyt solidny — trzeba mu dać towarzysza. Czy chciałbyś nim być? Gdyby teraz była zima, nie mówiłbym ci nawet o tem — strasznie kaszlesz. Lecz w lecie katedra jest najprzyjemniejszem miejscem w całem Toledo. Będziesz przepędzał w kościele miłe noce. Później, z nastaniem chłodów, obejrzymy się za innem zajęciem dla ciebie. Mam do ciebie zaufanie, mimo twej lekkomyślności. Należysz do znanej i uczciwej rodziny, a to dla nas najważniejsze. Przyjmujesz, nieprawdaż?

Gabrjel przyjął propozycję, aczkolwiek jego zdrowie było mocno nadwątlone. Dwie pesety dziennie! Jego brat, Estaban, zarabiał niewiele więcej. Budżet domowy powiększy się prawie dwukrotnie — nie należy opuszczać tak dobrej okazji.

Nazajutrz wieczorem Sagrario rozmawiała z Gabrjelem, wyrażając uznanie dla jego silnej woli, która każe mu się wziąć za pierwszą lepszą pracę, aby tylko nie być ciężarem rodzinie. Zapadła noc. Młoda dziewczyna i rewolucjonista stali oparci o balustradę w Górnym klasztorze. U ich stóp rozciągał się ponury ogród klasztorny, pełen drzew o czarnych, chwiejących się wierzchołkach. Nad głowami jaśniało lipcowe niebo, rozświetlone migotaniem gwiazd. Na galerji było ich tylko dwoje. Okno izdebki, gdzie mieszkał kapelmistrz, było oświetlone i rzucało czerwoną plamę na dachy przeciwległe.

Fisharmonja grała z melancholijnym spokojem, a w przerwach ukazywał się na czworobocznej plamie cień muzyka, wykonywującego nerwowe ruchy, które, powiększone przez oddalenie, przekształcały się w jakąś groteskową pantominę.

Cisza i mrok nocny otuliły Gabrjela i Sagrario. Z firmamentu spływała tajemnicza świeżość, ożywiająca umysł i uszlachetniająca wspomnienia.

Gabrjel mówił o swojej przeszłości, aby przekonać młodą kobietę, że nie jest jego wielką zasługą to, że się zgodził na pracę w katedrze. Tyle przecierpiał przecież. Tak często bywał głodny. Straszne katusze, przecierpiane w Montjuich, na dnie fortu, były może mniej okrutne, niż rozpacz, odczuwana na ulicach wielkich miast, kiedy patrzył na wystawy sklepowe, pełne smakołyków, on, który nie miał grosza w kieszeni, i który z głodu dostawał zawrotów głowy. A przecież dość łatwo, dopóki był sam, znosił swoją nędzę. Gdy jednak ze swojem życiem włóczęgi złączył życie biednej Lucy, sytuacja stała się nie do wytrzymania.

— Pokochałabyś Lucy — mówił do Sagrario — Była to dzielna kobieta i towarzyszka, z którą łączyła mnie raczej wspólność myśli, niż pociąg cielesny. Poznawszy ją, pokochałem ją odrazu. Lecz czy to, cośmy dla siebie wzajemnie odczuwali, było rzeczywiście miłością? Nie wiem! Poeci tyle nam nakłamali o miłości, tak spaczyli ideę przez słowa, że naprawdę nie wiemy dzisiaj, czem jest miłość.

— Biedna Lucy nie była piękna. Była kobietą z ludu, wychowaną na robotniczem przedmieściu wielkiej stolicy. Cierpiała na anemję z powodu braku powietrza w swej rodzinnej norze, z powodu zle-

go, niedostatecznego pożywienia i ciężkiej pracy, którą podjąć musiała w najwcześniejszej swej młodości. Wargi, które wielkie panie malują sobie na czerwono, miała fioletowe. Jedyną rzeczą naprawdę piękną były jej oczy, powiększone przez chłód, podczas nocy, które przepędzała na ulicach, przez okropne sceny, sceny, na jakie patrzyła, kiedy ojciec jej upił się, chcąc zapomnieć o swym losie—jak upijają się proletarjusze, którzy, zbydlęceni przez obrzydliwy nałóg pijaństwa, wyobrażają sobie, że szynk jest rajem, potem zaś, wracając do swych nędznych nor, wpadają w furję i znęcają się nad rodziną.

— Była podobna do was, dziewczyn z klas niższych. Piękność wasza trwa krótko — ma tylko jedną chwilę rozkwitu. Głód i praca zabija ją szybko. Świeżość i siła zanikają w trudzie codziennym. Macierzyństwo w niedostatku wyczerpuje kobietę do reszty. Wiesz dlaczego pokochałem Lucy?—Z litości dla jej nędzy. Była robotnicą, która poznała całą opłakaną sytuację swojej sfery.

Gabrjel płakał, opowiadając o ostatniem widzeniu się z nią w pewnym szpitalu włoskim, lśniącym od czystości, gdzie jednak dobroczynność sprawiała wrażenie lodowatego chłodu.

— Ponieważ nie byłem jej mężem, nie mogłem się z nią częściej widywać, niż dwa razy na tydzień. Przychodziłem do szpitala w łachmanach ze schyloną głową i zastawałem ją siedzącą w fotelu. Słabła coraz bardziej. Miała woskową twarz i dziwnie rozszerzone oczy. Nie łudziła się co do stanu swego zdrowia i spokojnie oczekiwała śmierci. „Przynieś mi róż“ — prosiła, uśmiechając się, jakby chciała w ostatniej godzinie przyjąć sakrament piękna na-

tury w spaczonym i zepsutym przez ludzi świecie. Co się mnie tyczy, to sypiałem pod gołem niebem, żywiłem się suchym chlebem i przyjmowałem pomoc towarzyszy, będących w lepszem ode mnie położeniu, aby zanieść biednej dziewczynie bukiecik kwiatów. Wkrótce umarła, i nie wiem nawet, gdzie ją pochowano; możliwe, że zabrano jej ciało do prosektorjum. Lecz ja widzę ją ciągle, obraz jej towarzyszył mi we wszystkich moich nieszczęściach i teraz wydaje mi się, że Lucy zmartwychwstaje w tobie.

— Lecz ja, mój wuju, — rzekła Sagrario, wzruszona tą opowieścią — nie byłabym zdolna do takich czynów, jak ona. Jestem biedną dziewczyną. Nie mam wykształcenia, ani siły.

— Nazywaj mnie Gabrjelem — rzekł rewolucjonista z drżeniem w głosie. — Tak, ty jesteś moją dawną Lucy, która znów ukazuje się na mojej drodze. Wiedz o tem, że oddawna już analizuję moje uczucia, że oddawna pytam mego serca. A więc zdobyłem pewność — kocham cię, Sagrario!

Młoda dziewczyna, oszołomiona tą nowiną, usunęła się nieco na stronę.

— Nie oddalaj się ode mnie! Nie bój się o nic! Zbyt wiele wycierpieliśmy, aby marzyć o rozkoszach istnienia. Jesteśmy dwiema ofiarami życia, które skazane są na śmierć w tym klasztorze, będącym naszą ucieczką, jesteśmy dwoma łachmanami ludzkiemi, poszarpanemi przez społeczeństwo. Kocham cię dlatego, że jesteś mi równa w nędzy. Mnie nienawidzą, jako istotę niebezpieczną, tobą gardzą, jako istotą nieczystą. Fatalizm ciąży na nas, nasze ciała są zatrute. Zanim więc pomrzemy, zażądajmy

od miłości najwyższego szczęścia tak, jak biedna Lucy żądała róż.

I Gabrjel uścisnął rękę młodej kobiety, która, oszołomiona jego słowami, nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, i płakała cicho. Na górze, w Claverias, fisharmonja grała „Muss es sein", hymn, śpiewany przez genjusza w obliczu śmierci.

— Kocham cię, Sagrario! — ciągnął dalej Gabrjel. — W dniu, gdy cię ujrzałem powracającą do domu i stawiającą mężnie czoło złośliwej ciekawości ludzkiej, zainteresowałem się tobą. Podczas dwóch miesięcy obserwowałem cię, studjowałem, czytałem w twojej duszy. Jesteś człowiekiem prostym; nie masz w sobie tajników, jak istoty złożone, popsute przez cywilizację. Każdego dnia w twoich czułych spojrzeniach odgadywałem wdzięczność za te drobne usługi, które mogłem ci oddać. Przypominasz sobie najgorszy okres swego życia? Ponieważ widziałaś, że jestem dobry dla ciebie, zawsze gotów do bronienia cię przed surowością ojca, wdzięczność twoja wzrosła do tego stopnia, że dzisiaj kochasz mnie, Sagrario!

Może sama nie zdajesz sobie sprawy z tego, gdyż między nami istnieje związek krwi, który oddziaływa na nas. Powiedz, czy ja się mylę, czy też kochasz mnie istotnie?

Sagrario płakała w milczeniu, opuściwszy oczy, tak, jakby nie śmiała podnieść ich na Gabrjela. Później, gdy Gabrjel nalegał, rzekła:

— Szczęście mnie niepokoi — szepnęła młoda kobieta. — Kimże jestem, aby mnie można było kochać? Od dłuższego czasu już nie patrzę w lustro, ponieważ wspomnienie młodości wycisnęłoby mi

łzy z oczu. Czyż mogłam sobie wyobrazić, że pan... że ty czytasz tak jasno na dnie mego serca? Patrz, jak drżę! Raczej wolałabym umrzeć, niż wyjawić ci moją tajemnicę. Tak, kocham cię! Ach, Gabrjelu, jesteś najlepszym, największym człowiekiem.

Zamilkli, trzymając ręce w uścisku i błądząc wzrokiem po ogrodzie, pełnym cieniów i szmeru.

— Będziesz moją towarzyszką — rzekł Gabrjel melancholijnym głosem. — Nasze drogi połączą się do chwili, aż śmierć rozerwie nasz związek; ja będę cię bronił, aczkolwiek pomoc człowieka chorego, prześladowanego przez ludzi, nie może być pomocą skuteczną; ty osłodzisz moje życie swoją tkliwością. Będziemy się kochali, jak święci Kościoła, którzy, pełni ekstazy religijnej, nie pozwalali swym ciałom na najmniejszą rozkosz. Tacy chorzy, jak my, nie powinni mieć rachitycznego potomstwa, obciążonego dziedzicznemi chorobami. Nie powiększajmy fizycznej nędzy ludu, przysparzając światu degeneratów.

Gabrjel objął ramieniem Sagrario, a drugą ręką podniósł jej czoło ku górze. Oczy jej błyszczały, pełne łez.

— Tak — rzekł cicho — będziemy dwiema duszami, pełnemi pieszczoty tak niewinnej, że nawet poeci nie śnili o niej.

Ta czysta noc, gdy wyznajemy sobie nawzajem naszą smutną miłość, jest naszą nocą ślubną. Złóż na mych ustach pocałunek, towarzyszko mego życia!

Usta ich połączyły się długim pocałunkiem. Nad nimi rozbrzmiewały posępne tony skargi Beethovena.

X.

Gabrjel zaczął sprawować swą służbę z początkiem czerwca. Opuszczał Claverias około szóstej godziny wieczorem i przed bramą de la Mollete spotykał się z drugim stróżem, Fidelem, starcem o chorobliwym wyglądzie, który stale kasłał i nawet podczas lata nie zdejmował swojej *manta*.

— Dalej, do klatki! — wołał dzwonnik, poruszając pękiem kluczy.

Dwaj stróże wchodzili do katedry; dzwonnik zamykał drzwi zzewnątrz i oddalał się. Ponieważ dni były długie, więc dopiero po dwóch godzinach zapadał mrok.

— Teraz kościół należy tylko do nas dwóch, towarzyszu! — mówił Gabrjel do drugiego stróża.

Stróż ten ze swobodą, płynącą z przyzwyczajenia, zachowywał się w zakrystji, jak u siebie w domu, kładąc swój koszyk z prowjantami na skrzyni, między kandelabrem a krucyfiksem.

Lecz Gabrjel, nienawykły jeszcze do majestatu pustej katedry, przechadzał się po niej z ciekawością. Kroki jego odbijały się od posadzki, pod którą znajdowały się groby arcybiskupów i magnatów. Ponurą ciszę świętego miejsca zakłócały dziwne szmery i tajemnicze szelesty.

Pierwszej nocy Gabrjel obejrzał się za siebie z przestrachem, ponieważ wydało mu się, że z tyłu usłyszał jakieś kroki.

Na świecie zachodziło słońce. Koło głównego portyku rozbłyskiwały rozety, niby kosze, pełne świetlistych kwiatów. Na dole między filarami mrok

pochłaniał światło. Nietoperze sfruwały z pod sklepienia i tłukły się o kolumny, niby o drzewa w kamiennym lesie. Niesione ślepym rozpędem, uderzały o sznury lamp i poruszały czerwone kapelusze, wiszące nad grobami kardynałów.

Gabrjel kontynuował swoją przechadzkę po kościele. Poruszał kratami przed ołtarzem, aby upewnić się, czy są dobrze zamknięte, dotykał drzwi, prowadzących do kaplicy maurytańsko-arabskiej i kaplicy królów, rzucał badawcze spojrzenie na salę kapituły i zatrzymywał się przed Dziewicą z Sanktuarjum.

Poprzez kraty widać było światło lamp i posąg, który, pokryty klejnotami, błyszczał na szczycie ołtarza. Później Gabrjel wracał do swego towarzysza i obaj siadali na stopniach schodów, wiodących na chór, lub na stopniach ołtarza, skąd obejmowało się swobodnie wzrokiem cały kościół.

— Zapewne mówiono panu — rzekł Fidel z wyrazem uszanowania na twarzy — że nie wolno jeść w zakrystji, ani chodzić do galerji Locum, aby wypalić papierosa. Mnie także tak ostrzegano, gdy zaczynałem mą służbę w katedrze. Wszystko to łatwo jest mówić tym, którzy śpią spokojnie w swoich łóżkach. Lecz w istocie rzeczy, najważniejszą sprawą jest, aby mieć dobrze oczy otwarte—co się tyczy reszty, to trzeba się urządzać, jak można najlepiej, aby noc przepędzić. Gdy cały dzień się słucha śpiewów i oddycha wonią kadzidła, dobrze jest wieczorem trochę odpocząć. O tej godzinie Bóg i wszyscy święci śpią — naszym obowiązkiem jest czuwać nad ich snem. A zresztą przecież to nie przez brak szacunku dla nich pozwala się sobie na trochę swobody.

Chodźmy, towarzyszu, noc nadeszła, połączmy zawartość naszych koszyczków.

I, siedząc na marmurowych stopniach, zaczynali jeść.

Towarzysz Gabrjela, jako jedyną broń, posiadał pistolet, który podarowała mu w prezencie jakaś fabryka broni; był to antyk, z którego nikt nigdy nie strzelał. Gabrjelowi Srebrna Rózga ofiarował karabin, pozostawiony w zakrystji przez byłego żandarma na pamiątkę lat jego służby, lecz Gabrjel nie chciał go wziąć. — „Dobrze wygląda tam, w tym kącie. Skoro go będę potrzebował, wiem, gdzie mam szukać". Karabin więc pozostał pod murem wraz z paczkami nabojów, zardzewiałych od wilgoci i pokrytych pajęczynami.

Powoli gasły barwy na witrażach i w mrocznych głębiach naw światło lamp zaczynało płonąć, niby nikłe gwiazdy. Gabrjel miał prawie wrażenie, że znajduje się podczas ciemnej nocy na szczerej wsi. W świetle latarni, którą miał uwieszoną na piersi, linje architektury wydawały się znacznie większe, olbrzymie prawie. Wyłaniały się przed nim olbrzymie kolumny, sięgające aż pod sklepienia, a kwadraty na płytach posadzki tańczyły przy każdem drgnieniu światła. Co pół godziny ciszę przerywało skrzypienie grających sprężyn i obracających się kół; później rozlegał się srebrny odgłos dzwonu; byli to złoceni rycerze z nad zegarowego portyku, którzy uderzeniami młotka znaczyli uciekające godziny.

Towarzysz Gabrjela skarżył się na inowacje, zaprowadzone przez kardynała, chyba tylko poto, aby męczyć biednych ludzi. Niegdyś były żandarm i on,

gdy ich już zamknięto w katedrze, mogli spać dowoli, nie obawiając się nagany ze strony kapituły. Lecz Jego Eminencja, który wiecznie szukał sposobów, aby zatruć innym życie, kazał umieścić tu i tam małe aparaciki, sprowadzone z zagranicy. Co pół godziny trzeba je było otwierać, aby zaznaczyć swoją obecność. Nazajutrz Srebrna Rózga sprawdzał znaki i przy najmniejszem uchybieniu nie szczędził nagan i gróźb.

— Djabelski wynalazek, mówię panu! Aby móc się trochę przespać, trzeba, aby jeden drugiego zmieniał — podczas gdy jeden zmruży oczy, drugi musi się zająć przyrządem. Płaca mała, a głód wielki.

Gabrjel, zawsze uprzejmy, był tym, który zadawał sobie najwięcej trudu; to on najczęściej puszczał w ruch aparaty. Ów drugi chwalił sobie bardzo nowego towarzysza, z którym łatwo było dojść do ładu. Były żandarm odznaczał się daleko mniejszą uprzejmością i zrzędził zawsze, gdy przychodziła na niego kolej czuwania.

Biedny Fidel kasłał równie, jak Gabrjel, i w ciszy naw echo powiększało do tego stopnia te odgłosy, iż wydawało się, że są to szczekania sfory psów.

— Już sam nie wiem, od ilu lat mam ten przeklęty kaszel — mówił starzec. — To podarunek katedry! Doktorzy radzą mi, abym porzucił służbę, lecz odpowiadam im: „Kto mnie żywić będzie?" Pan zaczął pracować w dobrym momencie, podczas lata, co zresztą nie przeszkadza, że i teraz chłód przenika do szpiku kości. A co dopiero, gdy przyjdzie zima! Trzeba się ubierać, jak na maskaradę — nie widać nosa pod derkami i chustkami. Pozwalają coprawda zapalać mały ogień w zakrystji, ale, mi-

mo to, są ranki, gdy znajdują nas napół zmarzłych. Panowie z kapituły nazywają chór „śmiercią kanoników". Jeżeli się żalą, spędziwszy godzinę w tej lodowni, oni, którzy są dobrze najedzeni i dobrze napici, proszę sobie wyobrazić, co dopiero my mamy mówić? W miesiącach zimowych pozna pan wszystkie przyjemności tej służby.

Podczas nocy księżycowych katedra zmieniała się w sposób tajemniczy. Blado-mleczne szyby odcinały się od czarnej masy. Dwa strumienie światła, ślizgając się wzdłuż filarów, wydawały się kolumnami, które oderwały się od sklepienia i wydłużały na taflach posadzki, niby czołgające się widma. Te zimne światła czyniły mrok jeszcze bardziej mrocznym. W miarę, jak się rozprzestrzeniały, wydobywały z mroków nowe przedmioty: tutaj płytę grobową, zarys kolumny, tam całą kaplicę. Wielki Chrystus, wznoszący się na kracie przed Głównym Ołtarzem, odcinał się od ciemnego tła w blasku starego złota. Wydawało się, że cudowna wizja, otoczona nimbem, unosi się w przestworzu.

Gdy ataki kaszlu nie pozwalały Fidelowi zasnąć, opowiadał Gabrjelowi o tych latach, które, jako stróż nocny, spędził w katedrze. Zajęcie to, podobne do zajęcia grabarza, ponieważ kazało żyć pośród umarłych i samotności, wyleczyło go z trwogi, której często ulegał w młodości.

Ongiś wierzył w pojawianie się duchów, w dusze, opuszczające groby, w zjawy świętych, lecz dzisiaj śmiał się z tego wszystkiego. Tyle nocy spędził pod temi złowrogiemi sklepieniami i nigdy nie widział nic podobnego. Jeżeli usłyszał jakiś odgłos, był to napewno hałas, czyniony przez szczury,

które nie szanowały ani ołtarzy, ani posągów; a wreszcie było to przecież tylko drzewo! O tej godzinie bał się tylko ludzi z krwi i ciała, złodziejów, którzy nieraz przedostawali się do katedry. Właśnie z powodu ich odwiedzin kapituła zaprowadziła straż nocną.

Później opowiadał o próbach kradzieży, jakie miały miejsce podczas ostatniego stulecia. Były tu bogactwa, mogące skusić nawet świętego, a stary poczciwiec obawiał się bardzo złodziejskiej zręczności. Wyliczał przedsięwzięte środki ostrożności: Srebrna Rózga, dzwonnik i zakrystjan obchodzili katedrę przed zamknięciem bram, a Mariano przechowywał klucze na wieży. Nie można było nawet marzyć o naruszeniu starych, lecz solidnych zamków; poza tem, byli tam przecież stróże, gotowi podnieść alarm przy najmniejszem niebezpieczeństwie. Dzięki obecności psa czujność była tem lepsza. Pies miał słuch tak doskonały, że, gdy tylko jakieś kroki zbliżały się do drzwi zewnętrznych, rzucał się naprzód, szczekając głośno. Lecz dog zdechł przed pewnym czasem. Któryś z kanoników nosił się z zamiarem kupienia drugiego psa.

— Zresztą — dodawał Fidel — w razie potrzeby możemy uciec się do pomocy małego dzwonu, który zwołuje kapitułę na nabożeństwa. Sznur znajduje się na chórze, wystarczy go pociągnąć. Spójrz pan na te wahadła—gdyby się tak zaczęły kołysać w nocnej ciszy! Całe Toledo zbiegłoby się tutaj w jednej chwili, ludzie zrozumieliby, że coś ważnego musiało stać się w katedrze. Można powiedzieć, że podczas nocy nawet sam król nie jest bardziej bezpieczny, niż nasz kościół dzięki dzwonom i tym przeklętym apa-

ratom. Rankiem, po wyjściu z więzienia, Gabrjel powracał do mieszkania, cały przemarznięty, z jednem, jedynem pragnieniem, aby się wygodnie rozciągnąć na pościeli. W kuchni Sagrario odgrzewała mleko, które miał wypić przed zaśnięciem. Oddana przyjaciółka nadal wobec ludzi nazywała go stryjem, nie zwracając się do niego przez „ty", jak wówczas, kiedy byli sami.

Gdy już położył się do łóżka, zbliżała się do niego z filiżanką gorącego mleka, kazała mu pić, poprawiała kołdrę, zamykała troskliwie drzwi i okna, aby promienie słońca nie przeszkadzały mu zasnąć.

— Ach, te noce w katedrze! — wołała z rozpaczą w głosie. — Zabijesz się, Gabrjelu! To zajęcie nie jest dla ciebie. Teraz, gdyśmy się zbliżyli, i gdy jestem szczęśliwa, byłoby dla mnie okrutne, gdybym cię stracić miała!

Aby ją uspokoić, Gabrjel odpowiadał, że jesienią znajdzie lepszą pracę.

Po śniadaniu opuszczał klasztor, czując się doskonale wypoczętym po śnie rannym.

Była to jedyna pora, kiedy mógł się zobaczyć ze swymi uczniami. Mówili mu „dzieńdobry", słuchali jego słów z równą uwagą, jak kiedyś, mimo to jednak można było zauważyć pewne odruchy, świadczące o uniezależnieniu się od niego. Mieli szacunek dla mistrza, lecz jednocześnie litowali się nad jego łagodnym charakterem.

— Są to — mówił Gabrjel do swego brata — ptaki, które fruwają obecnie o własnych skrzydłach. Nie potrzebują mnie już i wolą rozmawiać sami z sobą.

— Oby Bóg dał, Gabrjelu — odpowiedział Srebrna Rózga, potrząsając głową — abyć nie potrzebował żałować, że mówiłeś im o rzeczach, na których się nie rozumieją. Zaszły w nich niezwykłe zmiany. Nasz siostrzeniec, Perrero, stał się niemożliwy. Mówi, że, ponieważ nie pozwolono mu wzbogacić się na zabijaniu byków, będzie zabijał ludzi, że ma prawo do szczęścia, jak każdy burżuj, i że wszyscy bogacze są wyzyskiwaczami. Czy to możliwe, o Matko Przenajświętsza, że ty ich takich strasznych rzeczy nauczyłeś?

— Nie niepokój się z tego powodu — odparł Gabrjel z uśmiechem. — Jeszcze nie strawili nowych idei, i paplą głupstwa. To im minie. W gruncie rzeczy, są to dobrzy ludzie.

Jedyną rzeczą, która go martwiła, było zachowywanie się Mariano: ten unikał go, jakby się go obawiał i wydawało się, że nie chce, aby Gabrjel przeniknął tajemnicę jego myśli.

— Co ci się stało, Mariano? — zapytał Gabrjel, spotykając go w klasztorze.

— Wszystko idzie naopak. Co to za straszne społeczeństwo — urągał tamten gniewnym tonem.

— Wydaje mi się, że uciekasz przede mną. Dlaczego?

— Ja uciekam przed tobą? Chyba ci się śni! Odkąd otworzyłeś mi oczy, odkąd przestałem być głupcem, pełen jestem wściekłości. Czyż zawsze będziemy zdychać z głodu tutaj, pośród tych bogactw?

— My może, lecz po nas przyjdą inni, którym uśmiechnie się lepszy los.

— Ach więc czy chcesz, abym ci powiedział, Gabrjelu? Jesteś zbyt mądry! Twoje ideje są słu-

szne, nie przeczę, lecz, gdy chodzi o rzeczy praktyczne... przebacz mi, lecz jesteś głupcem, jak wszyscy ci, którzy trzymają nos w książkach. Ignoranci, tacy, jak ja, widzą lepiej...

Od kilku tygodni Don Martin przestał się pokazywać w klasztorze — Gabrjel dowiedział się od Srebrnej Rózgi, że umarła jego matka. Któregoś ranka młody ksiądz zjawił się znów w Claverias. Miał czerwone oczy i powieki, opuchłe od płaczu.

— Chciałem się z panem pożegnać — rzekł do Gabrjela. — Spędziłem u wezgłowia mojej matki miesiące okropnych cierpień. Niema już biednej matki mojej! Ona jedna wiązała mnie z tym Kościołem, w który przestałem wierzyć. Poco kłamać, udając wiarę, której się w sercu nie ma? Poszedłem wczoraj do Arcybiskupa, aby powiedzieć mu, że może dysponować mojemi siedmioma duros i dać mniszkom innego jałmużnika. Wyjeżdżam, wypędzają mnie z mojej rodzinnej okolicy — ksiądz-renegat nie może pozostawać w Toledo. Udam się daleko, bardzo daleko, tak daleko, jak to jest tylko możliwe, może do Ameryki!

Nie znam tam nikogo, nie mam żadnego oparcia, lecz nie obawiam się nędzy — przywykłem do niej, służąc Bogu. Zostanę robotnikiem, będę uprawiał ziemię i odzyskam godność wolnego człowieka.

Wyjazd jałmużnika nie wywołał najmniejszej sensacji: Don Antolin i inni księża sądzili, że, jako

człowiek ambitny, udał się do Madrytu, aby zrobić karjerę.

Poza tem uwagę wszystkich odwróciła od tego faktu wielka nowina, która rozbrzmiewała w katedrze, jak huk gromu, i skonsternowała wszystkich mieszkańców Górnego Klasztoru. Spór Arcybiskupa z Kapitułą zakończył się — i Rzym zaaprobował wszystkie decyzje Kardynała, Jego Eminencja ryczał więc z radości z całą gwałtownością, która cechowała jego charakter. Co do kanoników, to ci kiwali głowami upokorzeni.

Zaczęto przygotowywać się do uroczystości wielkiego święta Dziewicy z Sanktuarjum i Jego Eminencja, który, nie chcąc spotykać się z członkami kapituły, od kilku miesięcy już nie pokazywał się w katedrze, zawiadomił, że będzie przewodniczył uroczystości. Cały świat mówił o tem, bądź tajemniczo, bądź ze strachem i w miarę, gdy zbliżała się data 15 sierpnia, niejeden kanonik trząsł się ze strachu, myśląc o zimnem, wzgardliwem spojrzeniu, którem obrzuci go popędliwy kardynał.

Gabrjel mało interesował się tem zdarzeniem. Wiódł dziwny tryb życia: przez większą część dnia spał, aby odpocząć przed męczącą służbą nocną. Teraz zostawał w kościele sam, ponieważ jego towarzysz, Fidel, zachorował i z obawy, aby skarbiec katedralny dla oszczędności nie pozbawił chorego starca jego marnego wynagrodzenia, Gabrjel nie żądał, aby mu dano innego pomocnika.

Po pewnym czasie przywykł do nocnej ciszy w katedrze. Aby odpędzić sen, czytał przy świetle latarni książki, które znalazł w Claverias: nudne traktaty historyczne, w których Opatrzność grała

główną rolę, żywoty świętych, które go bawiły swą naiwnością, oraz Don Kichota, należącego do rodziny Luna. Książkę tę wiele razy czytał w latach swego dzieciństwa.

Święto Dziewicy obchodzono w sposób tradycyjny. Wydobyto z kaplicy cudowny posąg i ustawiono go na głównym ołtarzu, nakrytym drogocennym obrusem, przechowywanym przez resztę roku w Skarbcu. Klejnoty lśniły w migotliwym blasku niezliczonych świec.

Na krótko przed nabożeństwem kanonicy, ubrani na czerwono, zebrali się koło małych schodów, którędy miał zejść Jego Eminencja; ustawili się w półkole, witając z szacunkiem swego przełożonego.

Och, to spojrzenie Don Sebastiana! Kanonicy, którzy chylili czoła, czuli na karkach jego wzrok, zimny, jak stal. Kardynał, ubrany w purpurę i zachowujący się z wysoką arogancją, zapomniał widocznie już o chorobie, rozdzierającej jego wnętrzności. Jego twarz była pełna radości, mała głowa wychylała się dumnie z pod kardynalskiego beretu. Nigdy korona królewska nie była noszona z taką dumą, jak ten beret czerwony.

Wyciągnął rękę w purpurowej rękawiczce, na której błyszczał szmaragd, i rozkazującym gestem podał ją do pocałowania kanonikom. Kardynał odgadywał gniew i wściekłość pod pozorami pokory i uległości i cieszył się z swego triumfu. Nieraz przecież mówił do ogrodniczki: — „Nie masz pojęcia, co to jest nienawiść wśród ludzi Kościoła". Ludzie świeccy nie umierają z gniewu. Dają ujście swej żółci i odnajdują później spokój i równowagę. Lecz wśród

duchownych liczyć można na setki tych, którzy umierają, nie mogąc wywrzeć swej zemsty, zmuszeni milczeć i pochylać głowę przed dyscypliną. Ponieważ nie mamy rodziny do utrzymania, ani pracy zarobkowej na chleb, żyjemy tylko miłością własną i dumą".

Kanonicy ustawili się w szereg, aby towarzyszyć Jego Eminencji. Na czele pochodu stanął „perrero" w czerwieni, dwóch dziadów kościelnych, ubranych na czarno, i Don Antolin, którego laska odbijała się głośno od kamienych płyt posadzki. Później niesiono krzyż arcybiskupi, a nieco dalej w dwóch szeregach szli kanonicy, za nimi zaś prałat w długiej, czerwonej szacie, której tren podtrzymywali dwaj chłopcy. Don Sebastian udzielał błogosławieństwa, badając przenikliwym wzrokiem swoje owieczki. Cóż za zwycięstwo! Teraz katedra należy do niego. Po długiej nieobecności powraca do niej, jako władca udzielny, starłszy na proch swych niewolników, zdolnych do tego, aby go spotwarzać i oponować mu. Wielkość Kościoła bardziej, niż kiedykolwiek, uderzyła go. Cudowna instytucja! Gdy człowiek silny dochodzi do władzy, przekształca się we wszechmocnego i groźnego boga! Nie znają tutaj rewolucyjnej równości: wielcy mają zawsze rację! Mówi się o pokorze wszystkich wobec Boga; lecz w praktyce istnieją tylko powolne owieczki i pasterze, opiekujący się niemi. Teraz z woli Najwyższego on stał się tym pasterzem. Biada temu, ktoby chciał mu się opierać!

Wstąpiwszy na chór, kardynał odczuł jeszcze bardziej rozkosz dumy. Usiadł na tronie arcybiskupów z Toledo. Tron ten był w młodości celem jego

marzeń i myśl o nim niepokoiła go w tych czasach, gdy, jako biskup, czekał na chwilę powołania go do katedry. Puszył się teraz pod wspaniałym baldachimem na tronie, stojącym na podwyższeniu, tak, aby go widać było na całym chórze.

Głowy dygnitarzy, siedzących przed nim, znajdowały się na poziomie jego nóg. Mógłby zdusić teraz swych wrogów, jak żmije, gdyby ośmielili się buntować nanowo.

Uniesiony świadomością swojej wyższości i swego triumfu, łączył swój głos z głosami kanoników z tak dziką energją, że wszyscy osłupieli. Sylaby łacińskie sypały się z jego ust, niby strzały, skierowane przeciwko tym znienawidzonym ludziom, a jego spojrzenia, pełne pogardy, przesuwały się po dwóch rzędach pochylonych głów. Ten ulubieniec fortuny kroczył zawsze od zwycięstwa do zwycięstwa; tem niemniej jednak nie zaznał nigdy podobnie głębokiej i podobnie całkowitej satysfakcji, jak dzisiaj.

Pod koniec nabożeństwa śpiewacy i klerycy zaniepokoili się, widząc, że nagle blednie i z rękami zaciśniętemi na piersiach i ze zmienioną twarzą przechyla się nabok. Kanonicy rzucili się ku niemu i otoczyli tron. Oddychał ciężko.

— Powietrza — krzyczał — powietrza! Rozstąpcie się! Niech mnie zaniosą do mieszkania!

Podczas ataku duszności miał jeszcze energiczny gest żołnierza, odpierającego wrogów. Nie mógł oddychać, ale nie chciał, aby to zauważyli kanonicy. Odgadywał radość, którą starano się zamaskować wyrazem twarzy, pełnym współczucia.—„Precz z rękami! Nie potrzebuję nikogo!“

Wreszcie, podtrzymywany przez dwóch zaufanych, skierował się ku schodom arcybiskupim.

Uroczystość skończyła się pośpiesznie. Niechże Dziewica wybaczy! W roku przyszłym uczci się Ją wspanialej!

Rano, gdy Gabrjel obudził się, mówiono w Górnym Klasztorze tylko o wypadku, jakiemu uległ Jego Eminencja.

— Jest bliski śmierci, moje dzieci! — mówiła Tomasa, która udała się do pałacu, aby zasięgnąć wieści. — Tym razem nie uda się mu uniknąć śmierci. Doktorzy mówią, że prawdopodobnie nie dożyje do jutra. Co za nieszczęście! I to w takim dniu uroczystym!

Kapelmistrz, który zwykle odnosił się obojętnie do wszystkiego, co dotyczyło katedry, zainteresował się bardzo stanem zdrowia arcybiskupa. Podczas pogrzebu kardynała odprawiona będzie uroczysta msza. Oto świetna okazja, aby zagrać „Requiem“ Mozarta.

Co się tyczy Gabrjela, to odczuwał on egoizm, płynący z poczucia życia.

— Wielcy dostojnicy umierają, Sagrario — mówił, patrząc na swoją towarzyszkę. — A my, nędzni i chorzy mamy jeszcze trochę życia przed sobą!

Gdy przyszła pora zamykania drzwi katedry, Gabrjel udał się na swoją nocną służbę sam, ponieważ Fidel był jeszcze chory.

— Jakże się miewa kardynał? — zapytał, ujrzawszy dzwonika, czekającego nań z pękiem kluczy w ręku.

— Może kona akurat w tej chwili, jeśli już nie skonał.

I po chwili dodał:

— Wiesz, Gabrjelu, dzisiejszej nocy widno ci bardzo będzie w katedrze. Matka Boska iluminowana pozostanie na ołtarzu aż do jutra...

I zamilkł na sekundę, jakgdyby wahał się, czy ma mówić dalej.

— Nudno ci będzie siedzieć samemu... Możliwe, że przyjdę do ciebie na godzinę, lub dwie... W każdym razie licz na mnie!

Zamknięty w kościele, Gabrjel przekonał się, że rzeczywiście główny ołtarz tonął w powodzi świateł. Obejrzał, jak zwykle, wszystkie drzwi i kraty, zajrzał w każdy zakamarek, w którym mógłby się ukryć złodziej — i gdy upewnił się, że w całej katedrze niema prócz niego żadnej żywej istoty, usiadł na stopniach ołtarza, włożył płaszcz na ramiona i postawił przed sobą koszyk z jedzeniem.

Poprzez kraty kaplicy przyglądał się Najświętszej Pannie. Dziecię katedry, przyzwyczajone przez swoją matkę od najmłodszych lat do przyklękania przed świętym posągiem, uwielbiało go niegdyś, jako wyobrażenie najwyższej piękności. Ale dziś patrzył nań chłodno — oczyma artysty. Był brzydki i groteskowy, jak wszystkie posągi, ubrane z przepychem. Pobożni bogacze, obciążając go klejnotami, ubrali go z śmieszną przesadą. Statua ta nie miała nic z idealnej piękności Madonn, malowanych przez mistrzów chrześcijańskich. Przypominała raczej

bóstwa hinduskie, pokryte kosztownościami. Sukknia i płaszcz były wzdęte, jak krynolina. Korona wielka, jak hełm, wciśnięta na włosy, czyniła przez kontrast głowę dziwnie małą. Złoto, perły, diamenty lśniły, jak gwiazdy. Kolczyki i branzolety miały wartość olbrzymią. I Gabrjel uśmiechnął się, pomyślawszy o prostaczej, głupiej pobożności, która wyobrażała sobie postaci świętych podług swego ziemskiego rozumienia.

Ściemniło się zupełnie. Gabrjel, pożywiwszy się nieco, wyjął z koszyka książkę i zaczął czytać.

Nietoperze, zwabione światłem, krążyły nad jego głową. Godziny wlokły się strasznie wolno. Od czasu do czasu posążki rycerzy z zegara przerywały ciszę, bijąc srebrnemi młoteczkami. Wtedy Gabrjel podnosił się, obchodził wkoło świątynię i znaczył coś na aparacie kontrolującym.

Wybiła godzina dziesiąta; drzwi bramy Santa Catalina uchyliły się cicho, jakgdyby otworzono je kluczem. Gabrjel przypomniał sobie o obietnicy dzwonnika; jednak zdziwiło go to, że słyszy odgłos kroków kilku osób. Odgłosy te, powtarzane przez echo, sprawiały wrażenie marszu całego pułku piechurów.

— Kto idzie? — krzyknął.

— To my! — odpowiedział z ciemności ochrypły głos Mariano. — Czyż nie uprzedziłem cię, że przyjdziemy?

Gdy przybysze zbliżyli się, światło głównego ołtarza oświetliło ich, i Gabrjel rozpoznał w towarzyszach dzwonnika szewca i Tato. Przynieśli z sobą butelkę wódki — i natychmiast poczęstowali nią Gabrjela.

— Wiecie przecież dobrze, że nie piję — odpowiedział. — Nie używam zupełnie alkoholu, od czasu do czasu piję tylko trochę wina!... Ale gdzież wy się wybieracie, tak odświętnie ubrani?

— „Srebrna Rózga" zamknął Claverias o dziewiątej, postanowiliśmy więc przepędzić noc poza jego murami. — Pośpieszył z wyjaśnieniem Tato. — Byliśmy już w kawarni Zocodover, gdzie uraczyliśmy się, jak prawdziwi książęta!

— A więc hulanka...

Wszyscy z czapkami, wciśniętemi aż po uszy, usiedli na stopniach głównego ołtarza. Mariano położył na ziemi swój pęk kluczy; masa żelastwa ciężko, jak młot, uderzyła o kamienną posadzkę. Były tam klucze z różnych epok: jedne ordynarne, zrobione ręką kowala, zardzewiałe, z herbami, wyrytemi na rączkach; inne, pochodzące z nowszych czasów — szlifowane, błyszczące, jak srebrne. Ale wszystkie były jednakowo wielkie, jak przystało na klucze tak ogromnego budynku.

Trzej przyjaciele byli ożywieni jakąś osobliwą nerwową wesołością; popychali się, wybuchali śmiechem i, od czasu do czasu rzuciwszy ukośne spojrzenie na statuę M. Boskiej, spoglądali po sobie z minami tajemniczemi. Wszystko to nie uszło uwagi Gabrjela.

— Widać po was, żeście pili — zwrócił im uwagę tonem lekkiego przyjacielskiego napomnienia. — To bardzo źle! Pijaństwo bowiem poniża biedaków.

— To dziś tylko taka laba, stryju — powiedział *Perrero*. — Dziś jest chwila niezwykła. To taka straszna przyjemność, gdy się widzi, jak wielcy tego

świata wyciągają nogi... Wiesz, jaki mam szacunek dla don Sebastjana, ale mimo to nie mam żalu do niego, że patrzy na księżą oborę. Jedyna to radość dla nędzarzy, że śmierć nie przebiera i wszystkich jednakowo nawiedza!

— Pij za jego zdrowie! — zaśmiał się dzwonnik, podając mu butelkę. — My cieszymy się dobrem zdrowiem i dobrym humorem, podczas gdy on znajdzie się jutro między czterema deskami, a ja uczczę go wspaniałą grą dzwonów!

Tato napił się i oddał butelkę szewcowi, który robił wrażenie najbardziej pijanego ze wszystkich. Milczący, złowrogi — z ogniem w oczach — rzucający na swoich towarzyszy dzikie spojrzenia, zdawał się nie rozumieć nawet tego, co do niego mówią. Natomiast dzwonnik był dziwnie rozmowny: mówił o fortunie kardynała, o donia Visitacion, która się będzie pławiła w złocie, o kanonikach, których większość odetchnie z ulgą po śmierci kardynała... Przerywał poto tylko, aby pociągnąć znów kilka łyków z butelki i zachęcić do picia przyjaciół.

Woń alkoholu rozeszła się w powietrzu, przesiąkniętem dymem kadzideł.

Mariano kilkakrotnie usiłował przerwać rozmowę, jakgdyby miał coś ważnego do powiedzenia, ale za każdym razem brakowało mu odwagi. Wreszcie zdecydował się:

— Gabrjelu — powiedział głuchym głosem — czas ucieka, a my mamy dużo do roboty... Jest już prawie jedenasta. Nie zwlekajmy więc dłużej...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Gabrjel, zdumiony.

— Mówmy mało, ale mądrze! Chodzi o to, żebyśmy, zarówno ty, jak i my, stali się bogatymi. Zmęczyła nas nasza nędza. Zauważyłeś pewnie, iż od jakiegoś czasu unikamy ciebie i, zamiast słuchać twoich nauk, wolimy mówić sami między sobą. Czy chcesz wiedzieć, dlaczego? Oto dlatego, że jesteś mędrcem.

Przewroty i zmiany, które nam zwiastowałeś, są zbyt odległe, abyśmy mogli na nie czekać. A nas, prostaków, obchodzi tylko teraźniejszość. Dziś rano przyszła nam do głowy pewna myśl... Jesteś obecnie jedynym stróżem katedry. Matka Boska jest teraz przybrana wszystkiemi temi klejnotami, które przez cały rok leżą ukryte w Skarbcu. Mam klucze. Nic prostszego! Ogołocimy posąg — i w drogę do Madrytu! Tam ukryjemy się na czas pewien, co będzie tem łatwiejsze, że Tato ma dużo znajomych wśród torreadorów. Później udamy się zagranicę. Pojedziemy do Ameryki, gdzie, sprzedawszy drogie kamienie, staniemy się bogaczami. Rusz się, Gabrjelu! Dalej, rozbierajmy „bałwana", jak ty to nazywasz!

— Ależ to, do czego mnie zachęcacie, jest kradzieżą! — krzyknął Gabrjel.

— Kradzieżą? — rzekł dzwonnik. — Nazwij to kradzieżą, jeśli ci się tak podoba. Więc cóż z tego? To określenie cię tak przeraża? Czyż w gruncie rzeczy nie jesteśmy okradani przez całe życie, począwszy od urodzenia? Mamy przecież prawo do przysługującej nam cząstki radości, a jednak, pomimo wszystkich wysiłków, nie jesteśmy w stanie znaleźć dla siebie nigdzie wolnego miejsca, gdziebyśmy mogli żyć spokojnie.

...Wreszcie kogo zaboli ta krzywda? Czyż ten kawałek drzewa odczuje brak kosztowności, które go teraz pokrywają? On nie bywa głodny, sądzę, i nie czuje zimna. A nasze dzieci mrą z głodu... Żywo, Gabrjelu! Nie traćmy czasu!

Gabrjel zdawał się nie słyszeć. Osłupiałemu z przerażenia ukazała się jasno świadomość ogromu swego błędu. Jakaż przepaść dzieliła go od tych, których poczytywał za swoich uczni! Nie przewidział, niestety, jak niebezpieczną rzeczą jest wtajemniczyć w ciągu paru miesięcy prostaków w pojęcia, które powstawały dzięki całemu życiu rozmyślań, studjów i pracy innych. Najszlachetniejsze idee paczą się, schodząc w tłum; nędza, zły doradca, kazi najwznioślejsze dążenia; dusze, spodlone krzywdą i wyzyskiem, szukają w doktrynach rewolucyjnych tylko punktu zaczepienia dla swojej zemsty i nienawiści i usprawiedliwienia dla swojej walki o dobrobyt — choćby kosztem bliźniego. A on posiał ziarno rewolucji między pariasów Kościoła, sądząc, że przyśpiesza odrodzenie przyszłości, odradzając ludzi. Jakaż straszna, tragiczna pomyłka! Otrząsnąwszy się z mrzonek, stanął w obliczu najzwyklejszych kryminalistów. Jego nauka dopomogła więc tylko niszczeniu — nie zrodziła nic!

Wydarłszy tym mózgownicom zaskorupiałe przesądy i bezwstyd niewoli — dopomógł im tylko do wyrobienia w sobie odwagi do czynienia zła. W ludziach tych motorem działania był egoizm. Wszystkiem, co wynieśli z jego nauk, była tylko świadomość, że są nieszczęśliwi, i że nimi nadal być nie powinni. Jeżeliby nawet polepszyli w jakikolwiek sposób swoją sytuację, byłoby im zupełnie obo-

jętne, że większość im podobnych gnije nadal w nędzy; że łzy, ból i głód będą królowały w dalszym ciągu na nizinach drabiny społecznej, aby wyższym jej szczeblom zapewnić słodycz istnienia. Słowem— rezultatem jego nauk miał być rozkład moralny. Jego uczniowie byli takimi samymi ludźmi, jak wszyscy inni. Gdzie więc szukać człowieka wyższego, uszlachetnionego przez pracę myśli, czyniącego dobrze nie w nadziei zapłaty, zdolnego do najwyższych ofiar w imię braterstwa — tego człowieka — boga, chlubę przyszłości?

— Nie traćmy czasu — powtórzył dzwonnik niecierpliwie. — Pięć minut nam wystarczy, a potem w drogę!

— Nie, nie! — rzekł Gabrjel z mocą. — Nie, nie zrobicie tego! Gorzki ból sprawiacie mi, sądząc, że będę waszym wspólnikiem.

— Dość, Gabrjelu — przerwał ostro dzwonnik — Przyszliśmy zaproponować ci dobry interes, a ty odpowiadasz nam zniewagą. Dosyć podobnych rozmów! Zamilcz i chodź z nami — zaprowadzimy cię siłą do szczęścia. Naprzód, towarzysze!

Trzej mężczyźni wstali i zbliżyli się do kraty. Tato pchnął mocno i jedna połowa drzwiczek uchyliła się szeroko.

— Stójcie! — krzyknął Gabrjel.

I zrozumiawszy, że nic nie jest w stanie odwieść ich od tego ohydnego zamiaru, skoczył między nich a ołtarz. Ale dzwonnik usunął go, mówiąc:

— Zejdź z drogi, mój mały! Jeżeli jesteś sam do niczego, pozwól chociaż nam działać... Boisz się z pewnością Matki Boskiej? Możemy cię uspokoić, że nie uczyni żadnego cudu.

— Jeżeli postąpicie jeszcze krok, uderzę w dzwon kapituły!

W odpowiedzi na tę pogróżkę szewc chwycił pęk kluczy, zakręcił nim w powietrzu — i zadał cios straszny...

Gabrjel, uderzony w głowę, upadł na ziemię i stracił przytomność.

Strumień ciepłej krwi zalał mu twarz.

Gdy odzyskał przytomność, ze zdziwieniem zobaczył, że leży w dużej biało malowanej sali, dokąd słońce z trudem przedostawało się przez okratowane okienko — na łóżku, pokrytem nieprawdopodobnie brudnem prześcieradłem.

Wydawało mu się, że cały ciężar olbrzymiej katedry uciska mu czaszkę. Co za potworna męka! Leżał, jak kłoda, niezdolny do wykonania najlżejszego ruchu — w uszach mu szumiało nieznośnie, język odrętwiał, osłabione oczy widziały wszystko, jakby poprzez czerwoną mgłę.

Rozpoznał z trudem jakąś wąsatą twarz w czapce żandarma. Gdy spostrzeżono, że chory ma oczy otwarte, natychmiast poddano go przesłuchiwaniu. Jakiś pan, ubrany na czarno, zbliżył się do jego łóżka w towarzystwie kilku mężczyzn, niosących pliki papierów pod pachami. Kiedy pan ten zaczął poruszać ustami, ranny domyślił się, że mówią coś do niego, ale słów nie słyszał. Potem zamknął oczy i nic już więcej nie widział... Gdy powieki jego uchyliły

się po raz drugi, rozpoznał w pobliżu siebie skamieniałe ze strachu oblicze swego brata, Estabana, otoczonego kilku żandarmami; dalej zamajaczył mu jeszcze bardziej mętny i niewyraźny zarys postaci jego drogiej towarzyszki, Sagrario, która poprzez łzy patrzyła na niego pełnem bólu i nieskończonej miłości spojrzeniem, nie lękając się uzbrojonych żandarmów, stojących wkoło niej.

Było to ostatnie widzenie tego nieszczęśliwego— później oczy jego zamknęły się na zawsze. W chwili, gdy przekraczał już próg wieczystej nocy, rozległ się nad jego łóżkiem głos:

— Mamy cię wreszcie, szelmo! Tym razem nie umkniesz nam — i zapłacisz za wszystko!

Ale... wróg Boga i społecznego porządku nie zdał już rachunku przed ludźmi. Nazajutrz, wyniesiony na barkach grabarzy z szpitala więziennego, wrzucony został na wieczny spoczynek do wspólnej mogiły; i tajemnica śmierci pogrzebana została wraz z nim w ziemi, w której łonie gniją pospołu wszystkie wielkości i ambicje, nędze i szaleństwa, podczas gdy niezmienna natura niezmordowanie wciąż tworzy i tworzy coraz to nowe żywoty.

Urzędu Bezpieczeństwa Okręgu Białystok
KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 3607/A KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

PRZYPISY.

[1] Ayuntamiento — magistrat.

[2] Dosłownie „garniec żelazny". Słowo żartobliwe, dotyczące dachu wieży.

[3] Hotel de la Sangre — dawniej oberża Sevillan.

[4] Gigantones — kolosalne manekiny, które pokazywano publiczności w dni świąt uroczystych.

[5] Molleta — rozmoczony chleb.

[6] Plateria — sztuka jubilerska. Pewien rodzaj architektury, obfitujący w fantazyjną ornamentykę, nosi również tę nazwę.

[7] Arcybiskup Don Pedro Tenorio wybudował w drugiej połowie XIV wieku kaplicę i klasztor San Blos, gdzie się znajduje jego grobowiec.

[8] Rozmoczony w wodzie suchy chleb, który rozdawano żebrakom koło bramy de la Molleta.

[9] Fanegas — miara, odpowiadająca 25 litrom.

[10] „Vara de polo" — niski urzędnik katedralny, którego obowiązkiem jest nakazywać ciszę podczas nabożeństwa.

[11] Wielki dzwon, ufundowany w 1753 roku. Dzwon ten waży 17.800 kilo.

[12] Cigaralles — ogrody w okolicach Toledo, położone po drugiej stronie Tagu i słynące z doskonałych brzoskwiń.

[13] Kadeci — uczniowie Academia militar general w Toledo.

[14] Zlave — klucz. Claveries znaczy mniej więcej to samo, co francuskie „conciergerie".

[15] Corrida młodych byków.

[16] Jeden z najsłynniejszych matadorów z Andaluzji był przezwany Tato.

[17] Słowo pochodzi od perro — pies. Perrero, ten, który wypędza psy z kościoła.

[18] El Deseado — Ferdynand VII.

[19] Czarni — liberali z czasów świętego przymierza. Partja absolutystów zwała się „Białymi".

[19] Maeztrazgo—okolice górzyste w Walencji i na granicy Aragonu. Tam zaczęły się zbierać pierwsze bandy karlistów, któremi podczas pierwszej wojny wewnętrznej dowodził Don Ramon Cabrera.

[20] Święto Bożego Ciała.

[21] Jak wiadomo Henryk VIII, król angielski, wystąpił z kościoła katolickiego, aby poślubić Annę Boleyn.

[22] Reconquista — zdobycie przez chrześcijan krajów, zajętych przez Maurów.

[23] Dowódca wojskowy.

[24] Kardynał Diego de Asborga w roku 1720 kazał zbudować to sklepienie. Powstało ono z samych marmurów i bronzów. Roboty ukończono dopiero w 1732 roku.

[25] Alfaqui — doktór praw u Mahometan. Gdy arcybiskup Bernardo, gwałcąc przyrzeczenie dane przez Alfonsa VI zabrał nieprawnie Maurom ich wielki meczet w Toledo, alfaqui Abou-Walid powstrzymał swych wiernych od krwawej rozprawy. AlfonsVI, pełen wściekłości na Bernardo, w przeciągu trzech dni wrócił z głębi Kastylji do Toledo, aby zabić arcybiskupa i królowę, wspólniczkę spisku. Abou-Walid stanął wówczas przed królem, tłumacząc, że jeden budynek nie jest wart przelewu krwi.

[26] Beret noszony przez karlistów.

[27] Kupy partyzantów.

[28] Etymologicznie „mały mnich" — dziecko z chóru.

[29] Kaplica z ciemnych marmurów, gdzie się przechowuje relikwje.

[30] Dygnitarz z kościołów katedralnych Hiszpanji.

[31] Malaguena — rodzaj tańca w prowincji Malaga.

[32] Nazwę tę nadaje się Ferdynandowi i Izabelli.

[33] Mozarabes — chrześcijanie, którzy żyli pomieszani z Maurami. Mudejares — muzułmanie przyjmujący poddaństwo królów katolickich. Muladies — chrześcijanie, przechodzący na islanizm. Hebrairantes — chrześcijanie, przyjmujący judaizm.

[34] Gonsalv z Kordoby, który zajął Grenadę w 1492 r.

[35] Utraciliśmy piękny Sion
Utraciliśmy także Hiszpanję,
Gniazdo (ziemię) ukojenia.

[36] Związek włóczęgów, którzy żyli z rozboju. Związki te głośne były głównie w Andaluzji.

[37] Maurzy, którzy po zajęciu Grenady pozostali w Hiszpanji.

[38] Calanes — kapelusz andaluzyjski. Faja — szeroki pas, służący do owijania bioder.

[39] Pustelnia położona po drugiej stronie Tagu. Roztacza się z niej wspaniały widok na miasto i góry.

[40] Tanto monta znaczy „tyleż". Na zbrojach Ferdynanda i Izabelli była następująca dewiza:
Tanto monta, monta tanto
Isabel como Fernando.

[41] „Los dineres de sacristan cantando se vienen y cantando se Van", znaczy „pieniądze zakrystjana śpiewająco przychodzą i śpiewająco odchodzą.

[42] Wielki płaszcz wełniany, używany przez lud nawet latem.

GŁOSY PRASY.

O Bibljotece Hiszpańskiej Dr. Edwarda Boyé nakładem firmy Wydawniczej „RÓJ".

...Zaniedbań na polu literatury hiszpańskiej mnóstwo — do zrobienia pozostało niemal wszystko. Z klasycznej literatury rozporządzamy znikomą ilością poprawnych przekładów, bez mała nic nie wiemy o dawniejszych „nowelach" a i Don Kichota czytamy w szacie dalekiej od doskonałości. Kupieckie rachuby każą zacząć od powieści hiszpańskiej XIX i XX w.; zyska ona sobie z pewnością dostateczny zastęp odbiorców.

Ale nadzieje na przyszłość są dobre. Mamy już dobrych i starannych tłumaczy, pierwszorzędnych znawców hiszpańszczyzny. Na ich czele kroczy Edward Porębowicz, z młodszych wybija się w pierwsze szeregi Edward Boyé.

(Prof. Uniw. Jagiell. Stanisław Wędkiewicz — „Zaniedbana dziedzina humanistyki").

...„Mgłę" Unamuna wydał tłumacz równocześnie z niemniej ciekawą powieścią Pio Baroja p. t. „Jarmark głupców". W dalszym ciągu zapowiedział nowe przekłady współczesnych autorów hiszpańskich i hispanoamerykańskich. Kultura literacka tłumacza, dobre opanowanie języka literackiego i umiejętny dobór wydawanych i zapowiedzianych przekładów pozwalają rokować, że p. Boyé pozwoli nam zapoznać się bliżej z literackim wyrazem kultury iberyjskiej, tak mało nam znanej i — ze względu na małe rozpowszechnienie języka hiszpańskiego — tak trudno dostępnej.

(Kazimierz Czachowski w „Czasie" krakowskim).

..Z radością powitać należy wiadomość, że wkrótce będziemy mogli poznać dzieła wszystkich niemal wybitnych pisarzy hiszpańskich we wzorowych przekładach polskich.

Systematyczną pracę na tem polu rozpoczął wybitny romanista warszawski, dr. Edward Boyé, do niedawna znany jako

tęgi tłumacz utworów literatury włoskiej. Podczas kilkuletnich studjów zagranicą zapoznał się rzetelnie z literaturą hiszpańską, a nawet bezpośrednio z niektórymi jej przedstawicielami. Swojego czasu na tem miejscu wspominałem o szczególnem zainteresowaniu się dr. Boyé utworami Miguela de Unamuno. Wzmiankę tę związałem wówczas z notatką o studjach Boyé'go nad Cervantesem i uczyniłem to celowo. Albowiem Unamuna wiele łączy z Cervantesem. Nietylko tytuł jednej z książek „Novelas ejemplares". Są i ważniejsze punkty styczności, wynikłe nie z przypadku, ale z kierunku świadomie prowadzonej linji myślowej Unamuna. Autor ten jest profesorem literatur klasycznych na uniwersytecie w Salamance — ale, obdarzony umysłem wielce rozległym, nie zamyka się w swej specjalności. Jest nietylko filologiem, ale ponadto filozofem i poetą.

Określenie jego umysłowości i talentu podaje nam ciekawa i głęboko ujęta rozprawa Boyé'ego, zamieszczona jako przedmowa na czele Tomu I „Bibljoteki hiszpańskiej", zainicjowanej przez ruchliwe Tow. Wyd. „Rój"... O ile dzieło Unamuna, oryginalnie skomponowane, pełne dialektycznych subtelności i umyślnych cieniów, wymaga w niejednem komentarzy, o tyle romans Pio Baroja, cały skąpany w południowem słońcu, tętniący żywą akcją i wszędzie uchwytny w swej bezpośredniości, przystępny jest warstwom najszerszym. Oba dzieła przełożone zostały pięknie.

(Józef Birkenmajer w „Kurjerze poznańskim").

...Jednym z autorów powieści, wzbudzającej obecnie największą sensację w świecie, jest Hiszpan: Miguel de Unamuno, ze względu na oryginalność swoich koncepcyj literackich i z powodu paradoksalności swoich powiedzeń. Powieści jego przyswoił literaturze polskiej dr. Edward Boyé, mianowicie „Trzy nowele przykładne" i „Mgłę". Powieści Unamuna są przeznaczone dla smakoszów literackich, wymagają bowiem poważnego wysiłku intelektualnego...

(„Kurjer Poznański").

Jesteśmy w obliczu nowej ofensywy wydawniczej, tym razem hiszpańskiej. Tow. Wyd. „Rój" wydało ostatnio w prze-

kładzie Dr. Edwarda Boyé'go wspaniałą powieść pisarza hiszpańskiego, Miguela de Unamuno, p. t. „Mgła", oraz nieznanego w Polsce autora Pio Baroja „Jarmark Głupców". Ta sama firma wydawnicza ma ogłosić niebawem Ibaneza „Katedrę" oraz Ramona Gomez de la Serna „Nieprawdopodobnego doktora". Dowiadujemy się, że dr. Boyé, jeden z niewielu u nas znawców hiszpańskiego, podjął się stylowego przekładu Don Kichota.

(Juljusz Kaden-Bandrowski w „Głosie Prawdy").

Bardzo ciekawe studjum psychologiczne na temat formy powieściowej i jej bohatera. Autor przedstawia psychikę tego swojego bohatera niejako od wewnątrz. Sięga do źródeł jego duszy, sięga tak głęboko, że... nie wychodzi z obrębu własnych wyobrażeń o swojej postaci, albowiem wyobrażenia te są genezą utworu.

W tym sensie powieść hiszpańskiego pisarza jest obrazem laboratoryjnego eksperymentu budowania duchowości, procesu kształtowania się tworu w łonie twórcy. A z chwilą gdy bohater ten dorasta wreszcie do własnej, niezależnej, samodzielnej formy życiowej — autor nie pozwala mu iść własną drogą odrazu. Żeby plastyczniej uzmysłowić efekty i kulisy gotowalni artystyczno-psychologicznej, zmusza bohatera do stoczenia walki z autorem o prawo do własnego życiowego prawa.

Świetna jest ta dialektyczna rozprawa między autorem i płodem jego wyobraźni. Raz po raz z przenikliwej rozmowy wynika, że to jeden, to drugi jest albo uosobieniem rzeczywistości, albo fikcji.

Bohater utworu, August Perez, osobnik rozbity duchowo nadmiarem rujnującej autoanalizy, po przejściach i zawodach miłosnych, po dojściu do celownika życiowego, którym jest ostateczne bankructwo marzeń i woli — wraca do źródła swego bytu, do autora powieści z oświadczeniem, że popełni samobójstwo.

Tu właśnie, w obliczu swej genezy i decydującego losu w osobie powieściopisarza, zaczyna się gwałtowna i mądra dyskusja: który z tych panów ma większe prawo do „samostanowienia" o przeznaczeniu powieściowej postaci.

Dysputa ma, oczywiście, przenośne znaczenie dociekań psychologiczno-estetycznych na temat fatalizmu życia artystycznego, na temat prawa do decyzji o losie bohatera: czy logika jego życia wewnętrznego, czy absolutna wola twórcy? Dysputa to, jak się rzekło, dialektyczna, autor bowiem wkracza tu sam w szranki akcji powieściowej, jako jeszcze jedna postać sceniczna.

Charakter przeżyć Augusta, jak również ingerencja autora — dają w sumie obfity materjał doświadczalny dla charakterystyki świadomego i podświadomego elementu twórczości.

(Leon Pomirowski w „Polsce Zbrojnej").

Dziwnie wąskie są ramki naszej literatury przekładowej. Ograniczają się niemal wyłącznie do przekładów z francuskiego, niemieckiego i angielskiego. Dosyć powiedzieć, że w Polsce nie jest znany ani hiszpański Unamuno, ani skandynawska Sigrida Undset, ani włoski Salvator Gotta. Dopiero, gdy nagroda Nobla rozświeci „nieznane" nazwisko — robi się gwałt i nagwałt się tłumaczy pierwszą lepszą książkę laureata. Tak było w tym roku z Grazią Deledda.

W Polsce, w której nakłady książkowe są tak nikłe, nie mamy pojęcia naprzykład o tym ogromnym zasięgu słowa drukowanego, który widzimy w krajach, posługujących się mową hiszpańską. Pio de Baroja (czytaj Barocha) jest tym potężnym pisarzem światowej sławy, który aczkolwiek pisze w Hiszpanji, jednak domeną jego wpływu, poza ojczyzną ściślejszą, jest cała Ameryka łacińska, Argentyna, Meksyk, Kuba, Kolumbja, Nicaragua i t. d. Nakłady książek Pio Baroja dobiegają pono astronomicznej cyfry, niektóre jego powieści miały przekroczyć liczbę dwu miljonów egzemplarzy.

„Jarmark głupców", który ofiarowano polskiemu czytelnikowi w bardzo gustownej szacie, w przekładzie najlep-

szego naszego hispanisty dr. Boye, jest czołową i najbardziej wziętą książką hiszpańskiego pisarza.

(Dziennik Wileński).

Podczas czytania „Jarmarku głupców" utwierdza się w nas przekonanie, jakie mogliśmy sobie wyrobić na podstawie twórczości dwóch lepiej znanych w Polsce pisarzy hiszpańskich: Cervantesa i Calderona, iż na wzór przysłowia o Polaku, Francuzie Północy, dałoby się urobić inne, znacznie głębiej ujmujące istotę narodowych pokrewieństw, — że Hiszpan—to Polak Południa. „Odległość jest wielką czarodziejką: zdobi wszystko w poblask poezji". To zdanie Pio Baroja może być oświetleniem sentymentu, jaki budzą w nas dzieje współczesne Andaluzyjczyków, ów stek nieprawdopodobieństw i niemal arabskich awantur, na których tle oglądamy mieszkańców Kordoby, z wybijającemi się wśród nich na czoło dwoma zawodami: rolnikiem i lichwiarzem. „Jarmark głupców" jest odbiciem tego wklęsłem, jakiem dla Polski w zaraniu stulecia było „Wesele" Wyspiańskiego. Pio Baroja nie ma w sobie wieszczego tonu naszego poety, ale w epilogu powieści, gdy anarchistyczny bohater staje u wrót wyzwolenia pod wpływem pięknej duszy Remedios, wzniosłość bezinteresownej etyki, płynącej wprost z głębi duszy człowieka, jest tu optymistycznym rzutem w przyszłość, łagodzącym arystofanesowski sarkazm rozdziałów poprzednich. W „Jarmarku głupców" skłonni jesteśmy upatrywać mnóstwo aluzyj do osób i wypadków rzeczywistych, co również spokrewnia powieść z dramatem Wyspiańskiego; niemal z polskiego środowiska wzięty wydaje nam się moment, gdy bohater wkracza na drogę „czynu" po burdzie karczemnej; a ustęp, gdzie „cierpi za miljony" po spotkaniu ukochanej, co dla majątku wyszła zamąż za innego, jest jakby reminiscencją z dobrze znanego nam źródła. Bodaj że wystarczyłoby spolszczyć nazwy i nazwiska, a gdyby nie nieliczne opisy krajobrazu południowego, bylibyśmy u siebie w domu. Tłumacz „Jarmarku głupców" zapowiada dalsze przekłady współczesnych autorów hiszpańskich.

Wydawnictwa podjął się „Rój", najruchliwsza dziś w Polsce firma księgarska, o ile chodzi o przyswajanie nowych powieści obcych. Przy tej sposobności niech nam będzie wolno zaznaczyć ze szczerem zadowoleniem, że w nakładach tej firmy zauważyliśmy ostatnio znaczne podniesienie poziomu, tak w doborze utworów i przekładów, jak w szacie zewnętrznej.

Kazimierz Czachowski w „Wiadomościach Literackich".

Dyktatura Primo de Rivery, wygnała bezlitośnie za stromy łańcuch pirenejskich szczytów bodajże najświetniejszego uczonego i pisarza ojczyzny Cervantesa — Miguela de Unamuno.

Rektor słynnego uniwersytetu w Salamance, znakomity uczony, profesor greckiego, poeta i romansopisarz najczystszej wody, filozof i świetny krytyk, a wreszcie pisarz o olbrzymiej skali niepowszedniego talentu i szczery... republikanin, wracając któregoś dnia z uniwersytetu do domu, znalazł tam polecenie natychmiastowego opuszczenia kraju.

Nie miał nawet czasu na pożegnanie się z rodziną, na przygotowanie do drogi. Rząd generała Primo de Rivery działał z błyskawiczną szybkością i bezwzględnością. Zesłano wielkiego pisarza na afrykańskie wyspy Fuerteventura. Jednocześnie zawieszono go w czynnościach rektorskich i profesorskich, okrywając wstrętny gwałt kłamstwem o samowolnem porzuceniu przez Unamuna katedry.

Cały świat kulturalny stanął w obronie wielkiego uczonego. Jednak ani akcja Ligi Obrony Praw Człowieka, ani interwencja doskonałego poety italskiego Gabrjela d'Annunzio nie odniosły pożądanego skutku. Rząd dyktatora był niewzruszony. Dopiero grupie francuskich pisarzy, udało się wykraść twórcę „Żywota Don Quijota" i przywieść do Paryża.

„Mgła" (Tow. Wyd. „Rój"), jak zaznaczył w obszernej przedmowie doskonały tłumacz dr. E. Boyé, jest romansem ironicznym.

...Tak przedstawie się skrót romansu. Chwilami czytelnika ogarnia pewnego rodzaju znudzenie, „...bezustanna gadanina", myśli niejeden. Tak Unamuno stworzył na kartach swej książki ludzi prawdziwych, ludzi z krwi i ciała, którzy grają najprawdziwszą sztukę życia. Grają ją nie w tajemniczej, sztucznej ciszy literackiego wypracowania, a w dźwięcz-

nej mocy słowa, kryjącego może czasami zbyt zawikłaną myśl. Bo też „Mgła“ nie należy do „kolejowej lektury“, romans Unamuny jest dla smakosza , który potrafi w rozmowach bohaterów doszukać się czegoś więcej, jak tylko... rozmów. Autor nie schlebia czytelnikowi, wymaga od niego bezustannej walki i to walki jaknajuciążliwszej, ale zato owocnej.

Na zakończenie jeszcze raz należy podkreślić doskonały przekład dr. E. Boyé, oraz wytworną szatę zewnętrzną, tak, niestety, u nas przez wydawców bagatelizowaną.

(Tygodnik „Radio“).

Stowarzyszenie Urzędn. Sądowych * Okręgu Białostockiego *

...ska Biblioteka Publiczna
11919
Białymstok

[Тр.]

3600
4000

X.

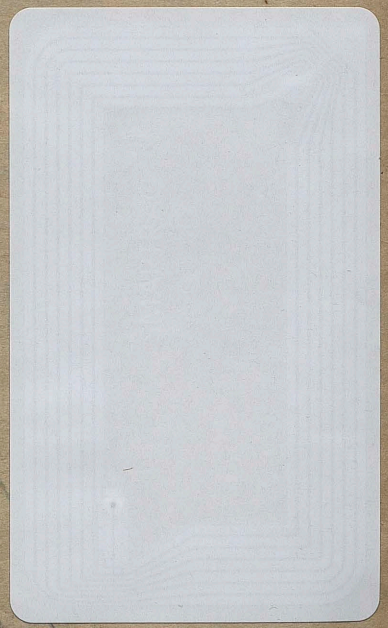

11919